

# *Zielone kasztany*

1.

Przyznaję: ja również wiem więcej, dzisiaj wiem chyba dużo więcej. Może nawet mógłbym to wszystko opowiedzieć?

- Wszystko? - i Ewa uśmiecha się, przechyla głowę, więc kładą jej się włosy na ramieniu, tylko na moment, bo odgarnia je szybko, nerwowo. - Wszystko?

Nie jestem pewien, czy te słowa zostały powiedziane, ale widzę jej uśmiech i myślę, że ma rację: za każdym razem przecież, kiedy zastanowić się, choćby zatrzymać się tylko dla nabrania oddechu, za każdym razem coś innego wydaje się ważniejsze i wcale niełatwo pojąć, gdzie jest czego początek i co wcale nie jest końcem.

Patrzę na Ewę i jakby sam sobie mówię to, co ona widocznie już wie, skoro i mnie pomogła zrozumieć.

- Cokolwiek powiesz, Marek, usłyszę to zawsze po swojemu. Choćbyś nawet najbardziej chciał, nie opowiesz nigdy, jak było naprawdę. Dla ciebie to już było i równocześnie wciąż jest. A dla mnie każde twoje słowo tak będzie prawdziwe, jak ja to usłyszę.

1

Nie miała imienia. Długo nie miała i nie mogła przecież mieć, nie wiem zresztą, ale chyba nie mogła, skoro jej samej również nie było. Może czekała dopiero na swoje imię i wiedziałem o tym, czekając razem z nią? A może nawet sobie nie chcę się przyznać, że czasem dawałem jej... nie, wypożyczałem dla niej jakieś imię, nie zawsze to samo. Bo przecież jej nie było.

A jednak istniała na pewno, mało czego byłem tak bardzo pewien, jak właśnie tego, że ona jest. Znałem ją dobrze, bo była dokładnie taka, jaką chciałem ją znać. Umiała się śmiać, kiedy na jej śmiech czekałem, płakała nade mną i za mnie, kiedy ja nie mogłem płakać, bo nie potrafiłem, choć czasem bardzo bym chciał. Umiała do mnie mówić, bo mówiła moimi myślami. Nie ma takich miejsc, gdzie nie byliśmy razem, jeśli tylko potrafiłem je sobie wyobrazić. Nie umiała jednak, dopiero teraz wiem, to ciekawe, ale nie potrafiła wtedy powiedzieć mi o sobie ani o mnie nic takiego, czego nie chciałbym usłyszeć.

Czasem, przez chwilę albo i dłużej, jakbym widział jej twarz, sylwetkę, jakiś gest z jej strony. Widziałem i równocześnie zdawałem sobie sprawę, że to już nie ona, że to jeszcze nie ona. Były to gesty i twarze również wypożyczone dla niej, więc odrzucałem je, może nie od razu, na pewno nie zawsze od razu, ale wreszcie odrzucałem, odbierałem jej te wypożyczone twarze, imiona i znów przestając być kimś konkretnym, stawała się sobą, całkowicie, ale daleko nie do końca wymyśloną. Kim więc była?

Nie tylko Ewa mogłaby zapytać:

- Czy to jest o mnie?

Bardzo dobrze chyba, że Ewa nigdy o to nie zapyta, a nikt inny tym bardziej się nie odważy. Bardzo dobrze.

Kim ona była: marzeniem, oczekiwaniem? Może tylko przecuciem albo

zapowiedzią? A może wszystkim tym równocześnie i jeszcze czymś? Lękiem przed kimś lub przed czymś określonym. Brakiem kogoś. Więc tęsknotą?

Kiedy pierwszy raz pojawiła się przy mnie, nie pamiętam, nie chcę wiedzieć albo nie jestem w stanie uświadomić sobie tego. Kiedy odejdzie? Czuję niejasno, że chyba nigdy, ale chciałem wierzyć, że to nastąpi, i czekałem na tę chwilę, gdy zamiast niej, dokładnie w jej miejsce zjawi się ktoś żywy, z własnym imieniem i twarzą, z własnymi myślami, nie moimi...

I jakbym teraz słyszał:

- Marek...

- Chciałaś jednak o coś zapytać?

- Czy to jest o mnie? - pyta Ewa. - Czy teraz to jest już o mnie?

- Czekałem na nią, wiesz? - odpowiadam. - Rozumiesz mnie? Czekałem.

Mogę odpowiedzieć tak szczerze, bo przecież nikt mnie o nic nie pyta, odpowiadam sam sobie i niczego nie ryzykuję mówiąc, iż czekałem. I znowu nie wiem, czy bardziej boję się pytań, czy własnych odpowiedzi. Ale przecież nie powiedziałem jednak, że wciąż czekam. Więc może tak właśnie jest: czekałem.

A kiedyś - i jest to ważne dla mnie, wiem na pewno - kiedyś stary Orzechowski przyniósł do klasy brzoskwinie. Piękny, dojrzały owoc. To, że jak zwykle nie powiedział dzień dobry i patrzył na nas wszystkich jak na powietrze, nikogo oczywiście nie zdziwiło. Ale brzoskwinia na lekcji była czymś zupełnie nowym i nieoczekiwanym.

Podniósł ją do góry, potrzymał przez chwilę w ręku i powiedział suchym, niemiłym głosem:

- Klasa będzie rysowała ten owoc. Nie dyskutować i nie pytać dlaczego. Zwrócić uwagę na przenikanie kolorów. Ostrożnie z czerwienią, bo to nie pomidor. Cieniować oszczędnie. Zaczynać.

Położył brzoskwinie na stole i usiadł, zapatrzył się w okno, w jednej chwili odpłynął nam z klasy, przestał być obecny.

- Ale nas urządził! - jęknął Zawistowski. - Choćbym miesiąc tu siedział, to i tak tego nie narysuję. Samochód tak. Domek z ogródkiem, owszem, bardzo proszę. Ale brzoskwinie? Zabraliśmy się do rysowania. Ja również byłem wściekły. Co prawda wiedziałem, że jakiś tam owoc zawsze mi wyjdzie. Jak nie brzoskwinia, to jabłko, kto zresztą odróżni. Wściekły jednak byłem, bo wszystko to nagle wydało mi się zupełnie idiotyczne. Robi z nami, co chce. Smarujemy kredkami jak przedszkolaki. Po diabła w ogóle te lekcje z Orzechowskim? Zwraca się do nas jak stangret do koni...

- Idzie ci? - spytał półgłosem Kmita.

- Jak krew z nosa... - odpowiedział za mnie Zawistowski. - Żeby to domek z ogródkiem, ale coś takiego? Tego się w ogóle nie da narysować.

Rysowaliśmy jednak, jak tam kto umiał. W klasie było cicho, Orzechowski siedział teraz z wyciągniętymi nogami i lekko opuszczoną głową. Nagle wstał. Sięgnął do kieszeni, jednej, drugiej...

- Co on jeszcze wymyśli? - mruknęła Katarzyna.

Prawie wszyscy przestali smarować kredkami swoje pokraczne karykatury brzoskwiń, bo stało się coś wyjątkowego. Profesor Orzechowski nagle przemówił jak człowiek.

- To jest najpiękniejszy owoc, jaki natura stworzyła. Nie wiem, czy mnie zrozumiecie... Brzoskwinia to drzewo życia. I miłości. Jest na ten temat kilka legend. Jedna z nich mówi, że kiedy na świecie niczego jeszcze nie było, rosło sobie brzoskwiniowe drzewo, pełne dojrzałych owoców. Nagle powiał wiatr i spadły z drzewa brzoskwinie, a każda pękła na dwie części. Z jednej połówki brzoskwini powstała kobieta, a z drugiej mężczyzna. I wszyscy ci ludzie rozeszli się po pustym świecie, bo nie wiedzieli jeszcze, że są sobie nawzajem potrzebni. Szukają się teraz, wciąż się szukają, i na tym polega życie...

Profesor Orzechowski znowu sięgnął do kieszeni. Wyjął scyzoryk i ostrożnie rozciął

brzoskwinie. Na jego dłoni pojawiły się złociste kropelki soku, przeciekały mu przez palce. Wpatrywał się w rozciętą owoc, tak jak my wszyscy.

Wstała Katarzyna.

- Panie profesorze... I zdarza się czasem, że odnajdą się na świecie te dwie połówki?

Co wtedy? - spytała cicho, bardzo poważnie.

- Wtedy ludzie wiedzą, że są szczęśliwi... - odpowiedział Orzechowski, jakby czekał na to pytanie. - Wtedy wiedzą...

Odwrócił się do nas tyłem, położył rozciętą brzoskwinie na stole, podszedł do okna i szeroko je otworzył. Znowu nam stary Orzechowski odpłynął, przestał być obecny. I każdy z nas został sam z tym, co zrozumiał, co wtedy mógł zrozumieć.

Dzisiaj wiem chyba dużo więcej.

2

Zaczynały kwitnąć akacje, kiedy przestałem chodzić do szkoły. Pierwszego dnia stało się to jakby bez mojego udziału, samo z siebie, nie wynikało z wcześniejszej decyzji.

Wyszedłem przecież rano z domu.

Spostrzegłem go nagle. Tym samym chodnikiem szedł z przeciwnej strony, wprost na mnie. Zwolniłem i on również. Było jasne, że spotkamy się przy wejściu na szkolny dziedziniec. Jeśli teraz któryś z nas nie przyspieszy, wejdziemy w bramę jednocześnie. Ale nikt nie przyspiesza. Patrzymy na siebie, zbliżając się krok po kroku. Nic nie mogę wyczytać z jego twarzy.

Zdecydował się przyjść, więc może zrozumiał, o co toczy grę z samym sobą. A może chce podjąć walkę z nami, chciałbym tego, najwyższy czas, Markoniec, żebyś podjął taką decyzję. Popatrz, jakie to proste: postanowiłeś wrócić i oto spotykasz mnie, zaczynaj...

Stanąłem.

Już nas dzieli tylko szerokość bramy. Chcę go przepuścić. Chcę, żeby wszedł pierwszy. Czuję, że jeśli teraz nie wejdzie do szkoły, to już tu sam nie przyjdzie. Cały czas patrzymy na siebie. Co on czyta w moich oczach? Chciałbym, żeby wyczytał zachętę: wejdź; stanę po twojej stronie i choćby miało mnie to kosztować bardzo drogo, pomogę ci odegrać się na nas. Pozwól mi dać ci szansę, zacznij walczyć, zacznij ode mnie. Wygrasz. Bo tak postanowiłem i pomogę ci wygrać, teraz pomogę ci przeciwko nam wszystkim. To takie proste, zrozum to...

Przystanął. Między nami przechodzą ostatni uczniowie spieszący do szkoły. Już słyhać pierwszy dzwonek, zostajemy sami przed bramą, dziedziniec pustoszeje. Na co on czeka? Przecież nie potrafię, nie mogę tego wszystkiego głośno powiedzieć. Musi sam zrozumieć to, co chcę mu przekazać.

Nie rozumiał? Powoli odwrócił się ode mnie i zaczął odchodzić. W tamtą stronę, z której przyszedł. - Marek! - krzyknąłem.

Ani drgnął. Oddalał się tym samym spokojnym krokiem, jakim szedł w tę stronę. I wtedy ja zrozumiałem, że jednak wyczytał z mojej twarzy wszystko, co chciałem. I dlatego odszedł. Musiał bardzo jasno uświadomić sobie tę szansę, jaką mu dawałem. I właśnie ją odrzucił. Przegrałem. Dopiero teraz naprawdę przegrałem.

Przestałem chodzić do szkoły. Tamtego pierwszego dnia włóczyłem się po całym mieście, potem rozmaicie bywało. Świeciło słońce, kwitły akacje, właśnie tak to widzę. Na co czekałem? Nie próbowałem sobie wtedy nawet zadać tego pytania. To wszystko było jak bolesna, męcząca choroba, w której wiadomo, że musi coś się stać, ale człowiek sam nie jest zdolny do zrobienia ani jednego kroku, ani jednego gestu nawet. Przemyka tylko oczy i czeka, aż coś się stanie. Złego lub dobrego. Raczej złego.

Gdzie jest początek? W jakimś pierwszym kroku, w jakiejś pierwszej myśli, czy może tam dopiero, gdzie już wiadomo, co wyniknęło z różnych myśli i różnych kroków, z których

każdy osobno nie da się wytłumaczyć inaczej, jak tylko tym, co było wcześniej, co było potem. I nie tylko tym. Idzie się po prostu, inni również idą. Do czegoś się idzie, nigdy z góry nie wiedząc, z kim się tam dojdzie, nie wiedząc nawet, kiedy wypadnie stwierdzić: już jestem. I równocześnie, w tej samej chwili znów idzie się dalej, z kimś albo przeciw komuś. A dalej to wcale nie znaczy: w tę samą stronę. Czy to jest tak właśnie? I czy tylko tak?

List od Kowala był krótki i rzeczowy. Nie pokazywałem go nikomu, ale i nie zniszczyłem, wydawało mi się wtedy, w pierwszej chwili, że będę musiał i potrafię na niego odpisać.

Znakomity nasz bramkarz Kowal, chłopak dobry i nie wiadomo czemu mający do mnie zaufanie, zderzywszy się z problemem, że dwa i dwa to nie zawsze musi być cztery, poczuł się oszukany i chciał wiedzieć, jak było naprawdę.

Co ja ci, Kowal, mógłbym odpisać? - myślałem. Nawet gdybym w końcu chciał odpowiedzieć na ten twój berliński list, nie potrafię tego zrobić, bo sam nie wiem, jak było wtedy naprawdę na warszawskim dworcu. I nie chcę wiedzieć, i do niczego mi ta wiedza nie jest potrzebna. Ani tobie, ani nikomu.

To był piątek. Dla nikogo pewno nie miał ten fakt żadnego znaczenia. Dla mnie miał. Pakowałem plecak na zagraniczny obóz, a równocześnie dziadek przygotowywał się do szpitala. Ir-ma też pakowała się tego wieczoru. Ich klasa miała jechać na wycieczkę do Krakowa. Wyjazd w sobotę rano, autokarem, powrót w poniedziałek. Tak zapowiedziała. Więc szykowaliśmy się wszyscy do opuszczenia domu tak nerwowo, jakby bomba miała w niego trzasnąć lada chwila...

Po co ci zresztą znać prawdę, Kowal? Dlaczego wysiadłem z tamtego pociągu, nikt nie będzie wiedział, czyli każdy będzie wiedział swoje. Ważne jest tylko to, że zostałem w Warszawie. Co zresztą zrozumiesz, jeśli niczego nie wiesz o tym innym piątku, znacznie wcześniejszym. Kiedy jeszcze nie kwitły akacje. Takim sobie niby zwykłym dniu, jakich wiele biegnie jeden po drugim.

Ja już wiem, że nie ma dni zwykłych i niezwykłych. Wszystkie grają swoją rolę, choć tego często nie dostrzegamy, i potem zdziwienie: gdzie początek? Co się takiego wydarzyło i kiedy właściwie? Głupie trzy kartki z kalendarza, na przykład: piątek, sobota, niedziela. Co to znaczy: z piątku na niedzielę? To może znaczyć: byle kiedy, nawet nie wiadomo kiedy. Dla mnie to znaczy dokładnie tyle, ile znaczy. Teraz, dzisiaj. Kiedy już wiem więcej.

## 2. Z piątku na niedzielę

3.

Cios okazał się znacznie mocniejszy, niż początkowo sądziłem. Nie przypuszczałem, że aż tak mnie to wszystko weźmie. Mijały godziny, a ja coraz bardziej skręcałem się z wściekłości i chyba było to po mnie widać. Przy kolacji matka parę razy przyjrzała mi się bardzo uważnie, udawałem, że nie dostrzegam tych spojrzeń, aż wreszcie zapytała:

- Stało się coś? Masz zmartwienie? A może ty chory jesteś?

- Ja? - zdziwiłem się, to znaczy chciałem się niby bardzo zdziwić, ale mi nie bardzo wyszło.

- Przecież nie ja! - wtrąciła swoje trzy grosze moja siostra, która właśnie zjadła kolację i robiła miny do lustra, co nazywało się wkładaniem beretu.

- Zamknij się i zniknij, zmor... - mruknąłem, specjalnie niezbyt głośno, ale jednak dziadek usłyszał. A najgorsze, że usłyszał z opóźnieniem, bo zapatrzony był w telewizor.

Oburzył się:

- Jak ty mówisz do matki?

- Ja? - teraz byłem naprawdę zdziwiony i jeszcze bardziej wściekły. - Gdyby dziadek choć raz na dzień odwrócił się od tego telewizora, toby zobaczył, że ja mówię do tej tam, przy lustrze!

W tym momencie jednak moja siostra była już przy szafie i wyjmowała płaszcz, więc dziadek, odwracając się, mógł jedynie zobaczyć stojącą przed lustrem Norę, która machała wesoło ogonem, bo pewno jej się wydawało, że Irma weźmie ją na spacer.

- Dom wariatów! - stwierdził dziadek. - Albo ja już zupełnie głuchy jestem.

- I jedno, i drugie, dziadku - podsumowała Irma, która właśnie zapięła pasek u płaszcza, poprawiła szalik i była gotowa do wyjścia. - To znaczy, trochę dziadek jest głuchy, nie da się ukryć, a trochę to tu naprawdę jest dom wariatów. Może nawet nie trochę? Cześć.

- Dokąd ty właściwie idziesz? - spytała mama.

- Mówiłam, że do kina. Na dziewiętnastą.

- Pierwsze słyszę. Nic nie mówiłaś...

- No, to teraz mówię... Cicho bądź! Słyszysz?

- Irminie dziadek nie zwraca uwagi? - odezwałem się znad talerza. - Jej wszystko tutaj wolno?

Spojrzała na mnie z politowaniem.

- Wiesz, co? Ty najpierw, Marek, przełknij, a potem puknij się w czoło i nie nاپuszczaj dziadka. Dobrze wiesz, że krzyknęłam na psa. A w ogóle, odczep się, braciszku...

- Napuścić można wodę do wanny, a nie mnie - próbował zażartować dziadek.

Trzasnęły drzwi, zaskowyczał rozżalony pies, kiedy zorientował się, że został w domu, a mama spokojnie wróciła do tematu:

- Więc jak? Źle się czujesz?

- Świetnie się czuję.

- Może dostałeś dwójkę?

- Nie dostałem żadnej dwójki.

- A jednak wyglądasz jakoś tak...

- Jak przez lufcik! - odezwał się dziadek, nie odwracając głowy od telewizora, i roześmiał się nie wiadomo czemu.

- Coś dziadek dzisiaj dowcipny przy piątku! - odciąłem się ze złością. - Pilnujcie wy lepiej wszyscy mojej pięknej siostry, a nie mnie, dobrze? Chodź, pies! Wyjdziemy trochę, bo jeszcze kota dostaniesz w tym domu.

Nora zaczęła szczekać jak opętana i zagłuszyła na szczęście to wszystko, co dziadek z mamą mieli mi w tym momencie do powiedzenia. A mieli sporo, ale przecież od bardzo dawna znałem to już na pamięć.

Na schodach wpadłem na Zawistowskiego. Wpadłem ostro, aż się zachwiał.

- Hamuj! Chcesz mi, bałwanie, zebra połamać?

- Tobie nie. Ale mówię ci, jak mnie nosi! Żebym ja go teraz dopadł!

- Kogo? Spotkałem twoją siostrę przed domem...

- No to co? To co, że spotkałeś? Co mnie to obchodzi? I nie pytaj głupio, kogo, bo dobrze wiesz!

- Kochanie ty moje, przestań się na mnie wydzierać, bo cię zrzucę na twarz z tych schodów... - powiedział słodko Zawistowski. - Kmita ma rację, że ty jesteś nienormalny. Zastanawiam się nawet, czy to jest uleczalne. Czytałem gdzieś, że takim zatwardziałym wariatom dobrze robią elektrowstrząsy. Może by cię podłączyć do jakiego słupa... Kundel, won stąd! - krzyknął nagle.

- Nie przezywaj psa, zwłaszcza w takim momencie - ująłem się za Norę. - Przecież jeszcze nic nie robi, tylko się na razie ustawia. Nie ma powodu krzyczeć. Pies, idziemy!

Wyszliśmy przed dom i wtedy Zawistowski nagle sobie przypomniał:

- Wiesz, z czym do ciebie idę? Kmita zaginął!

- To znaczy, że był, a teraz go nie ma.

- Gdzie go nie ma?

- Nigdzie go nie ma.

- No to gdzie jest?

- A właśnie. Sam widzisz, jaki jesteś inteligentny. Jak ten twój i kominiarski pudel. Gdyby było wiadomo, gdzie Kmita jest, toby nie zaginął. A on zaginął. Jasne?

- Mniej więcej. Niech będzie: zaginął. A konkretnie?

- Do tej pory nie wrócił ze szkoły. Jego starzy denerwują się i nie wiedzą, co mają robić.

- I w związku z tym co robią?

- Nic.

- No, pewno. To najłatwiejsze.

- Co najłatwiejsze?

- Właśnie to. Żeby nic nie robić.

- O, jaki pracowity się znalazł - mruknął Zawistowski. - Filozof. A co ty byś robił na ich miejscu?

- Spytałbym najbliższych przyjaciół Kmity, czy nie wiedzą czegoś...

- Tak zrobili. Jego matka przyszła do mnie i zapytała. Ale ja nic nie wiem.

- A kiedy ty cokolwiek wiedziałeś? Mogła przyjść do mnie, tobym jej powiedział.

- Że co?

- Że Kmita załamał się około piętnastej. Nie patrz na mnie z taką głupią miną, dobrze? Bo mnie to denerwuje. Przecież mówię wyraźnie, że po wyjściu ze szkoły Kmita załamał się nerwowo. Powiedział, że pójdzie na obiad do babki, a nie do domu, w związku z czym będzie miał dychę i skoczy na piątą do kina... No i co? Czego znowu nie rozumiesz? Piąta to znaczy siedemnasta czasu środkowoeuropejskiego...

- Nie wyglupiaj się - przerwał mi Zawistowski. - A skąd będzie miał dychę?

- Przecież powiedziałem, że od babki. Jego babka zawsze daje mu dziesięć złotych, kiedy Kmita je u niej obiad. Ma takie hobby.

- Dopłaca mu? Dlaczego?

- Nie wiem. Co cię obchodzi ich rodzinne sprawy? Może chce go dożywiać? Bo wtedy Kmita zjada dwa obiady, u babki i w domu. Nie czepiaj się szczegółów. Ważne, że Kmita poszedł do kina. Zaraz będzie w chacie.

- To dlaczego ja o tym wszystkim nie wiedziałem? - oburzył się Zawistowski. - I wyszedłem na idiotę...

- Pierwszy raz w życiu? Sam wiesz, że nie. Więc co ci zależy?

- Ale dlaczego mi nie powiedział, że się załamał? Wstydził się czy co? A tobie powiedział...

- Gdybyś się nie urwał z ostatniej lekcji, to wyszlibyśmy razem ze szkoły i wtedy usłyszałbyś od Kmity to samo co ja.

Nie urwałem się, tylko byłem zmuszony udać się do okulisty! - sprostował z godnością Zawistowski. - A w ogóle nie przypuszczałem, że was obu tamta heca tak bardzo złamie.

- Ja nie jestem złamany. Ja jestem wściekły. A to różnica, prawda? Zresztą Kmita też wcale nie jest złamany, tylko załamany. Ale pewno po tym kinie i dwóch obiadach jakoś tam się wyprostuje i dopiero wtedy się zacznie.

- Co się zacznie?

Przez moment szukałem tego słowa. I znalazło się samo.

- Zemsta, bracie. Co tak patrzysz?

- Słucham.

- Zemsta, rozumiesz? Załatwimy go. Wykończymy Markońca.

- Można. Czemu nie? - zgodził się Zawistowski.

Przeszliśmy się trochę po ulicy, do mostu i z powrotem, szybko zapadł wieczór. Ze skweru schodziły już zmęczone zabawą dzieci, robiło się ciszej. Wisłostradą sunęły

samochody, z mostu Poniatowskiego dochodziło do nas jednostajne dudnienie przejeżdżających w jedną i drugą stronę tramwajów.

Na Wiśle spokój, ani jednej motorówki, ani jednego kajaka. Woda jakby stała w miejscu, aż trudno spostrzec, w którą płynie stronę. Wydawało się, że tylko tam, gdzie tworzą się wiry, i dalej, w głównym nurcie, Wisła żyje, jeszcze bardziej stalowa niż przy brzegu, na którym ciemniały co parę metrów znieruchomiałe sylwetki rybaków.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie Markoniec mieszka? - spytał Zawistowski. - Chyba nie tutaj...

Zastanowiłem się chwilę.

- Gdzieś na Grochowie. A może na Saskiej Kępie? W każdym razie za Wisłą.

Dlaczego pytasz?

- Tak sobie. To czemu tutaj chodzi do szkoły? A może ma na Powiślu jakąś rodzinę?

Tu gdzieś koło ciebie, koło elektrowni?

- Dajże mi święty spokój! Skąd ja mogę wiedzieć? A zresztą, co ma wspólnego rodzina ze szkołą, a ja z jego rodziną?

- Nic - zgodził się Zawistowski. - Popatrz, jaka dziewczyna. Ale nogi, co? Jak stąd do samego nieba.

Stanęliśmy, dziewczyna się obejrzała i poszła dalej. Zawistowski popatrzył za nią przez chwilę.

- Słuchaj, a może Markoniec ma tu jakąś dziewczynę?

- Dlaczego akurat tutaj?

- A dlaczego nie?

- Zawracasz głowę głupimi pytaniami. Co cię obchodzi jego dziewczyna, jeśli ją w ogóle ma? On się takimi sprawami nie interesuje.

- A co ty o nim wiesz?

- Chyba nic. Nawet na pewno nic. A ty?

- Tyle samo. To niedużo, prawda? Trochę dziwne, w końcu to kolega...

- Ładny mi kolega! Zwłaszcza po tym, co nam dzisiaj zrobił. Usiedliśmy na ławce, pies biegał dokoła, a Zawistowski rozmyślał nad czymś. Nagle powiedział:

- A wiesz, spotkałem twoją siostrę...

- No to co? Mówiłeś już.

- Ale trochę wcześniej widziałem... no, wydawało mi się, a zresztą chyba nie.

Głupstwo.

- Co ty kręcisz? O co ci właściwie chodzi?

- Mnie? O nic. Ty, spójrz, kto idzie! - wykrzyknął.

W naszą stronę zmierzał Kmita z rękami w kieszeniach i miną wisielca, który urwał się z szubienicy i właśnie idzie utopić się w Wiśle. Podszedł do nas, stanął bez słowa i spoglądał raz na mnie, raz na Zawistowski ego. Wreszcie pokiwał głową.

- Wy tu z psem?

- Bo co? Z psem czy bez psa, jaka różnica?

- Byłeś już w domu? - spytał Zawistowski. - Ochrzanią cię.

- Wiem. Dlatego jeszcze nie byłem. Bo jak pójde, to mnie już nie puszcza. A chciałem wam coś powiedzieć. Żebyście przynajmniej wiedzieli, co się dzieje na świecie w tym czasie, kiedy wy tu sobie spacerujecie z psem... Byłem w kinie.

- Kiedy Wchodziłem, spotkałem twoją siostrę...

- Czy wyście obydwaj powariowali dzisiaj z tą moją siostrą? Czego od niej chcecie?

- Ja niczego nie chcę - pospieszył z zapewnieniem Zawistowski.

- Ja też nie - powiedział Kmita. - Zwłaszcza teraz. Ona czekała na seans o dziesiętnastej. A wiesz, z kim była?

- Z kim?

- No właśnie! - ucieszył się Zawistowski. - Więc jednak dobrze widziałem. On tu stał, a ona skręcała w jego stronę, o tutaj...  
- Nie masz się z czego cieszyć! - przerwał mu Kmita. I spojrzał na mnie: - A tym bardziej ty, wiesz?  
- O czym wy mówicie? - wystraszyłem się na serio. - Z kim ona poszła do kina?  
- Żal mi ciebie, przyjacielu... - Zawistowski popatrzył na mnie ze szczerym współczuciem. - I to własna siostra, rodzona. Postaraj się opanować. Szkoda zdrowia.  
- Powiecie wreszcie czy nie? Z kim była Irma?  
- Z Markońcem.  
- Z kim?  
- Z Markońcem! - powtórzył Kmita lodowato, kiwnął na Zawistowskiego i odeszli. Tamto wszystko, co rozegrało się w południe w szkole, było dla mnie mocnym ciosem, znacznie mocniejszym, niż początkowo sądziłem. Ale to, co usłyszałem teraz, to był już prawdziwy nokaut.

4.

Kiedy chce się być myślami choćby na moment zupełnie gdzie indziej i, przymykając oczy, udaje się przywołać obraz tego, na czym nam zależy, dlaczego to wszystko, co było przykre, co boli, łatwiej staje przed oczyma niż najmilsze nawet wydarzenia? Nie mogłem usnąć, długo przewracałem się z boku na bok, czułem się tak, jakbym miał gorączkę. Nie pamiętałem wielu szczegółów wczorajszego meczu, choć był to pewno mój najlepszy mecz w życiu, nie potrafiłbym powiedzieć, którzy chłopcy podbiegli pierwsi i zaczęli mnie i Kowala, świetnie dziś broniącego, podrzucać do góry, ale za to scenę, jaka rozegrała się w południe w świetlicy szkolnej, widziałem teraz w nocy przeraźliwie dokładnie i może nawet ostrzej, niż gdyby w tej chwili rozgrywała się wokół mnie.

Wywołano nas z klasy informacją, że odprawa reprezentacji szkoły przed rewanżowym spotkaniem niedzielnym odbędzie się nie w sobotę, ale właśnie dziś, zaraz. Trochę to było dziwne, ale znowu nie aż tak, żeby się nad tym specjalnie zastanawiać.

- Pewno Iwanicki nie przyjdzie jutro do szkoły - powiedział Kmita, kiedy schodziliśmy do świetlicy. - Wiesz, on podobno zdaje jeszcze jakieś egzaminy na AWF czy coś takiego. No, więc chce chyba dziś ustalić taktykę na rewanż.

- A może wprowadza jakieś zmiany do składu drużyny?

W bardzo złym momencie wypowiedziałem te słowa, ale wtedy nie zrobiły na Kmicie żadnego wrażenia.

- Coś ty! Przecież nie mamy lepszego składu niż ten wczorajszy. A zresztą nie zmienia się drużyny, która wygrała, taka jest zasada. Można co najwyżej zmienić trochę ustawienie na boisku...

- Żeby tamtych zaskoczyć?

- Tak. Na przykład można umówić się, że po pierwszej bramce, wszystko jedno z której strony padnie, cofamy jednego napastnika, choćby ciebie, do drugiej linii... Ja bym tak zrobił na miejscu Iwanickiego. I rozumiesz, wtedy środkowy pomocnik idzie ostro i wyraźnie na prawo, cały atak prawym skrzydłem. Tylko trzeba błyskawicznie się przestawić. A po drugiej bramce zastosować ten sam chwyt na lewym skrzydle...

Kmita zaczął wymachiwać rękami i zanim zeszliśmy na parter, kilka razy zdążył już w powietrzu przestawić drużynę na różne sposoby.

- Zaproponuj Iwanickiemu taki plan... - powiedziałem, co prawda bez większego przekonania, że ktokolwiek przejmie się taktycznymi koncepcjami Kmity, który często wymyśla! przedziwne kombinacje, a potem pierwszy o nich zapominał na boisku.

- No, jesteście nareszcie... - przywitał nas profesor Iwanicki. W świetlicy była cała drużyna, czekali tylko na nas. - Możemy zaczynać. Rezerwowy bramkarz nie przyjdzie?



- Wójcik ma teraz fizykę. Chciał dziś odpowiadać, więc powiedziałem mu, żeby nie przychodził - wyjaśnił Markoniec, kapitan naszej drużyny. - Ale on już wie ode mnie, że w niedzielę broni.

Spojrzelśmy po sobie, potem na Iwanickiego i wreszcie wszyscy wlepili wzrok w Kowala, naszego pierwszego bramkarza, który wczoraj spisał się chyba najlepiej z nas wszystkich. Miał bardzo głupią minę, otwierał i zamykał usta, jakby z trudem łapał powietrze, ale nie powiedział ani słowa. Za to ja się wyrwałem:

- Co ty, Markoniec, pleciesz? Wójcik ma bronić, a nie Kowal? Kto to wymyślił?

- Przecież to granda! - poparł mnie momentalnie Kmita. - Kowal świetnie zagrał, nigdy jeszcze nie był w takiej formie.

Iwanicki popatrzył na nas spokojnie i odpowiedział:

- Tak. Kowal jest w formie. Ale w niedzielę nie będzie grał. Wyłączam go z tego meczu. I ciebie również. Nie grasz. Jasne?

Dopiero po chwili zorientowałem się, że to było do mnie. Zerwałem się z krzesła.

- Ja nie gram? Ja? - prawie krzyknąłem. Wydawało mi się to jakimś nieporozumieniem, głupim żartem.

Drużyna była tak samo zaskoczona jak Kowal i ja. Cała drużyna, z wyjątkiem Markońca, który powiedział do mnie:

- Nie podnoś głosu, Marek. Wczoraj na boisku też wydzierałeś się jak opętany. Sędzia ci dwa razy zwracał uwagę...

- No to co? - przerwał mu Kmita. - Sędzia jest od tego, żeby zwracać uwagę. Co ty się czepiasz? To fakt, że on się trochę wydzierał, ale przecież strzelił decydującą bramkę.

- A ty strzeliłeś Wiśniewskiego. W głowę! - I Markoniec uśmiechnął się lekko. -

Tobie, Kmita, mylą się czasem dyscypliny. Dobrze grałeś, ale może byłbyś jeszcze lepszy w boksie?

- Po pierwsze, nie w głowę, tylko w kark. Po prostu pchnąłem go trochę do przodu, żeby nie spał, kiedy piłka na niego idzie!

- Oczywiście, tak go leciutko pchnąłeś, że Wiśniewski wyciągnął się jak długi. Aż sędzia zagwizdał.

- Wytłumaczyłem sędziemu, że to z rozpędu - bronił się Kmita. - Wiśniewski, masz żal do mnie?

- Ale skąd! Nic się przecież nie stało - odpowiedział Wiśniewski. - To było w nerwach.

Profesor Iwanicki spojrzał na zegarek i wstał.

- No tak. To nawet nie takie ważne, czy masz do niego żal, czy nie. I nie musisz go bronić, Wiśniewski. Kmita również nie będzie grał w rewanżowym meczu. Na miejsca tych trzech wchodzi zawodnicy rezerwowy. Taktyka bez zmian... i to by było wszystko.

Wśród chłopców zawrzało:

- Panie profesorze, usuwa pan z drużyny trzech najlepszych?

- Przecież my w tej sytuacji musimy przegrać!

- To wszystko jest zupełnie bez sensu. O co tu właściwie chodzi?

- A co takiego Kowal zrobił?

- Może w ogóle rozwiążemy drużynę, co?

- Proszę o spokój! - Iwanicki zaczął się denerwować, najwyraźniej śpieszył się gdzieś i miał dość całej tej rozmowy. - Nie powiedziałem, że ich usuwam z drużyny. Po prostu nie wystawiam ich do niedzielnego meczu. i koniec. Nie ma dyskusji.

- A co to: kompania karna? Więzienie czy jak? - rzucił się Kmita.

- Licz się ze słowami! - krzyknął profesor Iwanicki.

- Chłopcy, dajcie spokój. Wszystko się wyjaśni, nie histeryzujcie... - zaczął Markoniec, ale mu przerwałem:

- Już się wyjaśniło. My trzej nie gramy i cześć. Załatwione.

- Ty nic nie rozumiesz!

- A co tu jeszcze jest do rozumienia? Profesor podjął decyzję i skończyło się wszystko. Możemy iść do domu...

I wtedy Markoniec spojrział na mnie, zawahał się jakby przez moment, i powiedział coś, czego nie musiał powiedzieć. I lepiej by było dla niego, żeby nie powiedział.

- To ja zaproponowałem wstawienie do składu zawodników rezerwowych i wyłączenie was trzech z tego rewanżowego meczu.

Zamurowało mnie, kompletnie mnie zatkało. Ale Kmitę nie.

- Dziękujemy za informację, kapitanie... - wycodził. Był blady ze złości. Kowal na odmianę zaczerwienił się jeszcze bardziej i w dalszym ciągu bezgłośnie otwierał i zamykał usta, jakby się dusił.

Markoniec nie zwracał na nich uwagi. Mówił jakby tylko do mnie:

- Graliście bardzo dobrze, wszyscy to przyznają. Więc już zrobiliście swoje, wystarczy. A sam wiesz, że nad tobą wisi dwójka z chemii. Nad Kowalem z matmy. Musicie się z tego wyciągnąć. A rezerwowi będą mieli szansę się pokazać. Nie możesz zrozumieć?

- Ty, a co nade mną wisi? - spytał ironicznie Kmita. - Tu już nie masz co wymyślić?

- Nad tobą wisi zawieszenie! - powiedział wtedy sucho Iwanicki. - I nie prowokuj mnie, Kmita, bo je w końcu dostaniesz. Za to rozbijanie się na boisku i chamskie odżywki! Koniec zabawy, panowie. Z wyjątkiem tych trzech, cała drużyna zbiera się w niedzielę na boisku treningowym „Legii”. Zbiórka trzy kwadranse przed meczem. Gramy o piętnastą. Cześć! - I wyszedł ze świetlicy.

Można by się spodziewać, że dopiero teraz, kiedy zostaliśmy sami, rozpocznie się na dobre cała awantura. Markoniec był chyba na to również przygotowany. Ale nie, nic się już właściwie nie wydarzyło. Może dlatego, że sprawa została tak kategorycznie ucięta przez Iwanickiego. A może wszystko było zbyt nagle i zaskakujące, żeby chłopcy zdążyli się w tym do końca połapać?

Przez moment było zupełnie cicho. I w tę ciszę wpadły słowa Markońca:

- Nie martwcie się, chłopcy. Wszystko będzie dobrze. Możecie mi wierzyć.

- Świnia! - wykrztusił Kowal.

- Kwadratowa świnia! - powiedział Kmita i rozejrzał się po chłopcach, jakby czekając, kto będzie następny.

Nikt się nie odezwał, zaczęli wstawać z miejsc.

- Rozchodzimy się do klas. A w niedzielę, pamiętajcie: druga piętnaście! - I

Markoniec nie wiadomo czemu spojrział na mnie. Podszedłem do niego powoli.

- Jesteś jednak niewąską świnią! - rzuciłem mu prosto w twarz. Wszyscy na nas patrzyli. Chciałem, żeby mnie teraz uderzył. I czułem, że on wie o tym.

- Nie. Nie masz racji - odpowiedział spokojnie.

Gdybym mógł go w tym momencie wyróżnić, zrobiłbym to z taką przyjemnością, jak jeszcze nigdy w życiu. I dostałby dwa razy. Raz za to, co nam zrobił. A drugi raz za ten jego spokój. Za to jego „nie masz racji”. Nie mam racji, po prostu on wie lepiej i uważa sprawę za załatwioną.

Gdybym mógł go uderzyć... Przecież mogłem. To sekunda, jeden ruch. Dlaczego tego nie zrobiłem? Dlatego, że tak nie można? Nie. Dlatego, że się bałem. Bo nie jestem taki głupi, żeby wylecieć ze szkoły. I świadomość tego wszystkiego doprowadzała mnie do rozpaczliwej pasji. Zaciskałem pięści najmocniej, jak mogłem, żeby się jednak powstrzymać.

Patrzyliśmy na siebie z Markońcem tylko przez małą chwilę. Ale wydawało mi się, że biegną kwadranse, miałem dziwne uczucie, że ta jego spokojna twarz utrwała się gdzieś tam we mnie jak na fotograficznej kliszy. Zapamiętywałem go, zapamiętywałem go takim, jaki był w tym momencie. A był górą, był wygrany.

Odwrociłem się bardzo powoli. Spojrzałem na chłopców z drużyny. Wydali mi się nagle obcy, zupełnie obcy. W ciągu paru minut wyrosła jakby jakaś ściana między nami trzema a całą drużyną. Byli przecież jeszcze przed chwilą po naszej stronie. A teraz już są po tamtej. I pomyślałem: jak to łatwo postawić między ludźmi taką ścianę.

- Chodź! - Kmita popchnął mnie lekko. Za nami ruszył Kowal, potem inni.

- Chciałem z tobą porozmawiać...

To powiedział Markoniec. Ale nawet nie wiem, czy na pewno do mnie. Nie obejrzałem się, Kmita też nie.

- Wiecie co? Ja już nie wracam na lekcję! - odezwał się Kowal. - Brzuch mnie rozboleł, idę do lekarza...

- Głupek... - mruknął do mnie Kmita. - Po co się przyznaje, że aż tak go wzięło?

Długo w nocy nie mogłem usnąć, przewracałem się na łóżku, jakby mnie parzyło.

Wstawałem, robiłem sobie herbatę i otwierałem okno, żeby je za chwilę zamknąć. Wciąż od nowa, jeszcze raz i jeszcze, przywoływałem każde słowo, jakie padło tam, w świetlicy szkolnej. I wreszcie na te wszystkie obrazy, które rysowały się teraz tak wyraźnie, nałożył się ostatni. Może najbardziej bolesny, bo tego, o czym przy ławce nad Wisłą powiedział mi Kmita i Zawistowski, tego przecież nie widziałem. Mogłem to sobie tylko wyobrazić.

Moja siostra i Markoniec. Coraz to inaczej wyobrażałem sobie ich obydwójce i wciąż co innego widziałem. Coś złego dławilo mnie, wprost ścisnęło mi gardło. To była nienawiść.

5.

Jak cięcie noża, ostro, raptownie wrócił dzień. Już następny. Obudziłem się z tą właśnie myślą: sobota. I aż się zdumiałem: tak szybko? Która to godzina? Potrząsnąłem parę razy zegarkiem, włączyłem radio. Dokładnie ta sama, co na moim zegarku, dopiero szósta dwadzieścia. Dobrze przynajmniej, że mamy nie ma w domu. Znowu musiałbym odpowiadać na pytania: co się stało?

Może ty chory jesteś? Ale mama wychodziła zawsze do szpitala przed szóstą.

Leżałem na łóżku, trzymając tranzystor przy uchu, i starałem się myśleć o różnych sprawach, z wyjątkiem tej, przez którą tak wcześnie i nagle się rozbudziłem. Ale nie bardzo mi się udawało, nie było takie łatwe.

Odkąd przeprowadziliśmy się do nowego mieszkania, spałem w kuchni, na polowym łóżku, które dziadek nazywał zdobyczym, bo miał je od czasów wojny. Mama z Irmą zajmowały większy pokój, a dziadek drugi, mały, w którym oprócz tapczanu niewiele co się mieściło. W starym mieszkaniu dziadek spał w kuchni, a mama z nami w pokoju.

Kmita i Zawistowski, kiedy pierwszy raz po przeprowadzce przyszli do nas, od razu zaczęli się ze mnie nabijać.

- O, dziadek wam awansował! - zachichota! Kmita. - A ty powinieneś teraz otrzymywać specjalny dodatek za spanie w trudnych warunkach. Przyznaj się, a może podglądałeś siostrzyczkę i taka cię kara boska spotkała?

Grzmotnąłem Kmitę w żołądek, aż przysiadł na krześle. Przestał się wygłupiać. A Zawistowski powiedział: - Będziesz nam się teraz znacznie wolniej rozwijał umysłowo w tych kuchennych zapachach. Zwłaszcza uważaj na siebie w dniach, kiedy matka ugotuje kapuśniak. To bardzo szkodzi na szare komórki. W ogóle wróżę ci szybki powrót do stanu umysłowego ludzi pierwotnych!

Kmita odzyskał oddech i stęknął:

- Przestań mu mówić komplementy. On do tej pory jest na poziomie człowieka kopalnego z Jawy...

- Jakiej zjawy? - zainteresował się Zawistowski. Ale nie otrzymał odpowiedzi i na tym zakończyła się rozmowa o moim spaniu w kuchni. Okazało się zresztą, że wcale mi tu nie jest źle. Kuchnia była znacznie większa niż pokój dziadka, mama przegrodziła ją dużą szafą i

miałem jakby własny pokój.

Zgłosiłem radio. I jeszcze bardziej, kiedy wszedłem do duże-go pokoju, na pełny głos, żeby obudzić Irmę. Usiadła na tapczanie, rozglądając się nieprzytomnie.

- Co to jest? Co tak ryczy?

- Wstawaj!

- Zwariowałaś... - pokiwała smętnie głową. - Zupełnie już zwariowałaś. Zgaś to! - wykrzyknęła nagle, pewno dopiero teraz uświadamiając sobie, jaka to pora. - Zgaś, bo dziadka obudzisz!

- Zapomniałaś, że mama miała dzisiaj zabrać ze sobą dziadka? Na jakieś analizy...

- No, to miała zabrać czy zabrała? Ścisz radio i sprawdź, czy dziadka nie ma w domu. Posłuchałem.

- Jeśli jest jeszcze trochę czasu i zostaliśmy sami, to możesz teraz puścić jakąś płytę.

Wybierz coś spokojnego - zarządziła Irmina. - Wodę nastawiłeś?

Podciągnęła kolana pod brodę i zamyśliła się, zapatrzyła w okno. Przestała na mnie zwracać uwagę tak nagle i zupełnie, że poczułem się nieswojo, niepotrzebny, sam w tym pokoju, mieszkaniu. Chciałem ją jakoś zagadnąć, odezwać się do niej. Ale nie śmiałem. I zaskoczyło mnie to. Nagle przyszła mi do głowy myśl, która, być może, powinna przyjść od razu wczoraj, kiedy Kmita powiedział, że spotkał Irmę z Markońcem w kinie. Ale wtedy to mnie po prostu zdenerwowało. Narobił nam świństw i do tego jeszcze podrywa mi siostrę, a ta głupia łączy z nim nie wiadomo gdzie. I wszystko poza moimi plecami. Może nawet więcej niż zdenerwowało mnie. Ale teraz, kiedy patrzyłem na Irminę zamyśloną i nieobecną, przyszło mi do głowy pytanie czy raczej odpowiedź na wiele pytań: a jeśli ona się zakochała? Zatrzymałem płytę nagle, aż igła zgrzytnęła.

- Wstawaj wreszcie! Minęła siódma. Rób śniadanie!

- Co cię znowu napadło? Przecież zdążymy...

Nie powinienem dać się ponieść nerwom, to był błąd i dobrze o tym wiedziałem, ale nie mogłem się opanować.

- Niech ci się nie zdaje, Inna. że ja niczego nie widzę. I nic nie wiem. Możesz mamę czarować i dziadka, ale nie mnie! Irma zmieniła się na twarzy, miała teraz ściągnięte usta, odrzuciła włosy do tyłu.

- O czym ty mówisz?

- Dobrze wiesz, o czym. I o kim. Zadajesz się, idiotko, z byle kim i...

Urwałem i cofnąłem się odruchowo, Irma zeskoczyła gwałtownie z tapczanu, była wściekła, myślałem, że rzuci się na mnie.

- Co to znaczy „zadajesz się”? No, co to znaczy?

Milczałem, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Żebyś teraz zobaczył swoją głupią minę! - I popchnęła mnie ostro. - Idź, przejrzyj się! Z byle kim, z byle kim... - powtarzała. - A ty kim jesteś? Odczep się od niego. I ode mnie też!

- To znaczy, że się jednak przyznajesz!

- Do czego się przyznaję, bałwanie?! - krzyknęła.

- Do Markońca.

- Do kogo?

Była chyba naprawdę zdziwiona, nie udawała. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że nie знаła tego przezwiska. Ale w tym momencie chętnie uczepliłem się myśli, że to jakieś nieporozumienie. Widocznie bardzo chciałem, żeby tak było. Może Kmita zmyślił to wczorajsze kino albo pomylił się, zwyczajnie pomylił. W dużej grupie ludzi czekających na seans Irma mogła przecież zupełnie przypadkowo stać obok Markońca.

- No i co cię tak zatkało? - powiedziała trochę spokojniej. - O co tobie w ogóle chodzi? Od samego rana rozrabiasz jak pijany zając... Wyjdź stąd. Chcę się ubrać. Słyszysz?

Zanim zdążyłem dojść do kuchni, rozległ się dzwonek. Kogo tam niesie? O tej porze? W drzwiach stał Zawistowski.

- Stało się coś? - wystraszyłem się, bo nigdy Zawistowski nie przychodził do mnie przed szkołą. - Znowu Kmita zaginął czy co?

Zawistowski odsunął mnie bez słowa i poszedł do kuchni. Usiadł, rozejrzał się i skrzywił.

- Co robisz miny? Mów coś!

- Głodny jestem, nie jadłem śniadania - stwierdził ponuro i spojrzał na mnie z wyrzutem. - A tutaj, widzę, nic jeszcze nie przygotowane. Nic!

- Dlaczego nie jadłeś? Wyrzucili cię z domu?

- Jeszcze nie. Po prostu nie jadłem, bo nie miałem apetytu. W ogóle źle spałem przez tę waszą aferę z tym całym Markońcem, meczem i przez te wszystkie wasze bzdury... Rób śniadanie, ale szybko, bo się spóźnimy.

- Przecież nie masz apetytu!

- Nie miałem, ale już mam. Bo się przeszedłem. Dlatego tu jestem. Chciałem również sprawdzić, czy ty się, chłopie, czujesz zupełnie zdrowy na ciele i umyśle, bo dzisiaj będzie ciężki dzień.

- Wiem o tym i bez ciebie. Pokrój chleb! - powiedziałem i zacząłem się szybko ubierać. Ale zanim Zawistowski znalazł chleb, potem nóż i wreszcie masło, do kuchni weszła Irmina.

- Czy tu jest stołówka? Nie było was więcej? Odsuń się, jak ty nóż trzymasz? Zrób herbatę, jeśli potrafisz.

Szybko przygotowała parę kanapek i wyszliśmy razem. Do szkoły na szczęście było bardzo blisko. Nie tak blisko jednak, żebyśmy nie zdążyli z Zawistowskim zamienić paru zdań, kiedy Irma wyprzedziła nas i odbiegła do swoich koleżanek. Potem żałowałem, że dałem mu się wciągnąć w tę rozmowę, ale jakoś tak się złożyło.

- Rozmawiałeś z nią? Wiesz już coś? - spytał.

- O czym?

- Nie udawaj. Wiesz coś pewnego o niej i o Markońcu?

- A niby co ja mogę pewnego wiedzieć?

- To co? Wcale z nią o tym nie rozmawiałeś?

- Nie.

Zawistowski spojrzał na mnie z ukosa. Chyba nie wierzył.

- Myślałem, że cię interesuje, co porabia twoja własna siostra.

- A ja nie myślałem, że ciebie to w ogóle obchodzi!

- Bo nie obchodzi. Ale gdybym ja miał siostrę, tobym wiedział, z kim się zadaje...

- Co to znaczy „zadaje się”? Powiedz mi, co to znaczy? - chyba bezwiednie powtórzyłem słowa Irminy. Ale Zawistowski nie odpowiedział milczeniem i głupią miną, tak jak ja dziś rano.

- Nie wiesz, co to znaczy? - roześmiał się i raptownie umilkł. Chyba nie ze względu na mnie. Po prostu widocznie go to wcale nie śmieszyło. Więc co miał pokryć ten śmiech? Przyspieszył kroku, szedł teraz o pół metra przede mną. Przyszło mi coś do głowy.

- Zawistowski, przestałeś zajmować się Kaśką?

- Co cię obchodzi? - zachnął się, ale tylko na moment. Zmienił ton. - Dlaczego pytasz? Kaśkę znam tak samo jak ty. Zwyczajnie, koleżanka. I tyle.

- Tak?

- Tak.

Weszliśmy na dziedziniec liceum. Potem schody i korytarz na naszym pierwszym piętrze. Drugi dzwonek zastał nas tuż przed drzwiami klasy.

Zawistowski przystanął na chwilę.

- Załatwimy go jednak. Przyłączam się... Załatwimy Markońca tak, że się nie pozbiera - powiedział.

Druga lekcja była wolna i prawie cała klasa wyszła przed szkołę. Niebo zupełnie czyste, wielkie krzaki bzu pełne kwiatów, ciepło i cicho. A ja napięty jakiś i czujny, jakby za chwilę miało się coś wydarzyć.

Wielu chłopców z klasy w ogóle nie interesowało się piłką i sprawa rewanżowego meczu reprezentacji szkoły nic ich nie obchodziła. Do innych nie doszła jeszcze wiadomość o wycofaniu nas trzech ze składu drużyny. Ale właśnie teraz zaczęto o tym mówić dzięki Zawistowskiemu.

Odciągnął na bok Kmitę, Kowala i mnie, kilku żelaznych kibiców jeszcze się przyłączyło, stanęliśmy w małej grupie.

- No i co, panowie piłkarze? - spytał Zawistowski. - Woda w buzię, czyli sejm niemy?

Nie wyglądacie na takich, którzy wiedzą, co robić. Wylęgło wam się coś przez noc w tych waszych mizernych zwojach?

- W jakich znowu zwojach? - zdziwił się Kowal.

Dobry to był chłopak, ale bardzo wolno myślał. Ciekawe, że bramkarz, który miał znakomity refleks na boisku, ledwo z niego zszedł, momentalnie przypominał śniętą rybę.

- Kiedyś ci to wyjaśnię, bo teraz nie mam czasu - odpowiedział mu Zawistowski. - I nie przejmuj się, Kowal, ty nie masz zbyt wielu zwojów, pytanie nie było do ciebie.

- Sądziś, że powinniśmy jakoś zaprotestować? - spytał jeden z kibiców. - A co to da? Każdy trener ma prawo zestawić skład drużyny, jak chce, jak uzna za stosowne.

- Ale mądrze!

- Właśnie - poparł Kmitę Kowal. - Ale mądrze zestawić.

- To fakt, że w tym wypadku... wiecie, że to w ogóle trudno pojąć! Wyłączenie z gry trzech najlepszych to posunięcie bezsensowne...

- Albo? - przerwał pytaniem Zawistowski. - Pomyśl trochę, skup się, bracie. Albo jakie?

- Szkodliwe. Nie?

- No widzisz. Już lepiej powiedziałaś! - pochwalił go Zawistowski. - Więc jest to błąd albo... Albo co? Ruszcie głowami!

- Nie rozumiem cię. - I Kowal wzruszył ramionami. - Błąd albo co?

- Albo działanie na niekorzyść drużyny - wyjaśnił spokojnie Zawistowski. - Czyli na korzyść przeciwnika!

- Coś ty? - wystraszył się Kowal i zaległa cisza.

- Uwaga... - mruknął po chwili Kmita. - Idzie bohater sprawy. Zmieńmy temat.

Odwróciliśmy się wszyscy jak na komendę i Markoniec, który najwyraźniej szedł w naszą stronę, widocznie uświadomił sobie, że mówimy o nim, i rozmyślił się, skreślił do ławki stojącej pod murem. Siedziały tam dziewczęta, wystawiając twarze do słońca. Zrobiły Markońcowi miejsce, zaczęli o czymś rozmawiać.

Patrzyłem na nich i pomyślałem sobie, co by było, gdybym tak na ławce w Łazienkach czy w innym parku zobaczył Irminę z Markońcem. Podszedłbym do nich? Na pewno nie. Więc co? Udawałbym, że nie widzę?

Co ich właściwie łączy? A jeśli naprawdę Irma się zakochała? I co ja mam z tym zrobić? Powiedzieć mamie? Bzdura. A może jednak... A co bym zrobił, gdyby to był kto inny, nie akurat on? Albo nawet i Markoniec, tylko nie właśnie teraz, kiedy mam z nim swoje własne porachunki? Nie znajdowałem odpowiedzi ani na jedno z tych pytań.

Zanim się spostrzegłem, chłopcy odeszli parę kroków. I nagle znowu rozżłościło mnie to wszystko: stoję jak głupiec na środku dziedzińca szkolnego i wpatruję się w Markońca. Śmieszne.

6.

Wciąż od nowa zaskakiwał nas Zawistowski, i Kmitę, i mnie, choć przecież znaleźliśmy się już chyba nieźle, ciągle widziano nas razem, a stary Orzechowski powiedział kiedyś wobec całej klasy swoim suchym, drewnianym głosem:

- Takich dwóch jak was trzech to nie ma ani jednego...

- Pan profesor powinien pisać aforyzmy, zamiast męczyć się tu z nami - pochwalił go Zawistowski. - Albo w ogóle książki pisać!

- Myślisz? - uśmiechnął się Orzechowski, co mu się prawie nigdy nie zdarzało. - Szczerze wątpię, czy masz rację. Wolę rysować, niż pisać. A to powiedzenie wcale nie jest moje. Zapamiętałem to z jakiegoś przedwojennego filmu czy może piosenki...

- Sprzed wojny można w ogóle jeszcze coś takiego pamiętać? - zdziwił się ktoś z klasy. - Mój stary pamięta tylko, że siedział na kartoflach w piwnicy, jak bombardowano Warszawę.

- Głupiś! - odpowiedział, podchodząc do jego stolika, Orzechowski. - I widocznie twój stary jest jeszcze zupełnie młody. A nawiasem mówiąc, wyjaśnij mi, co ty tutaj przedstawił na tym rysunku, żebym chociaż wiedział, za co dostaniesz dwójkę.

- To jest bryła Zamku Warszawskiego...

- Możliwe, że bryła. Ale na pewno nie Zamku. Niedostatecznie!

- Panie profesorze - odezwał się wtedy Zawistowski - res sacra miser . Więc może jednak?

Klasa znieruchomiała. Nie rozumieliśmy. A profesor Orzechowski spojrzał na Zawistowskiego uważnie.

- Myślisz? No dobrze. Dostanie trójkę, z litości.

Od pierwszego dnia zaskakiwał nas Zawistowski. Kiedy po ogłoszeniu listy przyjętych do liceum postanowiliśmy to jakoś uczcić, zaproponował kino. Za pieniądze Kmitę, bo Zawistowski i ja nie mieliśmy ani złotówki. Poszliśmy spod szkoły spacerem na Nowe Miasto i właśnie tam, przy kasach „Warsa”, poznaliśmy Markońca. Stał z jakąś dziewczyną i liczył pieniądze.

- Cześć! - powiedział. - Sprawdziliście już listę? Przyjęli was?

- Przyjęli. A ciebie?

- Mnie też. I ją. Poznajcie się... to jest Kaśka.

- Katarzyna! - poprawiła z naciskiem. - Kaśka była w podstawówce, do wczoraj.

- Przecież nie będzie do ciebie mówił „Katarzyno”... - zauważył Zawistowski. - Bo to się źle rymuje.

- Będzie mówił. I ty też będziesz. A z czym ci się rymuje?

- Z pierzyną.

- O, jaki dowcipny. Z czym jeszcze? - zapytała.

- Z cielęcina i gęsiną.

Sądziłem, że dziewczyna się obrazi. Ale nie. Roześmiała się głośno.

- A z maliną, jarzębiną, czeremszą... - wyliczała. - Nie rymuje ci się z tym wszystkim?

- Owszem, rymuje! - przyznał Zawistowski. - Tylko z tym ostatnim nie, bo nie wiem, co to jest.

- Czeremszą? Z piosenki: czeremcha. Po rosyjsku.

- W dalszym ciągu nie wiem, jak to wygląda po polsku.

- Ładnie.

- A więc mi się rymuje - zgodził się i uśmiechnął.

- W porządku. Możesz mi mówić Kaśka albo jak chcesz. Ale tylko ty. Dla innych jestem Katarzyna.

- Nie macie, panowie, trzech złotych? - odezwał się Markoniec, który chyba dość

niechętnie słuchał całej rozmowy, ale był nią równie zaskoczony jak my. Tylko że nam Zawistowski wyraźnie zaimponował. - Macie czy nie? Bo mi zabrakło do biletów. Kmita dał mu pieniądze i Markoniec stanął w kolejce. Była dość długa, więc wyszliśmy z Kaśką przed kino.

- Chodźcie, usiądziemy tam, przy studni! - zaproponował Zawistowski. - Bardzo lubię rynek Nowego Miasta, bardziej niż Starówkę. Tu jest ładniej.

- E tam... - mruknąłem, żeby się włączyć do rozmowy. Ale tylko Kmita mnie usłyszał.

- Jak się namyślę, to ci pokażę jeszcze ładniejsze miejsca! - powiedziała Kaśka do Zawistowskiego.

- Jak się namyślisz, to pokażesz?

Zarumieniła się lekko. Postanowiłem to jakoś zagadać.

- Skąd ty go znasz, Zawistowski? Chodziłeś z nim do szkoły?

- Tego, co poszedł po bilety? Pierwszy raz go widzę na oczy. Widocznie on nas poznał.

- Skąd poznał? - spytał Kmita.

- Sprzed liceum. Czy ja wiem? Ale ciebie, Czeremcha, oczywiście zauważyłem koło szkoły... - powiedział Zawistowski do Kaśki. - Ciebie nietrudno zauważyć.

Odtąd nazywał ją Czeremchą i nikt oprócz nas nie wiedział, skąd się to wzięło. A kiedy przyszło w klasie do wybierania miejsc, usiedli przy jednym stoliku i wiele osób myślało, że znają się od dawna.

Tam, pod kinem „Wars”, zanim Markoniec wrócił z biletami,

Kaśka powiedziała nam o nim parę słów, które wtedy niewiele znaczyły.

- Nie znaliście Marka? - zdziwiła się. - Zaczepił was przecież jak starych znajomych...

- Potrzebował trzech złotych, nie?

- To fakt, ale myślałam, że znacie go z klubu. On gra w „Polonii”.

- W domino? - zażartowałem.

- W piłkę nożną, w juniorach. No, wiesz? - oburzyła się. - Też coś, w domino!

- Nie odróżniam obu tych sportów - stwierdził Zawistowski z powagą. - Innych zresztą również...

- Nie wygłupiaj się - przerwał mu Kmita. - Przecież wiem, że dobrze pływasz!

- Bo pływam. Ale to zupełnie inna sprawa. Każdy człowiek powinien umieć tak samo dobrze poruszać się w wodzie, jak i na lądzie.

- Sam to wymyśliłeś? - roześmiała się Kaśka.

- Nie, to teoria mojego ojca...

- A kim on jest?

- Wstyd powiedzieć... - skrzywił się Zawistowski. - Trenerem pływackim. Może dlatego nie cierpię sportu. Zmieńmy temat. Od dawna znasz tego swojego piłkarza?

- Dlaczego swojego? Chodziliśmy razem do szkoły, od pierwszej klasy. Ale nie wiem, czy go znam.

- Taki tajemniczy?

- Wcale nie, ale... Nawet nie wiem, jak to powiedzieć. On jest zawsze taki sam.

Rozumiecie?

- Nie rozumiem - mruknął Zawistowski. - Ani w ząb.

- Ja też nie - przyłączył się Kmita.

- Ani ja. Jeśli jest zawsze taki sam, to powinno być łatwo go poznać.

- Niby tak... Ale jednak nie. No, nie! - upierała się Kaśka. - Bo jak ktoś czasem się wygłupi, raz się wścieka, a raz się znów obraża, i różny jest w różnych sytuacjach, to można go poznać. A z Markiem jest jakoś inaczej.

- Może się umie maskować?

- Nie o to chodzi... Bo ja wiem? Nie potrafię wam wytłumaczyć. On jest jakiś inny.



Przekonacie się sami. Ale to dobry chłopak. Słuchajcie! Ja zobaczę, jak on daleko jest od kasy, dobra? Zaraz początek seansu, spóźnimy się na kronikę!

Zostaliśmy na chwilę sami.

- Co wy na to? - spytał Zawistowski. - Podłapaliśmy towarzystwo. Może trafimy do jednej klasy?

- Przydałoby się, skoro on taki kozak, że nawet jest w klubie - powiedział Kmita. - Ja też gram w nogę. Pewno więcej się takich znajdzie, może coś z tego wyjdzie...

- Dlaczego ona tak dużo o nim mówi? - zastanawiał się Zawistowski.

- Sam ją zapytałeś, więc ci odpowiedziała.

- Niby tak - i spojrział na mnie. - Macie te same imiona, trzeba mu dać jakieś przezwisko. Pomyśli się o tym.

Przezwisko powstało trochę od imienia, trochę od nazwiska. Znacznie później, kiedy okazało się, że w klasie jest aż trzech Marków. I obu moim imiennikom przezwiska wymyślił Zawistowski. Były na tyle dobre, że przyjęły się w szkole.

Wróciła Kaśka z Markońcem.

- Kupiłeś? - I Zawistowski wyciągnął rękę po jego bilety. - O, zupełnie inny rząd... to nic, spotkamy się po filmie.

Patrzyłem zdumiony, co on robi. Rozerwał oba bilety Markońca, jeden zatrzymał, a drugi podał Kaśce.

- Chodźmy! - powiedział. - Już późno.

Nikt nie zaprotestował. Markoniec spojrział tylko szybko na Kaśkę, ale udała, że tego nie widzi. Weszliśmy do kina. A Kmita, kiedy siadał między mną a Markońcem, mruknął nie wiadomo do kogo:

- Coś mi się wydaje, że oni bardzo zaprzyjaźnili się przez te parę minut...

- Możliwe - odpowiedział spokojnie Markoniec. - Przecież to ładna dziewczyna.

Zawistowski miał zagrania. Pod kinem „Wars” po raz pierwszy się o tym przekonałem, ale potem obaj z Kmitą często dochodziliśmy do wniosku, że nigdy nie można przewidzieć, z czym Zawistowski i kiedy wystrzeli. Ciągle nas zaskakiwał.

Teraz też. Przez całą trzecią lekcję, niewiele zwracając uwagi na to, o co chodzi przy tablicy, obserwowałem klasę. Widać było wyraźnie, jak zmienia się w niej nastrój. Zaczynały krążyć kartki, wymieniano porozumiewawcze spojrzenia. Zawistowski działał.

Na przerwie znowu zgromadził koło siebie zainteresowanych całą sprawą.

Podszedłem do nich. Mówili wciąż o tym samym, tylko coraz goręcej.

- Posłuchajcie, co wymyśliłem - zaczął Kowal. - Markoniec mógł nagadać Iwanickiemu o nas trzech coś takiego, że tamten musiał nas wyłączyć z rewanżu, choćby drużyna miała bez nas przegrać.

- Na przykład co?

- Nie wiem. Różne rzeczy można zmyślić. Ale coś takiego, o czym my nie wiemy. Bo przecież ta cała gadka o złych stopniach i zachowaniu Kmity to nie są poważne argumenty. Jakie znaczenie może mieć dla stopni jeden dzień, jeden mecz?

- Mogło tak być - zgodził się Kmita. - Ale dlaczego to zrobił?

- O to właśnie cały czas chodzi. Jakie Markoniec miał motyw? Prywatnych, czy nawet osobistych, też nie można wykluczyć. Przychodzi wam coś do głowy? - spytał Zawistowski.

Nic nam nie przychodziło. Nic takiego, co by w jasny sposób tłumaczyło, dlaczego Markoniec tuż przed meczem rewanżowym postanowił uderzyć akurat w nas trzech: w Kmitę, we mnie i w Kowala, który ani z Kmitą, ani ze mną nigdy nie miał nic wspólnego. Zaczynała więc wracać myśl, którą Zawistowski podsunął wcześniej, na dziedzińcu szkoły.

- Jest pewne, że bez nas trzech Markoniec nie wygra tego meczu - powiedział Kmita. - Iwanicki też musi sobie z tego zdawać sprawę. To jest murowane. I dlatego ja niczego nie

rozumiem. Chyba że... nie chcą, rzeczywiście nie chcą wygrać meczu. Albo tylko Markoniec nie chce! A Iwanicki został przez niego w jakiś sposób wprowadzony w błąd.

- Rozumujesz logicznie, owszem - pokiwał głową Zawistowski. - Doszliście więc nareszcie do czegoś. A powiedzcie mi jeszcze, z kim wy w ogóle gracie? I o co? O pietruszkę czy o coś ważnego? Co będzie, jeśli drużyna przegra ten rewanż?

Zbaranieliśmy zupełnie, wszyscy.

- Czyś ty na głowę upadł? To ty dopiero teraz o to pytasz? - oburzył się jeden i drugi kibic. - Grają z „Błękitnymi”, to jest kombinowany skład z Mokotowa, oparty na juniorach „Warszawianki”. Przecież to finał rozgrywek warszawskich. Nie wiedziałeś?

- Słuchaj no, Zawistowski! Jeśli ty nawet nie wiesz, z kim i o co gramy, to co ciebie to wszystko aż tak obchodzi?

- Przecież ciebie zupełnie sport nie interesuje!

- Ani trochę - odpowiedział Zawistowski.

- Naprawdę nie wiedziałeś? - gorączkował się Kmita. - No to o czym my w ogóle z tobą rozmawiamy? Nas krew zalewa od wczoraj, a ten idiota właściwie nie wie, o co nam idzie! Wiesz, że to przechodzi wszelkie pojęcie. Odejdź, bo jak cię rąbnę...

Zawistowski uśmiechnął się grzecznie jak na imieninach u cioci i powtórzył pytanie:

- Powiedzcie mi, co będzie, jeśli drużyna przegra niedzielny rewanż?

- Jeśli nasi przegrają z gorszym stosunkiem bramek, niż wygraliśmy w czwartek, to „Błękitni” pojedą w lipcu na obóz i turniej do Berlina, a nie my. Gramy o to, kto będzie reprezentował Warszawę, jasne?

Oburzony Kowal zamierzał odwrócić się z niechęcią, jeszcze moment i wszyscy byśmy się rozeszli. I właśnie wtedy Zawistowski powiedział głośno, ale bardzo spokojnie:

- Żeby było zupełnie jasne: wcale mnie nie obchodzą te wasze głupie mecze. Nic a nic. Na boisku możecie się kopać, ile wlezie. Ale teraz kopiecie się poza boiskiem i to zaczyna być ciekawe. Bo to już jest afera! I to poważna afera...

Kowal wlepił w Zawistowskiego wybałuszone oczy i głośno przełknął ślinę. Kmita kiwnął głową, ja milczałem. Wszyscy spoważnieli i wreszcie padło to pytanie, na które Zawistowski jakby czekał.

- Więc co robisz?

- W całej szkole rozpowszechnić jak najszybciej wiadomość, że nasza drużyna przegra niedzielny mecz i nie wyjedzie za granicę, ponieważ tak postanowił Markoniec - odpowiedział Zawistowski. - Rozumiecie dobrze? Tylko tyle możemy zrobić, ale to już jest bardzo wiele. Powinien powstać spory szum.

7.

Mijały lekcje i przerwy, coraz więcej osób z różnych klas dowiadywało się o tym, o czym chcieliśmy, żeby dowiedzieli się wszyscy. Sprawa dawno wyszła z naszej klasy, u nas właściwie było już spokojnie i pewno dlatego Markoniec zupełnie się nie zorientował, co się dzieje. Obserwowałem go uważnie, zajmował się lekcjami, jak zawsze, i w ogóle niewiele rozmawiał z kimkolwiek. Jak zwykle też, po ostatniej lekcji prawie zaraz wyszedł ze szkoły. Ja, Zawistowski i Kmita - przeciwnie, wcale nie spieszyliśmy się do domów. Ktoś powiedział, że najstarsze klasy mają dziś po siedem lekcji, i Zawistowski uznał, że sensownie będzie pokręcić się jeszcze przez tę godzinę po szkole i dziedzińcu. W pewnym momencie zniknął nam zresztą z oczu. Kowal, który również wyjątkowo dziś nie spieszył się jakoś na obiad, obnosił po szkole obrażoną minę ciężko skrzywdzonej gwiazdy sportowej. Kilka razy słyszałem, jak na pytania, dlaczego nie będzie grał w niedzielę, odpowiadał skromnie:

- Bo jestem w zbyt dobrej formie. A Markoniec postanowił przegrać mecz. Więc jak mogę grać?

Kmita również chętnie informował:

- To prawda. Nie gram. Dwóch najlepszych napastników Markoniec wycofał ze składu. Jeszcze moglibyśmy jakąś bramkę strzelić i co wtedy? Początkowo śmiać mi się chciało, kiedy tego słuchałem. Ale po jakimś czasie przyszło mi do głowy, że Kowal rzeczywiście głęboko wierzy w to, co mówi. A Kmita, przekonując innych, najszybciej przekonał samego siebie, że jest właśnie tak, jak on to przedstawia. Wydawało się, jakby zupełnie już zapomniał, że przecież sami to wszystko wymyśliśmy.

- Kmita, czy ty nie przesadzasz? - powiedziałem do niego w pewnej chwili. - Przyhamuj...

- Zwariowałeś? - oburzył się. - Przecież jest tak, jak im mówię. Doszliśmy do tego logicznym rozumowaniem: to jest afera! I trzeba iść na całego.

Cała historia rozeszła się po szkole niby niepostrzeżenie, ale skutecznie, zaczęła jakby żyć własnym życiem. Przestało tu już dawno chodzić o nas trzech. Zawistowski podpowiedział słowa, które miały swój ciężar: motywy, afera, działanie na korzyść przeciwnika... To już mogło zainteresować nawet tych, którym było wszystko jedno, kto komu gola strzeli.

A kiedy tuż przed naszym wyjściem ze szkoły podeszło do nas w szatni dwóch czy trzech maturzystów i zapytali zupełnie serio, czy to prawda, że nasza drużyna ma się w niedzielę podłożyć „Błękitnym”, zrozumiałem ostatecznie, że cały plan Zawistowskiego był bezbłędny.

- Przyjdźcie, to sami zobaczycie - odpowiedział Kmita. - I przyprawdźcie innych. Co ja tam będę mówił. Po prostu przegramy mecz, i cześć.

- Taka podkładka na chama? Przecież to granda w biały dzień. I tak wam to jasno powiedzieli? Kto?

Kmita zajął się nagle sznurowaniem półbutów. Może zawahał się w tym momencie? Miał zaciętą twarz, z której pytający mogli sobie wyczytać, co chcieli. Ale milczał.

- Ja nie mogę zrozumieć, w imię czego mamy oddawać komuś innemu taki wyjazd, zagraniczny obóz? - denerwował się jeden z maturzystów. - No, wytłumaczcie mi: w imię czego? Po co? Dlaczego?

W tym momencie diabli przynieśli Zawistowskiego. - Przepraszam - wtrącił bardzo słodko - nie dosłyszałem... Zapytałeś „dlaczego” czy też może „za ile”?

Było nas w szatni kilkunastu, ale cisza zapadła jak w kościele.

- Nieprawdopodobne... - bąknął ktoś. - Ty myślisz, że...

- Ja myślę? - naskoczył na niego Zawistowski. - Dajże mi święty spokój, bo akurat mnie to wszystko guzik obchodzi! Sami coś mówicie, a potem zadajecie mi głupie pytania... Chodźcie, panowie! - To było do nas.

- Słuchajcie! A gdyby tak w tej chwili, wszyscy jak tu jesteśmy, iść z całą sprawą do dyrektora? - zaproponował któryś ze starszych chłopców.

Zawistowski uśmiechnął się ironicznie, może tylko ja zauważyłem, że uśmiechnął się nieznacznie, i powiedział spokojnie:

- Dyrektor wyjechał w czwartek, a wróci dopiero w poniedziałek. W pokoju nauczycielskim nikogo już nie ma. Sprawdziłem.

Wyszliśmy wszyscy ze szkoły.

- No więc jak? - Zawistowski wyraźnie czekał na oklaski, kiedy zostaliśmy już sami, we trzech. - Znowu macie głupie miny? Przecież zagraliśmy to nieźle. I poszło w lud jak cytryny na Wielkanoc!

- Masz łeb - powiedziałem. - Ale teraz już nie ma odwrotu.

- I dobrze... - mruknął Kmita. - Należy się to Markońcowi, załatwimy go skutecznie, do końca.

- Przecież to się już stało.

- O, nie! - I Zawistowski znowu się uśmiechnął. - Nie. Do końca daleko!

Zapamiętałem ten uśmiech. Był groźniejszy niż nienawiść Kmity. I znowu Zawistowski mi zaimponował. Podobnie jak wtedy, pierwszy raz pod kinem „Wars”. Tylko inaczej, zupełnie inaczej.

Kiedy przyszedłem ze szkoły, dziadek już był w domu. Irma jeszcze nie wróciła.

Może pojechała do mamy, do szpitala, żeby tam zjeść z nią obiad. Czasami tak robiła.

- Niech dziadek da parę złotych, bo nic tu nie mogę znaleźć. Pójdę do baru mlecznego...

- Nie jadłeś obiadu w szkole?

- Nie... Jakoś zapomniałem z tego wszystkiego! - wyrwało mi się szczerze i zaraz tej szczeroci pożałowałem.

- Masz kłopoty? - spytał dziadek. - Może coś opowiesz?

Znowu to samo co wczoraj wieczorem, co zawsze, kiedy tylko człowiek powie o sobie choć jedno słowo. Pytania, zawsze te pytania, dziesiątki pytań i uważne, przenikliwe spojrzenia, w których niby nie ma podejrzliwości, ale i nie ma cienia przekonania, że odpowiedzi będą szczerze. Drażniło mnie to, denerwowało, może nawet przesadnie, i nie zawsze umiałem się opanować.

A równocześnie przecież zdawałem sobie sprawę, że nie ma innego sposobu, żeby dowiedzieć się czegoś o kimś drugim, jeśli sam niczego nie mówi. Można tylko pytać i czekać na odpowiedź, choćby taką bez słów. A może są inne sposoby? Jakie? Słuchać tego, co opowiada ktoś trzeci?

Dziadek cierpliwie czekał na moją odpowiedź, ale nie otrzymał jej. I nie był tym wcale zaskoczony. Od dawna starałem się nie mówić w domu nic o sobie, starałem się, bo czasem jeszcze coś mi się tam wyrwało. Coraz rzadziej jednak, choć nie wiem, czy było mi z tym milczeniem lepiej.

- No więc? Jak będzie z pieniędzmi? Nie ma dziadek?

- Proszę... - Podał mi dwadzieścia złotych i poszedł do swojego pokoju.

Ale ja się rozmyśliłem. Dość nieoczekiwanie doszedłem do wniosku, że właściwie nie jestem głodny i mogę poczekać na mamę. Jest sobota, powinna wcześniej wrócić.

Położyłem się na tapczanie i włączyłem adapter, który stał obok na podłodze. Ta sama płyta, którą rano graliśmy z Irminą, ta sama, którą tak gwałtownie wtedy zatrzymałem. I pomyślałem sobie: czy ja potrafię jeszcze zapytać Irmę o cokolwiek? Zapytać poważnie. Czy będę miał odwagę? Płyta kręciła się, słyszałem muzykę, nie słuchając jej wcale.

Nie pamiętam już, kiedy przestaliśmy z Irminą rozmawiać, to znaczy, kiedy przestaliśmy umieć rozmawiać ze sobą. Nie można tego przecież wiązać z jakimś wydarzeniem ani ustalić w datach, przyszło nie wiadomo skąd. Tak po prostu stało się samo. Nawet trudno to nazwać... to nie była niechęć ani obojętność, nie kłóciliśmy się przesadnie często i nie robiliśmy sobie na złość. Przeciwnie, dawniej, kiedy byliśmy młodszy, wciąż wybuchały między nami awantury, tłukliśmy się czasem ostro, Irma ryczała, pędziła do mamy na skargę... a jednak dawniej było lepiej.

Wiedziałem o mojej siostrze wszystko, nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic. I oto, zupełnie nie wiadomo kiedy, przestałem o niej cokolwiek wiedzieć i wszystko, co jej dotyczyło, stało się jakąś jedną wielką tajemnicą. Nie potrafiliśmy już rozmawiać, umieliśmy tylko mówić do siebie, częściej lub rzadziej, ale tylko mówić. Może to jej wina, nie wiem, może niczyja. Irma zmieniała się prawie w oczach, z tygodnia na tydzień. Była bardzo ładna, więcej niż ładna, wiedziałem o tym tak dobrze, jak i wszyscy inni. I czasem sobie myślałem, że chyba znacznie łatwiej być bratem zwyczajnej czy nawet brzydkiej dziewczyny.

Coś dziwnego zaczynało się dziać w naszym domu. Początkowo odczuwałem to jako coś bardzo nieuchwytnego, przejawiało się w drobnych nastrojach, nieoczekiwanie urwanych słowach, niepotrzebnych gestach i zdaniach, które nie prowadziły do niczego. Jakies niby

przypadkiem trzaskające drzwi, z nagła podniesiony głos i długie godziny ciszy. A przecież nasz dom nie przeżył ostatnio żadnych wyraźnych wstrząsów, które mogłyby tłumaczyć pojawiające się pęknięcia i rysy, coraz głębsze i bardziej widoczne.

Chciałem o tym rozmawiać, ale uznałem, że nie mam z kim.

Choć równocześnie zdawałem sobie sprawę, że i każde z nich, być może, również tego samego chce, ale rozgrzesza się, jak i ja, podobną myślą. Najbardziej żałowałem, że nie mogę już rozmawiać z Irmą. Tak naprawdę tylko na niej mi zależało. Ale moja piękna siostra była już dla mnie za szybą, niby obok, a przecież właśnie tak: za szybą.

Nawet dziadek, który od lat zastępował nam ojca, uczestniczył we wszystkim i miał dawniej na wszystko wpływ, nawet on zaczął się jakby zmieniać. Czy stary człowiek, tak stary jak dziadek, może się jeszcze zmienić? Nie wiem. Łatwo nie odpowiadać na cudze pytania, a tak trudno czasem odpowiedzieć sobie na własne...

Dobiegała końca druga strona płyty, leżałem na tapczanie Irminy i zacząłem przypatrywać się Norze, która oparła pysk na łapach i, prawie dotykając nosem adaptera, drzemała albo udawała, że drzemie. Wiedziałem, że kiedy płyta stanie, pies zerwie się i zacznie ujadać. Uspokoi się dopiero wtedy, gdy znowu uruchomię adapter albo zdejmę płytę i schowam do koperty. Kiedy Nora była mała, Irma bardzo długo ją tego uczyła. I wreszcie pies skojarzył, że jeśli czarny krążek leży na adapterze, to nie może być ciszy, bo coś nie jest w porządku, i należy czekać, żeby nas o tym zawiadomić.

Dziadek co prawda nigdy nie przyjął do wiadomości tego sukcesu treserskiego Irmy.

Śmiał się z nas i twierdził, że wmawiamy to sobie i psu. Zachowanie Nory tłumaczył zupełnie na odwrót.

- Po prostu pies nie cierpi płyt, może boi się tych czarnych krążków... Szczekałby na nie zawsze, ale kiedy słyhać muzykę, nie pozwolicie psu czekać. Więc wyczekuje, aż płyta przestanie grać, i wtedy szczeka, bo wie, że już mu wolno!

Robiliśmy różne eksperymenty, żeby dziadka przekonać, ale nic to nie pomogło, tym bardziej że pies parę razy wygłupiał się i ujadał na widok płyty leżącej na krześle.

Patrzyłem więc na Norę, żeby po raz któryś utwierdzić się w naszym poglądzie na ten temat, ale zanim płyta dograła do końca, pies zastrzygł uszami, zerwał się i popędził do przedpokoju. Zaczął skomleć i skrobać w drzwi.

- Otwórz! Inka idzie! - zawołał dziadek ze swojego pokoju. Tylko on mówił tak na Irminę.

Rozległ się dzwonek i prawie równocześnie otworzyłem drzwi. W pierwszej chwili poczułem się bardzo dziwnie, ale było to tylko zaskoczenie, ogromne zaskoczenie i nic więcej.

- Już jesteś? To dobrze... Zejdź na dół, do warzywnego, mama tam stoi po ziemniaki, pomożesz jej przynieść.

To Irma mówi. I zaraz potem Markoniec, który stoi tuż za nią:

- Cześć.

A dziadek, od drzwi swojego pokoju:

- O, Marek przyszedł. Nora, cicho! Przyniosłeś tę książkę? Dostaliście ją jednak?

Chodźcie...

Odsunąłem się, żeby mogli wejść.

8.

Nic nie przychodziło mi do głowy, zupełna pustka, ani jednej myśli. Irma ucałowała dziadka, jak zwykle, kiedy wracała ze szkoły. Usłyszałem, jak Markoniec mówi do mnie półgłosem:

- Przy okazji możemy chwilę porozmawiać. Chciałem ci...

- Nie widzę żadnej okazji - odpowiadam. - Nie jestem ciekaw, co chciałeś.

- Ale przecież...

- Nie.

Irma już była przy nas.

- O czym mówicie?

Nie otrzymuje odpowiedzi ani ode mnie, ani od niego. Czeką chwilę i rezygnuje.

- Chodź do pokoju dziadka, nie stój tak - mówi do Markońca.

A wtedy dziadek:

- Wy się przecież znacie, prawda?

- Nie! - powiedziałem spokojnie. - Nie znamy się, dziadku, ale to nie ma nic do rzeczy... - I wyszedłem, zamykając za sobą drzwi bardzo uważnie, żeby przypadkiem nie trzasnęły.

Zbiegłem na dół, do sklepu. Mama już wychodziła, niosła pełną siatkę ziemniaków, jakieś torby, chleb, jak to w sobotę.

- No, dzień dobry... Irmina miała zejść. A wysłała ciebie? Pomóż trochę. Nie mogę sobie dać rady z tym wszystkim.

- Przyjechałaś z nimi?

- Tak, byli u mnie w szpitalu. Irma dzwoniła ze szkoły, że przyjdzie zaraz po lekcjach z twoim kolegą, który potrzebuje pilnie recepty. Więc poprosiłam dyżurnego lekarza, żeby mu wypisał te zastrzyki...

- Jakie to zastrzyki?

- Po co wypytujesz, skoro i tak się nie znasz. Zastrzyki na wątrobę. Dla jego matki, tak? Dobrze zrobiłeś, że przysłałeś go z Irminą...

Wchodziliśmy na schody.

- I wiesz, świetnie się złożyło - mówiła mama - bo akurat wychodziła z pracy pielęgniarka, która tam gdzieś koło niego mieszka, na Francuskiej. Więc wzięła receptę, wykupi w aptece i pójdzie zrobić pierwszy zastrzyk...

Na piętrze minął nas Markoniec, który już zbiegał z góry.

- Jeszcze raz bardzo dziękuję! Do widzenia pani.

- Jakbyś coś pilnego potrzebował, to zawsze możesz przyjść albo poprosić przez Marka...

- Tak, oczywiście, dziękuję! - odkrzyknął Markoniec, już z dołu.

Weszliśmy do mieszkania.

- Popatrz tylko - powiedziała mama - ledwo przyszła, a już te płyty, w koło Macieju.

Wyłącz adapter!

- Dlaczego zgasiłeś? - zapytała Irmina z pokoju dziadka. - Już wam przeszkadza!

- Chodź tutaj i pomóż mamie!

- Za chwilę. Rozmawiam teraz z dziadkiem. Ty też możesz pomóc.

- Uparta dziewczuszko... Rozpakuj te zakupy, a ja się trochę położę - mówiła do mnie mama. - Nie kłóć się z nią, niech sobie pogadają, potem ją pogonię do roboty. Mówię ci, jak mi w głowie huczy, ciężki dzień dzisiaj, byłam przy sześciu operacjach. Całe szczęście, że to jutro niedziela.

Tak - pomyślałem - bardzo dobrze, że to już jutro ta niedziela. Nie miałem właściwie pojęcia, co od niej zależało i czy rzeczywiście może stać się dniem rozstrzygnięć i jakich, ale narzucając innym nerwowy klimat oczekiwania na niedzielny, rewanżowy mecz z „Błękitnymi”, sami również z Kmitą i Zawistowskim na-sięknęliśmy nim jak gąbki. Każdy, co prawda, w inny sposób.

Ledwo mama się położyła, zadzwonił telefon. Mieliśmy go od niedawna, załatwili to ze szpitala, od kiedy mama została oddziałową na chirurgii.

- Odbierz! - powiedziała. - Może to coś ważnego.

Po drugiej stronie wydierał się Zawistowski:

- Przyjdź do mnie, ale szybko! Opowiedziałem ojcu całą tę historię z waszymi meczami, ale on mi zadaje jakieś szczegółowe pytania, na które nie umiem odpowiedzieć...

- A po diabła w ogóle mówiłeś ojcu?

- Przecież wiesz, że jest trenerem...

- Ale pływackim. Co ma piernik do wiatraka?

- Ma! Ojciec wychodzi za godzinę na jakąś naradę o sporcie szkolnym. Tam będą różni działacze sportowi z całej Warszawy. Jeśli namówimy starego, żeby o tej hecy opowiedział na naradzie, to się rozniesie po całym mieście...

- Skończ tę rozmowę, bo nie można usnąć! - denerwowała się mama.

- Zaraz, za chwilę... - powiedziałem, ścisząc głos.

- Zaraz przyjdiesz? - krzyczał Zawistowski. - Mów głośniej, bo nic nie słyszę!

- To nie do ciebie. I nie drzyj się tak. Skąd ty dzwonicz?

- Z budki, koło Uniwersytetu. Wcale cię nie słyszę. Przychodzisz? Spotkamy się na rogu Oboźnej, przy teatrze... co?

- Nie mogę głośniej. Mama śpi...

- Co nie możesz? Nie możesz przyjść? Nie bądź głupi. To jest szansa na wielką rozróbę!

Zdenerwowała mnie ta rozmowa. On się drze, ja mówię szeptem, nie możemy się dogadać, a mama popędza mnie, żeby kończyć.

- Nie przyjdę! - powiedziałem głośno. - Jeszcze nic nie jadłem. Cześć! - i odłożyłem słuchawkę.

- Dlaczego nic nie jadłeś? - oburzyła się mama. - Czy wy ze wszystkim musicie na mnie czekać? Pięć lat masz czy jak? Nie potrafisz sobie chleba wziąć?

- Tak tylko powiedziałem, niech się odczepi... - mruknąłem, żeby się nie wdawać z mamą w dyskusję.

Nie zdążyłem wyjść z pokoju, znowu telefon.

- Odbierz!

Zawistowski:

- To ja. Coś nam przerwało. No, więc idziesz? Mów wyraźnie!

Westchnąłem ciężko. Jeśli on ma w kieszeni jeszcze kilka złotych, to mama w ogóle już dzisiaj nie usnie i w domu będzie piekło. Co miałem robić? Powiedziałem, że za dziesięć minut będę koło teatru.

- Z kim ty się umawiasz do teatru? Mógłbyś chociaż uprzedzić, że wychodzisz wieczorem. Kto to dzwonił? Z całą klasą idziecie czy jak?

- Nigdzie nie idę. Przesłyszałaś się, śpij. I nie wtrącaj się we wszystko!

- Jak ty się do mnie odzywasz?

Wyszedłem z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Po kuchni kręciła się Irma, rozładowując mamy siatkę i torby z zakupami na niedzielę. Ukroiłem kawałek chleba, zrobiłem herbatę. Nie mówiliśmy nic do siebie.

Po chwili dzwonek. Na szczęście nie telefon.

- Otwórz! - powiedziałem. - Irma, nie słyszysz?

Nora wyjrzała za nią do przedpokoju i zaczęła cicho warczeć, cofając się do mnie.

Dozorca albo Kmita... - pomyślałem sobie. To były dwie antypatie naszego pudła. Dozorca chodził stale na gazie, może to psa złościło. Ale dlaczego Nora bała się Kmity? Nie wiedziałem. Może ją kiedyś uderzył? A może pies wyczuwał, że Irma go nie lubi? Bo Irma od jakiegoś czasu wyraźnie nie cierpiała Kmity. Też nie wiedziałem dlaczego.

Wróciła Irma, pogłaskała Norę. Pies się uspokoił i schował pod stół kuchenny.

- Kto przyszedł?

- Rusz się sam i zobacz! - mruknęła ze złością.

A więc Kmita. Czego ten znowu chce?

W przedpokoju czekali Kmita i Kowal. Zdziwiłem się, bo Kowal nigdy jeszcze nie był u mnie w domu. Nikt zresztą z klasy nie był, z wyjątkiem Zawistowskiego i Kmity. No i Markońca. Tylko że on nie do mnie przyszedł.

- Co jest? - spytałem. I nagle uświadomiłem sobie, że można ich przecież posłać do Zawistowskiego, skoro już się napatoczyli. Nie będę musiał wychodzić.

- Przyszliśmy cię wyciągnąć nad Wisłę... - zaczął Kmita. Przerwałem mu:

- Dziękuję, nie skorzystam. Ale dobrze, że jesteście. Dzwonił Zawistowski, ma do was ważną sprawę. Będzie czekał koło Teatru Polskiego.

- Kiedy?

- Co kiedy? Kiedy dzwonił? Przed chwilą...

- Kiedy będzie czekał?

- Już czeka.

- To on do ciebie dzwonił, że ma do nas interes? - spytał Kmita jakby podejrzliwie i rozżłościł mnie tym pytaniem.

- A niby jak miał do ciebie dzwonić? Czym miał dzwonić, ofiaro losu?

- Nie kłóćcie się! - powiedział Kowal. I do mnie, prawie szeptem: - Ty, w dechę ta dziewczyna. Ale ma... no, wiesz co. To twoja siostra?

Zauważyłem, że Kmita stuknął go łokciem, żeby dał spokój. Kmita doskonale wiedział, że do pasji mnie doprowadzają takie uwagi na temat Irminy: co ona ma i jakie. Ale Kowal nie zorientował się i ciągnął swoje:

- Zawołaj ją, może wyjdzie z nami? To naprawdę twoja siostra?

- Nie! Nie siostra. Służąca. Macocha. Idiota...

- Ty masz, Kowal, pytania, jak Boga kocham! - poparł mnie Kmita. - Zamknij się wreszcie...

- Ciszej tam, bo mamę obudzicie! - odezwała się z kuchni Irmina. Musiała wszystko słyszeć.

- Rzeczywiście, zaraz będzie draka... - mruknąłem. - Wychodźcie, szybko.

Wyszliśmy na klatkę schodową.

- Wiesz, co? - zagadywał Kmita. - Idziemy od wiaduktu. Widzieliśmy na przystanku Markońca...

- I co z tego?

- No nic...

Tak, nic - pomyślałem. - Żebyście wy wiedzieli, skąd on szedł. Gdybyście wiedzieli, że pół godziny temu był tutaj, w moim mieszkaniu, to nie rozmawialibyście ze mną nawet pół minuty. Trochę mnie ta myśl jakby rozśmieszyła. A może im powiedzieć? Żeby się przekonać, jak zareagują? No? Powiedzieć czy nie?

- O czym myślisz? - spytał Kowal.

- O tym, że już powinniście być koło teatru. Bo znowu ten bałwan będzie dzwonił...

Kmita, powiedz Zawistowskiemu, żeby przestał do mnie wydzwaniać, bo mnie matka z domu przez niego wyrzuci!

- Dobra. Zaraz idziemy. Ale wiesz co? Kowal wpadł na ciekawą myśl...

- Wyobrażam sobie!

Rozmawiałem z Wójcikiem, wiesz? Poważnie sobie z nim pogadałem - pochwalił się Kowal. - I wytłumaczyłem mu, że to jest świństwo, żeby w jutrzejszym meczu bronił on, a nie ja. Wójcik mówi, że jeśli chcemy, to on nie wyjdzie na boisko, uda chorego. Tym bardziej że naprawdę ma katar. Więc żebym ja był gdzieś blisko, to będą musieli mnie zawołać. I będę grał. Dobra myśl, nie?

- Głupi jesteś! - uciąłem krótko.

- Dlaczego? - spytał Kmita. - My byśmy też mogli tak zrobić, to znaczy wytłumaczyć chłopcom z ataku, że przecież jesteśmy od nich lepsi. Może ustąpią i wycofają się z meczu.



Pod byle jakim pretekstem. Od początku trzeba było o tym pomyśleć.

- Powiedźcie to Zawistowskiemu. Młotkiem wam wybije z głowy takie brednie!

Ambicji nie macie za grosz. Nie mówiąc już o tym, że wyrzucicie do góry nogami cały jego plan. A w ogóle róbćcie, co chcecie, i dajcie mi święty spokój! - wybuchnąłem wreszcie. - Nic mnie to nie obchodzi!

- Jak to nie obchodzi cię? - powiedział Kmita poważnie, z wyrzutem. - A ja aż chory od tego wszystkiego jestem. Nie mogę o niczym innym myśleć!

- To nie myśl.

Odwróciłem się i wszedłem do mieszkania, zatraskując drzwi. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie dla siebie samego, uświadomiłem sobie, że jestem tym wszystkim zmęczony. Poszedłem do kuchni, za swoją szafę, i położyłem się na łóżku. Irma pokręciła się jeszcze trochę i wyszła do pokoju dziadka. Zrobiło się cicho.

9.

Myślałem o nich. Nie pierwszy raz to wszystko przychodziło mi do głowy, ale zawsze dotąd widziałem się jakby w środku sprawy. Jeśli coś mnie złościło albo było niezrozumiałe w zachowaniu Irminy i dziadka, odnosiłem wszystko do siebie, jakby robili to przeciwko mnie. A teraz, choć miałem przecież szczególne powody, żeby właśnie tak na nich obydwójce patrzeć, bo zaskakującej znajomości dziadka z Markońcem zupełnie sobie nie potrafiłem wytłumaczyć, teraz widziałem ich inaczej.

Zrozumiałem, że nie jestem z nimi, patrzę na wszystko z zewnątrz, to nie wokół mnie kręci się nasze domowe życie. I kiedy tak spojrzeć, co innego widać i nawet można próbować różne rzeczy samemu sobie nazwać. Może to nie dziadek zmienił się ostatnio, tylko wszyscy w domu stawali się inni? A on po prostu uznał, że jego rola się skończyła. I wycofał się czy może odsunął w krąg swoich własnych spraw albo myśli, w jakiś tam swój świat, do którego wstęp miała tylko Irma.

Na naszych oczach powstawał dziwny dla mnie sojusz dziadka z Irminą. Sądzę, że pierwsza zauważyła to matka, ale udawała, że niczego nie dostrzega. Im bardziej Irma oddalała się od niej, tym więcej mama zajmowała się teraz mną. Zajmowała, to znaczy zadawała pytania. Nie zawsze było mi to na rękę, ale przecież zdawałem sobie sprawę, że skoro zostajemy z mamą sami, musimy się razem trzymać.

Matka była wciąż załatana, często brała dodatkowe dyżury nocne w swoim albo w innych szpitalach, niełatwo było znaleźć moment, żeby można choć chwilę porozmawiać. I żeby chcieć. Kiedyś udało nam się to, prawie udało.

- Sądziłam, że wcale cię nie interesuje, co tu się u nas dzieje. Ostatnio, Marek, przychodzisz do domu tylko zjeść i spać... no, czasem jeszcze odrabiasz lekcje. A jednak coś tam zauważyłaś.

- Trudno nie zauważyć. Dziadek bardzo się postarzał, niczym się nie zajmuje.

Zapatrzony tylko w telewizor albo w Irnę.

- A co chcesz, żeby robił? Dość się już napracował, pomógł was wychować, tyle lat utrzymywał cały dom.

- Ty też pracowałaś.

- Początkowo, po wypadku waszego ojca nie, byliście za mali. A zresztą, pomyśl: dwudziestoletnia pielęgniarka z dwojgiem dzieci... Zginęlibyśmy bez dziadka. Mnie zresztą też sam wychował. Wszystko zawdzięczamy dziadkowi, Marek.

- Lubił naszego ojca?

- Nie zdążył go polubić.

- A ty?

- Czego chcesz się dowiedzieć? Przecież nawet nie pamiętasz ojca...

- A ty?

- Ja zdążyłam tylko urodzić dwoje dzieci...

- Rozumiem.

- Nie rozumiesz. Ale zostawmy to. Mówiłeś o dziadku. On rzeczywiście coraz bardziej lubi Irminę. Chętnie z nią rozmawia...

- Tylko z nią. Nawet do ciebie rzadko się odzywa. Nie mówiąc już o mnie.

- Kiedyś było inaczej. Ale dziadek może się jakoś do ciebie zraził, bo ja wiem zresztą... Nie jesteś łatwy, Marek. Nigdy zresztą o tym nie wspominał. To dobrze, że zaprzyjaźnili się z Irminą, nie?

- A na mnie machnął ręką...

- Nie, ale może w jakiś tam sposób rozczarował się tobą?

- Co to znaczy: rozczarował? A niby czego się spodziewał?

- Nie wiem, jak to nazwać, ale myślę... myślę, że on sobie jakby inaczej ciebie wyobrażał. Chciał, żebyś był inny czy jak tam, no nie wiem...

- Jeśli tak mówisz, to znaczy, że już się nad tym zastanawiałaś. Więc powiedz do końca. Dziadek chciał, żebym był taki jak on, tak? I coś mu nie wyszło? O to chodzi? A skąd on wie, jaki ja jestem? Co wiecie o mnie? Co was to obchodzi?

- Nie podnoś głosu... Daj mi spokój. Czego ty właściwie chcesz?

Dałem jej spokój i niczego już nie chciałem. Cała ta rozmowa urwała się tak nagle, jak się rozpoczęła, tylko parę tonów wyżej. I odtąd jeszcze bardziej drażniło mnie wiele rzeczy w naszym domu. A na pytania nauczyłem się tak odpowiadać, żeby nic z tych odpowiedzi nie wynikało. Albo nie odpowiadać wcale. Przestałem je również zadawać.

Irmina była w domu inna niż ja. Trudno powiedzieć, na czym to polegało. Może na tym, że ona bardziej tu była, a ja bardziej przebywałem. W tym również Irma bliższa była dziadkowi, oni tu mieszkali i chyba decydowali o klimacie naszego domu, w każdym razie coraz bardziej tak to właśnie czułem. A my z mamą? Każde na inny sposób, ale oboje jakby tylko przechodziliśmy przez ten dom, zatrzymując się w nim na trochę. Mama potrafiła mi to wypomnieć, ale nie wiem, czy zdawała sobie sprawę, że z nią jest podobnie...

Irma weszła do kuchni, nie zapalając światła.

- Śpisz?

- Nie.

Co ona chce mi powiedzieć? Od siebie czy też przysłał ją dziadek? A może postanowiła powiedzieć coś o Markońcu? O nim i o sobie? Nie widzę jej twarzy, ale nie chcę odwracać głowy. Czekam.

- Słuchaj, co się z tobą dzieje?

- Ze mną?

- Tak, Marek. Z tobą.

- Nic.

Znowu cisza. Nie zazdrościłem jej sytuacji, w jakiej się znalazła. Ja byłem w podobnej dziś rano. Teraz ona usiłuje nawiązać rozmowę. Przekona się, że to nie takie proste. Już o tym wie. Może czeka, żebym jej pomógł? Nie pomogę.

- Myślałam, że chcesz mnie o coś zapytać...

- Ja? A o co?

- Tak myślałam.

- I dlatego tu teraz przyszłaś?

- Dziwnie się zachowujesz, Marek. Dziadek mówi, że masz pewno jakieś kłopoty...

Więc o to idzie? Rozmawiali o mnie, zauważyli, że w ogóle istnieję. I teraz ta pomocna dłoń na wszelki wypadek wyciągnięta do biednego brata, który, być może, ma jakieś kłopoty. A może przyszła z czymś innym, tylko nie ma odwagi tego powiedzieć. Albo rozmyśliła się, po prostu nie wie jak, nie potrafi.

- Nie mam żadnych kłopotów. Zacznij się lepiej martwić o kogoś, kto już je ma i

będzie miał jeszcze większe.

- Nie rozumiem.

- Nie szkodzi.

- Sam widzisz, że z tobą bardzo trudno...

- Widzę. I właśnie to chciałaś mi powiedzieć?

- Nie.

Zrobiła dwa, trzy kroki i oparła się o szafę, która przedziela kuchnię. O tę moją szafę, odgradzającą mnie od nich wszystkich, kiedy śpię i kiedy udaję, że śpię, albo usnąć nie mogę. Mówiła teraz już zupełnie innym tonem:

- Pewno zapomniałeś... Ale my nie. A właściwie pierwszy przypomniał dziadek.

Wiesz, co mówił? Że zapamiętał dobrze ten dzień, bo już nigdy potem nie wypił tyle wódki, co wtedy... I nigdy nie bolała go tak potwornie głowa!

Irmina śmieje się i nie ma w tym śmiechu nic sztucznego. A ja nie rozumiem, o co chodzi. Usiadłem na łóżku. Spojrzałem na nią i dopiero teraz spostrzegłem, że trzyma coś w ręku.

- O czym ty mówisz?

- Zapomniałeś, że jutro masz urodziny.

Rzeczywiście zapomniałem. Ani mi to do głowy nie przyszło. Ale w końcu co z tego, że mam urodziny? Takie to ważne?

- Chcieliśmy ci dać prezent jutro. Ale skoro nas dzisiaj z tą książką nakryłeś... Proszę. Wyciągam rękę. Jestem zaskoczony. Irmina mówi:

- To „Mały Książę”...

- Co? - wyrwało mi się głupio. Jednak nie potrafię panować nad sobą. Zwłaszcza wtedy, kiedy mi na tym najbardziej zależy.

Nie zapaliła światła, więc nie musiałem przeglądać książki i czytać dedykacji, która na pewno jest na niej. Jak się tam podpisali? Irmina i Marek czy Marek i Irmina? A może i dziadek dopisał się do nich? Bałem się tej dedykacji. Nie zrobię Irminie przyjemności i nie otworzę przy niej książki.

Odłożyłem „Małego Księcia” na łóżko, czekając, co jeszcze usłyszę od mojej siostry. Jak ona nawiąże do naszej porannej kłótni, co powie o Markońcu? Już jej zabrakło pomysłów? Bo znowu cisza, długa.

- Słuchaj... - mówi Irma, bardzo ścisząc głos. - Marek, nie daj poznać po sobie, że coś wiesz, ale z dziadkiem nie jest dobrze. Matka mówiła, że to dzisiejsze badanie w szpitalu nic dobrego nie dało. Poczekają jeszcze na wyniki analiz i chyba jednak wezmą dziadka na obserwację. Będzie musiał iść do szpitala na parę tygodni. Jeszcze o tym nie wie...

- Rozumiem... - kiwnąłem głową. - Dobrze, że mnie uprzedziłaś.

Rozległo się gwałtowne drapanie do drzwi. Nora denerwowała się, że jej nie wpuszczamy. Zaczęła szczeleć.

- Obudzi mamę... - powiedziała Irmina. Zapaliła światło i wpuściła psa, który obleciał całą kuchnię i uspokojony położył się na swoim miejscu pod stołem.

Wykorzystałem moment, kiedy Irma odwróciła się, i szybko otwarłem książkę.

Odetchnąłem: nie było żadnej dedykacji.

Zacząłem się zastanawiać. Więc książka nie jest od Irmy i Markońca? A. od kogo? Od dziadka? Dlaczego właśnie ta książka? Przyniósł ją do nas Markoniec, ale dziadek najwyraźniej go

o to prosił, czekał na nią. Coś tutaj za bardzo do siebie pasuje

I coś się nie zgadza. O czymś nie wiem. O czym?

- Irma!

Spojrzała na mnie jakby wystraszona. Może odezwałem się za ostro albo zbyt nagle. I rozmyśliłem się, nie powiedziałem tego, co chciałem powiedzieć.

- Co?

- Nic. Dziękuję za książkę...

Uśmiechnęła się lekko i wyszła z kuchni.

Zaczął się zwyczajny, sobotni wieczór. Taki jak zawsze, z gotowaną kolacją i włączonym telewizorem, przy którym siedzi się bez przerwy od dziennika aż do końca programu. Sobotni wieczór wypełniony na tyle spokojem, co i nudą, wolny od odrabiania lekcji i wszelkich musów, z wyjątkiem tego jednego, który, świecąc dziewiętnastocalowym ekranem prosto w oczy, skupiał nas w rodzinnej atmosferze milczącego uczestniczenia w czymś, co do nas przychodziło z zewnątrz, ze świata, od innych ludzi.

Każde z nas miało swoje stałe miejsce, dobrze znajome, i było w tym nie tylko przyzwyczajenie, ale coś więcej. To bardzo ważne mieć swoje stałe, pewne miejsce, choćby tylko w sobotnie wieczory przed telewizorem. Siedziałem najdalej od ekranu. To było miejsce niezłe, bo jeśli nie patrzyłem w telewizor, nikt tego nie zauważał i nie musiałem obawiać się pytań matki: co ci jest, dlaczego nie oglądasz? Ale równocześnie było to miejsce dość podłe, ze względu na Norę. Około dziesiątej wieczorem pies zaczynał się wiercić i trzeba było wyjść z nim na dwór.

W zwyczajne dni sprawa była prosta, bo program telewizyjny właśnie o tej porze dobiegał końca i z psem wychodził dziadek. Spacerowali zawsze prawie godzinę. Ale w soboty dziadek nie chciał oderwać się od telewizji, a znów Nora nie miała najmniejszego zamiaru zmieniać swoich przyzwyczajień. Padała więc zawsze, niby mimochodem rzucona, uwaga mamy:

- Kto tam z was siedzi najbliżej drzwi? Może by wyprowadził psa? No, niekoniecznie zaraz, nie pali się przecież...

I trzeba było wychodzić, choćby w połowie najlepszego filmu czy programu rozrywkowego. Brałem wtedy Norę na smycz, zbiegałem pędem po schodach, postąłem przed domem tylko tyle, ile już koniecznie trzeba było, i siłą wciągałem psa na górę, choć bardzo miał mi to za złe i czekał na schodach jak opętany.

Sądzę, że Nora nie przepadała za sobotami. Tym razem jednak, właśnie w tę sobotę, pies nie miał najmniejszego powodu, żeby na mnie narzekać. Nie tylko wyszedłem dość chętnie, ale już w przedpokoju wsadziłem smycz do kieszeni, żeby Nora zorientowała się, że nie zależy mi na szybkim powrocie przed nasze dziewiętnastocalowe okno na świat, tym bardziej że to, co było przez nie widać, zapowiadało się mocno nieciekawie.

Szliśmy powoli, mijani przez ludzi, którzy wysypali się z teatru Ateneum, co krok potem spotykając wzdłuż Wisły takich jak my psich spacerowiczów.

10.

Nora co chwilę odbiegała ode mnie, więc przywoływałem ją, gwizdząc, na co reagowała, jeśli miała ochotę. Pies był rozpuszczony przez Irmę i słuchał się tylko dziadka. Koło pomnika Syrenki zagapiłem się na moment i Nora zniknęła mi z oczu. Zawołałem raz i drugi, bez skutku.

Zajrzałem w krzaki na skwerze, potem za pomnik, od strony rzeki. Jest wreszcie. A raczej są: dwa psy, oba czarne pudle, tyle że ten drugi mniejszy. Obok nich stała Katarzyna. Zdziwiłem się: skąd Czeremcha tutaj? Dwa dni nie było jej w szkole, myślałem, że chora.

- Co ty tu robisz?

- Bawimy się z tobą w chowanego. Ty pod pomnikiem, a my w krzakach, ty w krzakach, a my nad rzeką. I tak już od paru minut. Trąba jesteś.

- Widziałas mnie z daleka?

- Wzrok nie dosięgnął, serce wyczuło! - odpowiedziała Kaśka i roześmiała się głośno.

- Tylko w to przypadkiem nie uwierz...

- Nie wierzę.

- Szkoda.  
- Dlaczego szkoda?  
- Wy jednak jesteście potwornie głupi, wiesz? - powiedziała to takim tonem, jakby zwierzała się ze swoich wieloletnich przemyśleń. - Naprawdę strasznie głupi. Wy wszyscy. Chłopcy, pudle i te stare próchna też.  
- Jakie znowu próchna?  
- Te, co tu chodzą z psami nad Wisłą. Jeden taki staruch mnie zaczepił. „Panienko, panienko! Nie boisz się tak sama po nocy? Może spacerujemy się razem?” I rękę wyciąga...  
- Pewno chciał się przedstawić. Może hrabia? Albo ambasador?  
- Tak. Ambasador Gwadelupy. Znamy takich. Rękę wyciąga i łapie mnie za włosy...  
- Szarpnął cię?  
- Akurat bym się dała szarpać! Dotyka włosów i mówi: „Jakie pani ma piękne włosy, aksamitne!”. Rozumiesz? Włosy nie myte od tygodnia, twarde jak druty, a ten powiada, że aksamitne. Stary dureń. I przeszedł na „pani”...  
- Kiedy to było?  
- Jak powiedział o włosach.  
- Pytam, kiedy to się zdarzyło? Teraz cię zaczepiał?  
- Nie... - powiedziała Kaśka i zastanowiła się chwilę. - Dość dawno, wczesną wiosną, chyba w marcu...  
- No, wiesz! To po co mi to teraz opowiadasz?  
- A kiedy ci miałam powiedzieć? Nie było okazji. Też coś! Masz pretensje do garbatego... - I zrobiła taką minę, jakbym to ja był winien, że ją zaczepiano albo że nie miała okazji wcześniej o tym opowiedzieć.  
- Dlaczego nie byłaś w szkole?  
- Wyjechałam w czwartek z ojcem po matkę do Krynicy. Wróciliśmy godzinę temu. I musiałam wyjść z psem, bo dziecko się zbuntowało. Mówi, że ma nogę obtartą. Ale pewno łże, jak zwykle. Straszny kłamczuch...  
- Małe dziecko wystalibyście z psem po nocy?  
- Zastanów się, co ty pleciesz? - oburzyła się Kaśka. - Jakie małe dziecko? Na nią się tylko tak mówi. Dziecko jest jak szafa! Może tyłkiem orzechy gnieść, jak ta w „Krzyżakach”, jak jej tam było... Strasznie dużo zje. Ale ma ładną buzię. Myślałam, że ją widziałeś choć raz. Chodzi z twoją siostrą do jednej klasy...  
- To ty znasz Irminę?  
- Pewno, że tak.  
Nie pozwoliła mi się długo nad tym zastanawiać, mówiła prawie bez przerwy.  
- Połowa naszej szkoły zna twoją siostrę... no, pewno przesadzam. Ale kilku chłopców od nas na pewno ją zna. Za ładna jest, żeby nikt jej nie znał.  
- A niby skąd ją znają? - zachnąłem się, trochę za mocno.  
Katarzyna to spostrzegła, spojrzała na mnie uważnie.  
- Zazdrosny jesteś... Skąd ją znają? Na przykład z prywatki. U mnie.  
- Nie wiedziałem, że ona chodzi do ciebie na prywatki.  
- A co ty w ogóle wiesz?  
Od strony Tamki podeszło do nas dwóch pijanych. Byli szalenie rozmowni, mieli tylko kłopoty z ustaniem w miejscu. Szybko się jednak zorientowali, że zawsze się przecież można oprzeć o pomnik, i raz jeden, raz drugi chętnie z tej szansy korzystał. Zaczęli Kaśkę częstować papierosami, przyczepili się na całego. Chciałem, żebyśmy od razu odeszli, ale wdała się z nimi w rozmowę.  
- Odeślij, dziecino, brata do domu, żeby mamusię uspokoił, i chodź w miasto. Albo na piwo...

- Na piwo? Też zaproszenie! - śmiała się nie wiadomo z czego. - Nie lubię piwa.  
- I bardzo dobrze! To małą kawkę sobie strzelimy! - zachęcał drugi. - No? Taka piękna panna i traci czas. A życie ucieka... chodźcie do Kongresowej. Brata zostawimy w szatni...

- A psy? - dopytywała Kaśka, jakby specjalnie chciała mnie denerwować. - Co zrobimy z psami?

- Wszystko zostawimy w szatni, wszystko...

- Chodź do domu! - powiedziałem ostro. - Kaśka!

- Do domu, do domu... - mamrotał drugi pijak. - W domu ludzie umierają, nie wiesz o tym? Z nudów umierają...

Nagle zmienił temat i zawołał:

- Albo podsadźcie nas na ten pomnik! Młodzieży kochana... na ten pomnik Syrenki naszej warszawskiej. Bo jak wy nas nie podsadzicie, to już nas nikt nie podsadzi!

- To prawda! - roześmiała się głośno Katarzyna. I do mnie: - Podsadzimy ich?

Śmieszni goście.

- Nie wygłupiaj się. Chodź stąd! Zaraz się jakiś radiowóz nawinie i wezmą cię razem z nimi. Idziemy!

Gwizdnąłem na psy. Odeszliśmy. Po paru krokach spytała:

- Dokąd idziemy?

- Odprowadzę cię pod dom.

- W domu ludzie z nudów umierają, słyszałeś przecież...

- Masz cholerne poczucie humoru, wiesz?

- A ty nie masz ani za grosz. Ale jednak byłeś trochę zazdrosny. Tym razem o mnie! - roześmiała się i wzięła mnie pod rękę. - No, już dobrze. Odprowadź mnie pod dom.

- Nie wiem, gdzie mieszkasz.

- To ci pokażę.

- Dobra... - mruknąłem. - Na drugi raz będę już wiedział.

- Na drugi raz? - spytała.

Koło Domu Nauczyciela stało parę osób. Było tu przyjemniej, widniej. W kawiarni siedzieli jeszcze ludzie.

- Czeremcha! Napiłabyś się jakiejś oranżady?

- Już chyba za późno... a zresztą, co zrobimy z psami?

- Weźmiemy je na smycze i wejdiesz tutaj, do hallu. A ja ci wyniosę w szklance, co tam będzie do picia.

Był sok z czarnej porzeczki, na szczęście starczyło mi pieniędzy. Piliśmy ten sok na stojąco i wtedy Kaśka powiedziała:

- A ja go potem jeszcze raz spotkałam, wiesz?

- Kogo?

Spojrzała zdziwiona, jakbym powinien przez cały czas tylko o tym myśleć.

- No, tego gościa, który mnie wtedy zaczepiał, w marcu.

Czy to dla niej naprawdę takie ważne? - pomyślałem. - Po co ona mi to opowiada?

- Gdzie go spotkałaś?

- U nas w domu.

- Żartujesz?

- Nie, serio. Na imieninach mamy. To jakiś jej szef czy coś takiego. Od razu go poznałam. On udawał, że nie. Uśmiechałam się do niego przez stół, starał się na mnie nie patrzeć. Kiedy wychodził, błysnęłam mu piersią...

- Co zrobiłaś? - przerwałam jej, sądząc, że źle słyszę.

Znowu zaczęła się śmiać. - Tak się mówi, nie denerwuj się, nic mi nie błysnęło.

Przewinęłam się po prostu koło niego i pytam: „A dziś nie mam pięknych, aksamitnych

włosów?”. A on: „Ależ oczywiście, oczywiście...”, i poszedł jak zmyty.

- Ile facet miał lat?

- A bo ja wiem? Sto. Albo z pięćdziesiąt.

- Mówiłaś o tym wszystkim ojcu?

- A po co? Za to usłyszałam wieczorem, jak mama powiedziała do niego: „Czy ty zauważyłeś, że ona ordynarnie prowokuje mężczyzn?”. A ojciec: „Zawracanie głowy, zdawało ci się!”. Mnie by pewno podobnie odpowiedział. Albo by sądził, że w ogóle zmyślam. Dziecko na przykład zmyśla co dzień różne dziwne historie. Nikt jej już nie wierzy. A przy okazji i mnie przestali...

Nie zastanawiałem się już, dlaczego mi o tym opowiada. Myślałem o czymś zupełnie innym. O tym, że jeden o drugim nic nie wie. A jeśli nawet coś wie, to nie wie czegoś innego, może ważniejszego, i jeszcze czegoś, i jeszcze. I tak bez końca. Można się wielu rzeczy dowiedzieć i stworzyć sobie jakiś obraz drugiego człowieka. A potem nagle usłyszymy jeszcze coś nowego. Niby drobiazg, niby bez znaczenia. Ale cały obraz powoli rozmazuje się albo tylko pęka. Tylko pęka. I znów ten człowiek coś zrobi albo powie, albo kto inny o nim coś opowie. I bywa, że w to pęknięcie w obrazie, choćby kryształowym, zostaje wbity klin. Wystarczy wtedy lekko trącić palcem i obraz zostaje gwałtownie rozsadzony, a spod niego wyłania się inny, zupełnie inny. I też nie w pełni prawdziwy. Dziwne.

- Nie myśl o tym! - powiedziała Kaśka.

- O czym?

- No, o tym, co powiedziałam.

Podeszliśmy pod jej dom.

- Katarzyna! - zacząłem. - Słuchaj...

- No?

- Jak było z tą prywatką?

- Z jaką prywatką?

- U ciebie. Z tą, na której była Irmina. Raz tylko była?

- Raz. W zimie. Naprawdę nie wiedziałeś?

- Kto ją zaprosił?

- Dziecko, oczywiście. To jej koleżanka. Ale dziecko orientowało się, że to twoja siostra. W ogóle dziecko jest obkute w sprawach towarzyskich. Z góry wiedziało, z kim ona może przyjść. To ważne, kiedy się ustala listę gości, nie?

- A z kim przyszła?

Katarzyna milczała chwilę.

- No, tak. Już bardzo późno, idę na górę. Cześć!

- Poczekaj. Z kim Irmina do ciebie przyszła?

- Wiesz ty co? - powiedziała Kaśka powoli, z namysłem. - Jeśli przez kilka miesięcy nikt z nich nawet nie wspomniał ci o tej prywatce, to znaczy, że nie powinieneś o tym wiedzieć. Po co pytasz? Dobranoc...

- Katarzyna! Powiedz. To dla mnie ważne.

- Wydaje ci się tylko. Co cię mogą obchodzić cudze sprawy? Musisz się wtrącać?

Przecież nikt cię o to nie prosi...

- I po co z tego robisz taką tajemnicę? Ja wszystko wiem. Przyszła z Markońcem. Tak?

- Powiedziałam: dobranoc. Ty słyszałeś, że dzwonią, tylko nie wiesz, w którym kościele. Nie. Nie przyszła z Markiem. Ona go dopiero u mnie poznała. Zadowolony jesteś? Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Czuję, że zachowuję się śmiesznie. Chciałem jakoś z tego wybrnąć, ale nie wiedziałem jak. Przecież nie mogę tak po prostu odwrócić się i odejść. Pomogła mi.

- No, co jeszcze? O resztę spytaj swoją siostrę. Będzie chciała, to ci powie. Albo mogę

cię na jutro umówić z dzieckiem. Jutro ona wyjdzie z pudłem. Dziecko chętnie zaspokoi twoją ciekawość na każdy temat. A jeszcze gdybyś jej za to dał ciastko z kremem! A najlepiej od razu trzy. Czego nie będzie wiedziała, to zmyśli na poczekaniu... Chcesz tak?

Roześmiałem się trochę sztucznie:

- A z naszym psem jutro wyjdzie dziadek. Dobra, możemy ich umówić. Tylko bez ciastek.

- Więc pamiętaj: jutro o dziesiątej. Pod Syrenką.

Wbiegła na schody, a my z Norą odeszliśmy pomału. Ale tylko parę kroków. Nagle usłyszałem:

- A czemu nie spytałeś, dlaczego cię nie było wtedy na tej prywatce u mnie?

Milczałem.

- Ty jednak jesteś niesamowita trąba! - powiedziała Kaśka tak głośno, że jakaś para idąca po drugiej stronie ulicy wybuchnęła śmiechem. Zatrzymali się i patrzyli na nas.

- Dlatego nie byłeś, że miałaś wtedy grypę. Podobno azjatycką. Jedenaście dni nie było cię w szkole. Przypomnij sobie. Cześć, do jutra!

- Szedłem z psem zupełnie pustą ulicą. Było aż nieprzyjemnie cicho i dopiero teraz poczułem, że wcale nie jest zbyt ciepło. Zaczęliśmy biec. Pomyślałem, że musi już być bardzo późno.

Za pierwszym rogiem wpadliśmy na dziadka. Nora ucieszyła się, zaczęła na niego skakać. Ujadała piskliwie.

- Cicho bądź! - krzyknął dziadek. - Ludzi pobudzisz, wariatko. Co z wami było, rany boskie? Dobrze pół godziny krążyć po całej okolicy. Nawet milicjanta pytałem przy wiadukcie...

Był w rozpiętym płaszczu, zdenerwowany. Nie zły na mnie, ale właśnie zdenerwowany. Zrobiło mi się go żal.

- Przepraszam, dziadku... - powiedziałem. - Jakoś tak zeszło. Koleżankę spotkałem.

Odprowadziliśmy ją do domu.

- Matka się denerwuje. Inka też. Zawsze wracałeś z psem po paru minutach. Chodźcie szybko...

Wziął ode mnie smycz i poszedł nieco przodem, długim, równym krokiem. Chciałem jakoś zagadać.

- Ta dziewczyna, którą odprowadziłem, to córka dyrektora naszej szkoły. Dziadek zna?

Zatrzymał się na moment, spojrzał na mnie.

- Odpowiadasz na pytanie, które nie padło? Tak, znam waszego dyrektora. Zaraz po wojnie pracowałem z nim, on dopiero zaczynał uczyć. Dobry fizyk. Ale teraz podobno za wiele działa na mieście, a za mało zajmuje się szkołą. Tak mówią starsi nauczyciele z waszego liceum. Na przykład Antek Orzechowski...

- Dziadek zna Pilastra... to znaczy Orzechowskiego? Dziwak, nie?

- Mądry człowiek. Ale nie bardzo mu się udało w życiu, nie jego wina.

Wchodziliśmy już na schody.

- Dziadku, dziękuję za książkę na urodziny.

Przystanął na półpiętrze.

- Inka już wygadała? Nie mogła wytrzymać? Umówiliśmy się, że pójdziemy jutro na kiermasz pod Pałacem Kultury. Nawet jeszcze nie wiem, co ci kupimy...

Ruszył dalej. Teraz już zwalniał z każdym stopniem. Był zmęczony. Mówił powoli:

- A wiesz? Ince też chciałem dać jakąś mądrą książkę. Spytałem, co by chciała. A ona mówi, że o miłości. Długo nie mogłem znaleźć tego, czego szukałem. Dopiero Marek jakoś to zdobył i dzisiaj przyniósł. Może przeczytasz przy okazji. To jest nie tylko o miłości...

Staliśmy przed naszymi drzwiami. Za późno już było, żeby powiedzieć teraz



dziadkowi, że tę książkę od niego Irmina podarowała mnie. Jak by to zrozumiał? A jak ja miałem to zrozumieć? Co moja siostra chciała mi powiedzieć ustami Małego Księcia? Chyba nigdy tego na pewno nie będę wiedział. Mogłem dzisiaj spytać. Ale nie spytałem.

Zadzwoniliśmy. Otworzyła Irmina.

- No, nareszcie jesteście!

I do mnie:

- Gdzie ty chodzisz? Czego szukasz po nocy?

Wzruszyłem ramionami. Co miałem jej odpowiedzieć? Że przecież dokładnie tego samego, co i w dzień?

11.

Niedziela. Jedliśmy śniadanie, a ja powtarzałem sobie w kółko: wreszcie niedziela, już niedziela, a dopiero co był piątek. Więc dzisiaj po południu ten mecz. Dziś ostatecznie załatwimy Markońca. Teraz już właściwie sam się wykończy w oczach naszej szkoły. Albo nie. A jeśli wygra ten mecz? I drużyna wyjedzie na zagraniczny obóz? Bez nas nie mogą wygrać. On o tym musi wiedzieć tak samo dobrze jak my. Więc po co grają? Właśnie: o co Markoniec gra? O co?

Zadzwoił telefon. Zerwałem się od stołu, nie wiadomo czemu przekonany, że to do mnie.

- To ja - mówił Zawistowski. - Żyjesz? Co się z tobą dzieje? Kmita mówił wczoraj, że wyrzuciłeś ich z domu, bo Kowal wygłaszał jakieś uwagi o twojej siostrze. Zgadza się? Bardzo dobrze zrobiłeś. Kowal zawsze mi działał na nerwy...

- Skąd ty znowu dzwonicz?

- Z budki koło Uniwersytetu.

- Wykupiłeś tę budkę na własność?

- Głupi jesteś! - skwitował Zawistowski. - Co robisz przed południem? Zobaczymy się?

- Jak chcesz, to chodź z nami na kiermasz! - zaproponowałem, nie wiadomo dlaczego.

Tak mi się jakoś powiedziało. Widziałem, że Irmina podniosła głowę i spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Kogo ty zapraszasz?

- Z wami, to znaczy z kim? - zapytał Zawistowski, ale zaraz sam się domyślił. -

Zgoda, chętnie!

Spotkaliśmy się na rogu Świętokrzyskiej i Nowego Świata. Zawistowski przywitał się z dziadkiem i poszliśmy w stronę Pałacu Kultury. Trochę głupio się czułem w takim rodzinnym stadzie, Irma też była jakby trochę speszona. Dziadek manifestował znakomity humor, a Zawistowski wdał się z nim w jakąś zawiłą rozmowę, której strzępy ledwo docierały do nas, idących nieco z tyłu.

- Słyszysz? - mruknąłem do Irminy. - O czym on tak mądrze dyskutuje z dziadkiem?

- Katarzyna mówi, że on jest najbardziej inteligentny z całej waszej klasy.

- Tak? - coś mnie jakby ukłuło, a równocześnie rozśmieszyło.

- Bardziej nawet niż Markoniec? Albo ja?

- Nie przyczepiaj się, bo powtarzam tylko, co mówiła Kaśka. Po co go zaprosiłeś, żeby szedł z nami?

- A co, nie lubisz go?

- Dlaczego nie... - zawahała się na moment. - Przecież ja go prawie nie znam.

Postanowiłem ją zaskoczyć.

- Nie spotkałaś go na tej prywatce u Kaśki?

- Nie! - odpowiedziała spokojnie. - Nawet trochę się dziwiłam, bo to podobno jej chłopiec. Ale jego nie było.

- No, więc widocznie nie jest jej chłopcem. A z kim ty tam poszłaś?  
- Kaśka nie mówiła??  
- Nie.  
- I on też się nie pochwalił? - Irma uśmiechnęła się drwiąco.  
- Wcale się nie dziwię, widocznie bardzo dobrze cię zna. Zachowywał się jak...  
zmieńmy temat. Po co ci wiedzieć?  
- To dlaczego z nim poszłaś?  
- A skąd mogłam wiedzieć, jak się zachowa?  
Czułem, jak ogarnia mnie wściekłość. Irma również spostrzegła to, patrzyła na mnie  
bardzo uważnie.  
- Dlaczego mi o tym nie opowiedziałaś?  
- Bo ty jesteś wariat. A zresztą, dziewczyna sama sobie musi dawać radę...  
- Potrafisz? Taką masz praktykę?  
- Przestań. Bo nie usłyszysz już ani słowa.  
- No, dobrze. Więc co było dalej?  
- Marek go objechał i odprowadził mnie do domu.  
- Też się znalazł obrońca! Rycerz prywatkowy! - nie wiadomo czemu cała moja złość  
przeszła znowu na Markońca. Nie wiedziałem, kim był tamten. Więc Markoniec spełniał rolę  
piorunochronu, wszystko biło w niego.  
- Czemu ty się rzucasz? - spytała Irmina. - To źle, że Marek mnie odprowadził? Że się  
mną zajął? Pomyśl chwilę: źle?  
- Źle!  
- Braciszku... - zaczęła Irma - uważaj! Jeśli nie przestaniesz przyczepiać się do Marka,  
to w końcu usłyszysz ode mnie, z kim poszłam na tę prywatkę. I możesz żałować, że  
usłyszałeś...  
- Z kim byłaś?  
- Z twoim przyjacielem Kmitą.  
Przyspieszyła kroku i dołączyła do dziadka i Zawistowskiego. Zostałem w tyle.  
Zostawałem w tyle coraz bardziej. Oni dochodzili już do pierwszych stoisk z  
książkami, gdzie gęstniał tłum przelewający się po kiermaszowych alejach we wszystkich  
kierunkach. Zginęli mi z oczu, rozplynęli się wśród mrowia ludzi. Zostałem sam i nie wiem,  
jak długo włóczyłem się po całym rozległym terenie kiermaszu.  
W pewnej chwili mignął mi zielony golf Irminy przy stoisku z płytami. Obok niej stał  
Zawistowski i... tak, nie myliłem się: Zawistowski i Markoniec. A dziadek, z ręką  
wyciągniętą ponad głowami ludzi, właśnie coś kupował. Spotkali się przypadkowo czy też  
Markoniec był tutaj z Irmą umówiony? Podejść do nich? Rozmawiali we trójkę, zwyczajnie...  
odszedłem w drugą stronę.  
I wtedy przyłapałem się na myśli, że ta niedziela mogłaby się już teraz skończyć.  
Bardzo bym chciał, żeby to było możliwe, żeby tak się właśnie stało.  
Po obiedzie, kiedy wychodziłem z domu, Irmina spytała:  
- Gracie dzisiaj? Idziesz na mecz?  
- Nie! - skłamałem. - Idę do kina.  
Więc ani Markoniec, ani Zawistowski nie powiedzieli jej słowa o dzisiejszym meczu.  
Ciekawe, czy każdy miał swój powód, żeby jej tam przypadkiem nie było, czy też obaj mieli  
powód ten sam? I nagła myśl: nie wiem, o co Markoniec gra dzisiaj na boisku, ale przecież  
nie wiem również, o co poza boiskiem gra Zawistowski. Wiedziałem jednak dobrze, dlaczego  
ja skłamałem, że nie mamy dzisiaj żadnego meczu.  
Wokół boiska zbierali się kibice, zawodnicy kręcili się w dresach, było jeszcze trochę  
czasu.  
- Cześć! - usłyszałem obok siebie.

- Cześć...

To bramkarz „Błękitnych”. Trzy dni temu, w pierwszym meczu, wjechałem mu z piłką do bramki. Rzucił mi się pod nogi o sekundę za późno. Wyczułem, że to robi, zdążyłem zastopować i kiedy już leciał na ziemię, przerzuciłem piłkę ponad nim. To była bardzo dobra bramka, ostatnia wtedy, decydująca.

- Nie rozbierasz się? - spytał. - Nie grasz dzisiaj?

- Nie. Nie wystawili...

Spojrzał na mnie jakoś dziwnie.

- A słusznie... Zupełnie zapomniałem, że ty już masz to z głowy! - I pobiegł do swoich.

Zdziwiłem się: więc i tamci wiedzą? Kpi sobie ze mnie. A kiedyż oni mogli się dowiedzieć, że nie zostaliśmy wystawieni do meczu? I od kogo? „Zupełnie zapomniałem”. Tak dawno to było, że już zdążył zupełnie zapomnieć? A może nawet wcześniej niż ja wiedział, że nie będę dziś grał?

Podszedł Kowal.

- To był ich bramkarz, tak? Czego chciał od ciebie?

- Żeby cię pozdrowił. Pytał, jak się czujesz na emeryturze...

- Serio? A to mała! - rozżościł się Kowal. - Stawia się, bo wie, że wygrają.

Po chwili zjawił się koło nas Kmita i przywitał się bez słowa, jak na pogrzebie. Kowal komentował, kto przyszedł na mecz.

- Maturzystów jest spora grupa, nie tylko ci, co rozmawiali z nami w sobotę - dorzucił Kmita. - Będzie ostra draka! Ale gdzie Zawistowski? Zapomniał czy jak?

Na boisko wybiegli nasi. Zaczęli rozgrzewkę. Co chwilę któryś, przebiegając koło nas, witał się jakimś okrzykiem. Odpowiadał na nie tylko Kowal, ale po chwili i on przestał, widząc, że ani Kmita, ani ja w ogóle nie reagujemy. W pewnym momencie tuż przy nas znalazł się Markoniec.

- Jesteście? - zawołał wesoło. - To dobrze, czekamy na doping!

Kmita odwrócił się do niego plecami, Kowal udawał, że nic nie widzi i nie słyszy. A ja patrzyłem bez słowa na Markońca i myślałem o tym, że zupełnie go nie rozumiem. Przez moment robił wrażenie jakby zaskoczonego naszym zachowaniem. Czy jemu się do tej chwili naprawdę mogło zdawać, że nic między nami nie zaszło?

Gwizdek sędziego i mecz rozpoczął się ostrym atakiem naszej drużyny.

Obserwowałem uważnie, jak nasi zostali ustawieni przez profesora Iwanickiego. Po paru minutach prowadzili dwa do zera, nic im nie można było zarzucić. Czuję, że Kmita również o tym myśli. Spojrzał na mnie.

- No co? - spytałem.

- Z czym?

- Nie udawaj. Jesteśmy sami, możemy mówić tak, jak jest. Idą ostro, grają na wynik.

Tu nie widać żadnych czarów...

- Wiecie co? Chyba jednak lepiej, żeby wygrali... - powiedział po chwili Kowal. -

Zawsze to swoi. Niech jada na ten zagraniczny obóz. Jak myślicie?

- Przegrają! - wycedził Kmita. - Nie mogą wygrać bez nas. I nie pojedą. Markoniec położy mecz...

- Idiota!

- Kto? - rzucili się na mnie obaj równocześnie. - A ty czego chcesz? O co ci chodzi?

Sytuacje na boisku zmieniały się bardzo szybko. Na bramkę „Błękitnych” i na naszą bramkę, w której dziwnie, jakoś drętwo poruszał się rezerwowy bramkarz Wójcik, raz po raz ciągnęły ataki. Obie drużyny dużo strzelały, grały szybko, najwyraźniej i jedni, i drudzy chcieli wygrać. Nie miałem co do tego żadnej wątpliwości. Ale Kmita widział to, co chciał widzieć. W pewnym momencie zaproponował, żebyśmy przesunęli się tam, gdzie stali kibice

z naszej szkoły.

- Po co? - spytałem. - Chcesz usłyszeć, co mówią maturzyści? A jeśli usłyszysz, że bez nas drużyna gra tak samo dobrze jak z nami?

- Głupstwa mówisz! W ogóle nie wiem, co się z tobą stało. Jakiegoś kota dostałeś i co chwilę wykręcasz go w inną stronę. Na złość nam robisz czy co?

- On ma rację! - poparł Kmitę Kowal. - Ty masz skręty jak ten Zawistowski. Taki był kozak w sobotę, a dzisiaj w ogóle się nie pokazał. Może przeszliście na stronę Markońca?

- Nudny jesteś, Kowal! - powiedziałem, choć zdawałem sobie sprawę, że to żadna odpowiedź.

W czasie naszej rozmowy „Błękitni” wyrównali. A kiedy po chwili znaleźliśmy się obok chłopaków z naszej klasy, Wójcik z bardzo głupią miną po raz trzeci wyjmował piłkę z siatki. Trzy do dwóch dla „Błękitnych”. I wtedy się rozpoczęło.

Z minuty na minutę rosło napięcie wśród naszych kibiców. Byli tak nastawieni na to, że przyszli oglądać, jak się specjalnie przegrywa mecz, tak bardzo czekali na każdy błąd chłopców na boisku, że prawie wyczuwało się ulgę, kiedy ten błąd rzeczywiście następował. A drużyna grała coraz gorzej, coraz bardziej nerwowo. Oglądali się na siebie, wymieniali jakieś okrzyki, jakby i oni nie mogli zrozumieć, co się dzieje.

Widziałem wyraźnie, że Markoniec usiłuje cofnąć drużynę do obrony. Nie tak łatwo to zrobić w krytycznym momencie. Jedno, drugie zamieszanie pod naszą bramką. Chłopcy pogubili pozycje, nie było komu iść do przodu. Z przypadkowego, łatwego do obrony strzału padła czwarta bramka.

- Wszystko jasne! - usłyszałem głośny komentarz. - Widać, że to umówione! Granda w biały dzień!

I spokojny głos Kmity:

- Przecież waram mówiłem wczoraj. Nie chcieliście wierzyć. No, więc macie dowód. Kowal, który stał przede mną, tuż przy linii autowej, pociągnął mnie za rękę.

Nachyliłem się, bo mówił prawie szeptem.

- Co mamrocześ?

- Słuchaj, to nie jest tak. Przecież sam widzisz...

- Co widzę? Że przegrywają.

- Wszystkie bramki zawinił Wójcik. I tylko on. Chłopcy zaczęli dobrze. Ale on po prostu nie broni.

- Niby dlaczego?

- On jest chyba chory. Spójrz!

Wójcik wycierał twarz chustką, z trudem łapał powietrze szeroko otwartymi ustami.

W bramce ustawił się obok niego prawy obrońca, widać było, że chłopcy usiłują ratować sytuację, jak tylko potrafią.

- Nie mogę na to patrzeć! - powiedział Kowal. - Wbiją im jeszcze dziesięć. Tamci kapnęli się w czym rzecz, walą na ślepo. I mają rację. Zawsze coś musi wpaść...

- Wójcik mówił ci wczoraj, że jest przeziębiony, tak? No, więc po diabła wlaź do bramki?

- Zastanów się, co ty gadasz? A co miał zrobić? Przecież nie mają już rezerwy. O rany! - jęknął Kowal nagle i złapał się za głowę.

Spojrzałem na boisko. No, tak: pięć do dwóch. Podbiegł do nas zdenerwowany Iwanicki.

- Kowal! Rozbieraj się, od przerwy wchodzisz!

- Ja?

- Przecież nie ja, prawda? Nie zadawaj głupich pytań. Widzisz, co się robi z Wójcikiem...

- Panie profesorze! - zawołał jeden z maturzystów. - Więc to prawda, że mecz miał

być przegrany? A w jakim stosunku?

Odważny - pomyślałem. - Są po maturze, nie muszą się już, bać. Spojrzałem na Iwanickiego. Byłem ciekaw, jak zareaguje. Ale profesor jakby w ogóle nie rozumiał, co tamten właściwie powiedział.

- Co? Nie zwracaj mi teraz głowy - mruknął pod nosem i pobiegł za bramkę Wójcika.

- Zobaczmy, jaką będzie miał minę jutro w szkole. I u dyrektora! - powiedział

maturzysta głośno. - Chodźcie, panowie, sprawa jasna. Wstyd na to patrzeć!

- Poczekajcie do końca! - odezwał się Kmita. - Co wam zależy? Zaraz przerwa. A po przerwie dopiero będzie rzeźnia miejska!

- No i jak? Co sływać w sporcie? - usłyszałem nagle za sobą.

Odwróciłem się: Zawistowski z Irminą.

- Co wy tu robicie? Po co ją przyciągnąłeś? Ty wiesz, co się tutaj dzieje? - krzyknąłem.

- Nie wiem. Ale czuję, że zaraz mi opowiesz - uśmiechnął się Zawistowski.

A Irma:

- Znowu się wściekasz? Umówiliśmy się tu po meczu. We trójkę, z Markiem. Ale widzę, że nam się trochę za wcześnie przyjechało. Dlaczego skłamałeś, że idziesz do kina? Złapałem Zawistowskiego za ramię.

- Po co ją przyciągnąłeś? Wiesz, co tu będzie? Sytuacja fatalna, Wójcik chory, siania się w bramce. Leją w nich jak w bęben. Kibice oburzeni, słyszysz te gwizdy? Iwanicki wściekły...

- No, to wy jesteście chyba zadowoleni? O to wam chodziło, nie?

- Zamknij się!

Irmina niczego nie rozumiała.

- O czym wy mówicie? Znowu rozrabiasz, nie wiadomo o co...

- Właśnie! - powiedział Zawistowski i odsunął mnie. - Zupełnie nie wiadomo o co. Bo ja ci coś powiem. Ale za chwilę...

Podeszli do nas Kmita i Kowal, nie wiadomo, który bardziej zdenerwowany. Nie zwrócili w ogóle uwagi na Irnę.

- Panowie! Możecie sobie myśleć, co chcecie. Ale ja muszę! Ja po prostu nie mogę odmawiać w takiej sytuacji...

Kmita potrząsnął nim ostro.

- Cicho bądź, nie histeryzuj! Wytłumaczcie temu bałwanowi, że nie wolno mu się teraz zgadzać. Że nie pozwalamy mu zagrać!

Kowal patrzył błagalnie raz na Zawistowskiego, raz na mnie. Miał prawie łzy w oczach.

- Muszę stanąć w bramce. Teraz już muszę. Zrozumcie. Ja jestem pierwszym bramkarzem. Nie mogę odmówić drużynie...

Zawistowski wzruszył ramionami.

- Rób, jak chcesz, Kowal. Co mnie to wszystko obchodzi?

Patrzyli teraz na mnie. Spokojny, zupełnie spokojny Zawistowski. Wściekły, błąd ze złości Kmita. Kowal, który robił wrażenie, jakby miał za chwilę ryknąć płaczem. I patrzyła Irmina. Naprawdę niczego nie rozumiała. Usłyszałem z daleka gwizdek sędziego ogłaszającego przerwę i zaraz potem swój głos:

- Graj, Kowal. Masz rację. Musisz.

Kowal wziął głęboki oddech, bardzo głęboki. Potem drugi. Wyprostował się, gwałtownie odwrócił i pobiegł do szatni. Kmita odszedł bez słowa w stronę boiska.

- Ja wam w czymś przeszkadzam... - powiedziała Irmina. - To może sobie pójść...

- Wcale nie przeszkadzasz! Może nawet pomogłaś - mruknął Zawistowski, jakby do siebie.

- Dla mnie też mecz już się skończył! - siłłem się na spokój. - Idę do domu.  
- Słusznie. Tym bardziej że on nie miał... to znaczy: miał nie mieć - poprawił się Zawistowski i spojrzał na mnie - ten mecz miał nie mieć większego znaczenia dla was trzech. Żadnego znaczenia. Bo ty, Kmita i Kowal już po tamtym pierwszym meczu zostaliście zakwalifikowani do reprezentacji Warszawy i wyjazd na ten zagraniczny obóz mieliście w kieszeni. Dlatego was dzisiaj nie wystawili. Śmieszne, prawda? Bardzo śmieszne...

3.

Nie opowiesz nigdy, jak było naprawdę, gdzie jest czego początek, nie opowiesz. Za każdym razem co innego wyda ci się ważniejsze i każdy usłyszy wszystko po swojemu, więc inaczej, coś innego zobaczy, jak i ty za każdym razem... Tłumaczę to sobie, równocześnie wierząc i nie bardzo dowierzając własnym słowom, bo już chyba wiem, że można się wśród nich zagubić bardziej nawet niż wśród obcych ludzi.

Nie tylko Ewa mogłaby zapytać:

- A twoje myśli? Przecież to one cię prowadzą pomiędzy ludźmi i wśród słów, twoich, cudzych. Czy to nie jest tak?

Na szczęście nie muszę odpowiadać. Nikomu nie muszę, a sobie bardziej nie chcę czy nie potrafię? Co można wiedzieć pewnego o tych pozornie oderwanych obrazach, myślach, które, nie układając się nawet w pojedyncze słowa, zdania, wymykają się niepostrzeżenie, zawsze jednak chyba zostawiając ślad. I jeśli kiedyś złożą się w jakąś konstrukcję, czy potrafię wtedy odkryć, w jakiej postaci i w jakim momencie pierwszy raz się z nim zetknąłem? Ale czasem przecież...

12.

Czasem coś narzuca się tak wyraźnie, jak tamtego wieczoru, i wtedy wiem na pewno, że jest to dla mnie ważne.

Może spałem krótko, a może jeszcze krócej. Jakbym zapadał w miękką, ciepłą watę, która bezgłośnie sprężynuje i co chwilę wyrzuca mnie na powierzchnię mojego snu, ale wciąż chyba śnię.

I z tego snu przychodzą do mnie obrazy, a z jego powierzchni słowa. Układają się w jakiś rytmiczny ciąg, który niby nic jeszcze nie znaczy, ale coś przypomina, a może raczej zapowiada...

I słyszę już wyraźnie, jak to w końcu zdarzyło się, że po długiej wędrówce Mały Książę odkrył drogę. I że drogi prowadzą zawsze do ludzi. Słyszę, jak powiedział „dzień dobry”, bo znalazł się w ogrodzie pełnym róż. I jak „dzień dobry” odpowiedziały mu róże, które bardzo były podobne do jego róży. I rozumiem jego zdziwienie, kiedy pytał, kim są, i odpowiedziały mu, że są różami. Przecież sądził dotąd, że jego róża jest jedyna na świecie... Oni nie słyszeli, że wstałem, nie spostrzegli, kiedy stanąłem za lekko uchylonymi drzwiami. Irma czytała półgłosem, a dziadek leżał na tapczanie z rękami założonymi pod głowę. Miał otwarte oczy, zupełnie nieruchome. Nie wiem, co nimi widział w tej chwili, ale czułem, że widzi bardzo wiele i jest daleko stąd albo nawet znacznie dalej. Miał starą twarz, chyba nigdy jeszcze nie był taki stary. I chyba nigdy jeszcze Irmina nie wydała mi się tak ładna jak teraz.

Czułem się za tymi lekko uchylonymi drzwiami jak złodziej. Kradłem nastrój tego małego pokoiku, jego półmrok ciepły od światła niewielkiej lampy stojącej na oknie, może tak żółtego jak piasek pustyni, z której Mały Książę wyruszył w dalszą drogę, żeby oswoić lisa i zrozumieć, czym jest przyjaźń. Żeby uświadomić sobie, co to miłość, i zapamiętać, że najważniejsze jest niewidoczne dla oczu. Nieproszony wplątywałem się w te nici porozumienia, jakie łączyły ich tutaj oboje, moją siostrę i dziadka, z mądrym Pilotem z

planety Ziemia, który powierzał im swój sekret. Kradłem słowa nie dla mnie przeznaczone...

- Wejdz! - usłyszałem. - Chodź do nas.

Irmiona zawiesiła głos, przestała czytać. Widziałem jej wielkie, zdziwione oczy.

- Wejdz! - powtórzył dziadek.

I wtedy właśnie jak złodziej odszedłem od drzwi, przepłoszony. Wróciłem na swoje łóżko, nie wiedząc, dlaczego nie przekroczyłem progów, za którym był tamten, przecież zupełnie inny świat. W naszym mieszkaniu nie ma progów. One były we mnie, choć do tej pory nie zdawałem sobie z tego sprawy, a i teraz zaledwie jeden z nich dostrzegłem.

Pierwszy?

Nigdy dotychczas nie czułem się nieszczęśliwy. Skąd więc wiedziałem, że ten bolesny i wstrętny skurcz to jest właśnie to? Co ja wiem o sobie? Wciąż coś mnie zaskakuje.

Chciałbym tak wiele wiedzieć o innych, a co właściwie wiem o samym sobie? Co naprawdę?

Lubię drzewa. Skąd i kiedy mi to przyszło, nie zgadnę, zawsze lubiłem, to wiem.

Odmierzają mi czas swoim wyglądem, sobą, w zupełnie inny sposób niż kalendarz, który też

lubię, ale inaczej. Zegarów nie cierpię. Może nawet chciałbym to móc komuś wytłumaczyć,

ale komu? Kiedy byłem mały, bałem się odgłosu dużego zegara z wahadłem i kukułką,

ulubionego zegara dziadka. Budził mnie w nocy. Zegar, nie kukułka jękająca się chrypliwie.

Płakałem, pamiętam. Więc dziadek najpierw unieruchomił kukułkę. Ale nie mogło to niczego

zmienić. Potem zatrzymał zegar. Wisi do dziś w przedpokoju, martwy i bardzo ładny. I też to niczego nie zmienia: nie znoszę zegarów.

Kalendarze lubię oglądać, nawet najzwyczajniejszy jest dla mnie w przedziwny sposób

ciekawy i tajemniczy. Jest jak mapa, jak plan wielkiego, nieznanego jeszcze miasta. Po

kalendarzu można podróżować: można wracać w to samo miejsce, w ten sam czas

wielokrotnie, przyspieszać, skracać drogę i zatrzymywać się, choćby dla nabrania oddechu.

Zegarów nie polubię chyba nigdy, bo to one idą niezmiennie jakby przeciwko mnie. A po

kalendarzu, wśród jego czarnych i czerwonych znaków, ja sam idę, a on po prostu jest.

Zawsze, w każdym swoim znaku prawdziwy.

Drzewa są najprawdziwsze. Potrafią mówić. Ale mówią sobą, nie o sobie.

Przynajmniej ja tak je rozumiem. I kiedy wróciłem do kuchni na swoje łóżko, tłumiąc zamkniętymi drzwiami głos Irmiony i Małego Księcia, słyszałem przez otwarte okno mój

kasztan rosnący tuż przy domu. Znałem to drzewo lepiej niż inne. Teraz kwitło, trochę

spóźnione. Wpatrywałem się w gałęzie za oknem tak długo, aż pomogło. Minął skurcz

ściskający gardło i przyszła mi dziwna, niemądra myśl: drzewa mnie lubią, wiem to na

pewno. I właśnie kwitną kasztany. Bo czasem coś narzuca się tak wyraźnie i utrwała z

niespodziewaną siłą, żeby pozostać jako naprawdę ważne, skojarzone z czymś zupełnie

innym. Na pozór bez żadnego sensu i związku. A przecież zostaje. I jest potrzebne, więc

może musiało się narzucić. Bez prawa wyboru... samo?

Choćby najbardziej spóźnione, kasztany kwitną zawsze przed akcjami, bo drzewa

znają swoje miejsce w kalendarzu, choć wymyślili go ludzie i tylko ludziom jest potrzebny.

Czasem po to, żeby mieli się w czym gubić albo odnajdywać. I kiedy to już wiem, niczego nie

ryzykuję, uśmiechając się do siebie, czy może raczej jakby nad sobą uśmiechając się teraz,

kiedy już wiem więcej. Co najwyżej Ewa może zapytać... ale właściwie o co?

- Dlaczego się uśmiechasz, Marek?

- Do ciebie... - odpowiadam sobie w myśli i to też jest prawda, może niewielka, ale

nikt mi jej nie podarował.

13.

Przestałem chodzić do szkoły w tym dniu, kiedy Markoniec postanowił wreszcie do

niej wrócić i nie wrócił, bo spotkał mnie przed wejściem na dziedziniec. Co wtedy myślał,

nigdy nie będę wiedział, bo nie zapytam, a on nie powie, choćbym pytał. Ale i nikt z nich nie

dowie się nigdy, co ja myślałem, wysiadając z pociągu, którym mieliśmy razem jechać do Berlina, i nie tylko wtedy co myślałem. Choć nie tylko Kowal o to przecież pytał. Darowane nawet z serca prawdy mają tyle różnych twarzy i na tych twarzach tyle nieprawdziwych grymasów. Można wśród takich prawd cudzych zgubić własną twarz. A zacząłem rozumieć, że zależy mi właśnie na niej. Więc Markoniec, milczący wtedy z pogardą, pozostanie dla mnie jakby lustrem, z mojego własnego wyboru lustrem, w którym zobaczyłem to, co umiałem w tym momencie dostrzec: że dopiero teraz naprawdę przegrałem. Pokazał mi, kim jestem, kiedy odrzucił darowaną mu przeze mnie szansę odegrania się na nas. Za to wszystko, co mu zrobiliśmy. Odegrania się przy mojej pomocy. Przegrałem.

Tego dnia przestałem chodzić do szkoły, włóczyłem się trochę po mieście, potem bywało różnie. Wiedziałem, że i Markoniec wciąż do szkoły nie przychodzi. Dlaczego on, a dlaczego ja? Nie potrafiłem odpowiedzieć sobie na pytanie, czym się to skończy i na co ja czekam. Potem dopiero pojąłem, że czekałem chyba na samego siebie. Było to wszystko zbyt trudne, nigdy przedtem nie uwierzyłem nikomu, że włóczenie się po mieście może nie być łatwe. Świeciło słońce, mijały dni, musiało ich niemało minąć, skoro kwitły już akacje. Ale zanim akacje zakwitły, mój przyjaciel Zawistowski jeszcze raz mi zaimponował, znowu inaczej niż dotychczas. Bo przecież nie pierwszy raz mnie zadziwił. I nie ostatni. Spokojnie, długo patrzył na mnie bez jednego słowa. I kiedy sądziłem już, że odwróci się i odejdzie, po prostu odejdzie bezradny po tym, co mu powiedziałem, Zawistowski uśmiechnął się ironicznie.

- Tak? Co ty powiesz? Niby dlaczego „muszę”?

- Bo dobrze wiesz, że ja nie jestem Kowal, którego można spławić, każąc mu iść do diabła!

- Tobie bym tak nie powiedział. Skądże? Nie ośmieliłbym się nigdy...

- Przestań się wygłupiać. Szkoda czasu. Zwłaszcza twój. Spóźnisz się na spotkanie.

- Na jakie znowu spotkanie? - zachnął się ostro. - O czym ty mówisz?

- Nie rób z siebie durnia, Zawistowski. Bo nim nie jesteś. Umówiłeś się o trzeciej z Irminą, macie iść na basen. Słyszałem, jak mówiła mamie, że będzie dziś uczyć się pływać. Bo, proszę cię, każdy człowiek powinien umieć tak samo dobrze poruszać się w wodzie, jak i na lądzie. Znasz tę teorię, prawda?

Milczał.

- Sam widzisz, przyjacielu, że nic się nie dla ukryć. Jak to w rodzinie.

- Czego ty chcesz? Czego ty właściwie, Marek, chcesz ode mnie?

- Musisz mi odpowiedzieć: jest sprawa czy nie ma sprawy? Słyszysz? Musisz.

- Ty myślisz o tym, co Kowal wydumał? Że coś tam podobno Wójcik zrobił... nie bardzo wiadomo co. Tak?

- Nie. Nie tylko o tym. Nie bądź taki cwaniak, dobrze? Myślę o tobie. O mnie. O nas. Więc jak? Jest sprawa?

- Nie wiem, o co ci chodzi... - wzruszył ramionami. - Mógłbyś mówić jaśniej albo w ogóle przestać gadać.

- Więc nie rozumiesz? Ty? No, popatrz, coś takiego! A Irmina uważa, że jesteś najmądrzejszy z nas wszystkich. Myli się dziewczyna, prawda?

- Dobrze! - powiedział nagle ze złością Zawistowski. - Więc coś ci powiem, jeśli tak bardzo chcesz!

- Słucham.

- Dowiedz się, że nudzi mnie to wszystko. Od dawna mnie nudzi. Ale skoro się upierasz, usłyszysz to, co chcesz usłyszeć. Ty pierwszy powiedziałeś: wykończymy Markońca! Właśnie ty. Pamiętasz?



Milczałem...

- Nie pamiętasz? Czyżby? Przypomnę: to było wtedy, kiedy przyszedłem do ciebie, mówiąc, że Kmita zaginął. A potem Kmita też się zaparł jak muł: wykończymy! No i dobra, wykończymy, to wykończymy... Czemu milczysz?

- Słucham, co mówisz. Mów dalej.

- To już wszystko. Koniec pieśni. Dalej nic nie ma...

- Nieprawda!

Teraz on przez chwilę się nie odzywał. I zaczął z innej strony.

- Słuchaj, koniecznie chcieliście go załatwić... Ale przecież były powody.

Przynajmniej tak wam się wydawało. Mielicie powody, nie?

- A ty? - Co ja?

- A ty jaki miałeś powód?

- Kiedy się ma przyjaciół, to trzeba im pomagać! - powiedział. - Tym bardziej, jeśli przyjaciele chcą coś zrobić i nie wiedzą jak. A chcieliście bardzo, prawda? Ja wam tylko pomogłem wycisnąć z tych waszych szarych komórek jakąś sensowną myśl, poddałem sposób. I udało się: wykończyliśmy Markońca. Więc o co teraz chodzi?

Zgrywał się? Czyżby Zawistowski postanowił zagrać rolę, do której nie ma prawa - właśnie on chciałby być naszym lustrem? Przejrzyjcie się, jacy jesteście. Proszę bardzo: przejrzyjcie się we mnie. Ale to wy tacy jesteście, a nie ja. Bo ja nie jestem ani taki, ani owaki. Mnie to wszystko w ogóle nigdy nie obchodziło...

- Powiedzieliście: chcieliśmy wykończyć, wykończyliśmy, i o co teraz chodzi. Właśnie o to. Wykończyliśmy Markońca. I co? Nie ma sprawy?

Zawistowski patrzył na mnie spokojnie i milczał. Spojrzał na zegarek, a potem znowu na mnie, jakby zdziwiony, że jeszcze tu stoję, że jeszcze coś mówię.

Byłem bezradny. Nie potrafiłem przebić się do tego, co myślał naprawdę. Wszystko, co mówiłem, jakby ześlizgiwało się po nim. Nawet to, co pomyślałem, zanim jeszcze spróbowałem przekazać mu w słowach, odbijało się od niego. Tak to czułem, rezygnując w końcu ze słów, bezradnie cofając się w głąb samego siebie, żeby za chwilę znowu zaatakować... Skąd brało się to moje przekonanie, że on jednak myśli inaczej, musi myśleć inaczej, a to wszystko, co nie pozwala mi porozumieć się z nim, to tylko pancerz, bardzo dobrze ukuty? I wreszcie zrezygnowałem, miałem go już dość.

Wtedy właśnie powiedział:

- Zdenerwowałaś mnie. Coś ci jeszcze dorzucę do tych twoich słów. Rozumiesz? Do twoich słów, żebyś przestał huśtać to twoje wahadło: jest sprawa - nie ma sprawy. Sprawdzałem... o ile można sprawdzić, raczej może... przemyślałem tamtą historię, o której wspomniał Kowal. Wiesz, tę wymianę pieniędzy w przerwie meczu. Nikt tu niczego nie udowodni. Ale Kmita rzeczywiście mógł... namówić, tak to nazwijmy: mógł przekonać Wójcika, żeby się zbytnio nie wysilał w bramce. Wójcik niczym nie ryzykował, naprawdę był trochę przeziębiony... Słuchasz mnie? - Tak.

- No więc to może być prawdopodobne. Tylko tyle. Ale i tego wystarczy. Więc trzeba koniecznie zamknąć Kowalowi buzię, żeby nie rozgadywał. Od tego momentu sprawa śmierdzi!

- Już to zrobiłem... Tak jak-ty mnie przed chwilą, tak i ja przekonywałem Kowala, że nie ma żadnej sprawy - powiedziałem. - Chciał uwierzyć, więc mi uwierzył. Ciekawe tylko, jak może śmierdzić coś, czego nie ma. Przecież nie ma sprawy, prawda?

- Daj spokój... - mruknął Zawistowski. - Dowiecprzy... A jeśli idzie o Wójcika, wiesz, na czym rzecz polega? Kmita chciał, żeby drużyna przegrała, bo sądził, że on i tak nie znajdzie się w grupie wyjazdowej. To logiczne. Ale Wójcik przecież grał, więc powinien być zainteresowany tym, żeby wyjechać, czyli żeby wygrali. Tak? Otóż nie był. To właśnie sprawdziłem: on wyjeżdża w lipcu z rodzicami autem do Jugosławii. Wyjazd drużyny na

obóz guzik go obchodził. Jasne?

- Jasne, zwyczajna świnia...

- Nie obrażaj kolegi, bo za rękę go nie złapałeś! - przerwał mi Zawistowski i zaraz uśmiechnął się tym swoim złośliwym uśmiechem, który zawsze wyprowadza mnie z równowagi. - Mówisz o Wójciku. Wcale nie większa świnia niż nasz przyjaciel Kmita...

- I ty! Prawda, Zawistowski? - wpadłem mu w ton i w słowa, starając się uśmiechać podobnie jak on. - Nie większa również świnia niż ty...

- Tak. I niż ty, Marek! - odpowiedział Zawistowski ostro. -

I dlatego będziemy teraz tamtych dwóch kryli. Jak się powiedziało „a”, to oni za nas, być może, powiedzieli „b”, a my w tej sytuacji powiemy i „c”, niestety. Nic już na to nie poradzisz. Co możesz zrobić?

- Mogę powiedzieć całą prawdę Markońcowi i jeśli będzie tego chciał, pójdę z nim do dyrektora.

- Tak? Możemy więc również, jeśli Marko nieć zechce, wylecieć ze szkoły na zbity pysk.

- Tak.

- Cześć! - powiedział wtedy Zawistowski i odszedł.

Zostałem sam. Przynajmniej to jedno było dla mnie zupełnie jasne. Sam.

#### 4. Pora akcji

14.

Otwarte szeroko okna, upał. Lekko zasunięta zasłona ani drgnie, z dworu nie dochodzi żaden podmuch. Tylko mały skrawek pokoju trochę ocieniony, reszta zalana słońcem jak plaża.

Duszno. Dopiero teraz czuję, że mokra koszula oblepia mi plecy, na ulicy nie zauważyłem tego. Próbuje usiąść w foteliku, ale muszę zrezygnować: jest nagrany od słońca, wydaje się, że drewniane oparcia aż parzą. Więc stoję na środku pokoju, w pełnym słońcu, i wtedy słyszę:

- Zasuń w obu oknach zasłony. Bardziej duszno już i tak nie będzie...

- Sądziłem, że śpisz.

Irmina nie odpowiada.

- O czym myślisz? Powinnaś spać. Lekarz kazał...

Mówię te słowa i dźwięczą mi jakoś fałszywie. Czuję, że są po prostu niepotrzebne.

Przecież i tak mi nie powie, o czym myśli, przecież gdyby mogła, toby spała. A jednak mówię to, żeby usłyszeć jakąś odpowiedź.

- Irma, jak się czujesz?

- Zasłoń okna...

Tracę cierpliwość. Nie chodzi mi o dzisiaj czy wczoraj, o te parę dni jej choroby.

Mogę wytrzymać jeszcze trzy dni i jeszcze piętnaście. Takiej cierpliwości mi wystarczy. Ale zabraknie innej, o wiele bardziej potrzebnej: pewnego dnia zrezygnuję z oczekiwania na to, żeby coś się między nami zmieniło, przestanę myśleć o mojej siostrze jako o kimś, kogo chciałbym zrozumieć.

Mama powiedziała do mnie któregoś wieczoru:

- Nie mam już do niej sił. Wiem, że teraz jest chora, ale z trudem powstrzymuję się, żeby jej nie powiedzieć tego, co przyszło mi do głowy i nie chce odejść...

- Mnie też nie musisz tego mówić.

- Dlaczego? Skąd wiesz, o co mi chodzi?

- Nie chcę wiedzieć.

- A jednak powiem ci to. Słyszysz? Powiem! - mama zaczyna się unosić i chociaż drzwi kuchni, w której siedzimy, są zamknięte, boję się tego podniesionego głosu: Irma

usłyszy.

I wiem, że mama tego właśnie chce. Chce, żeby usłyszała niby przypadkiem. Mamie wydaje się pewno, że słowa wypowiedziane w podenerwowaniu łatwiej będzie można kiedyś, jeśli się zechce, wymazać z pamięci, przekreślić jakimś zwyczajnym: nie myśl o tym, to było w złości. Myli się albo raczej patrzy na innych przez obraz samej siebie. A ja wiem, że Irma nie zapomni, jeśli już raz usłyszy. Niczego nie zapomni.

- Ciszej! - mówię. - Nie krzycz tak. Wiesz, że lekarz kazał jej spać, dużo spać...

W mamie odzywa się pielęgniarka. Jeśli się powie: lekarz kazał - pomaga. Lekarz to jest dla niej ktoś, kto się liczy. Jaki by nie był, zawsze jest kimś. Odkryłem to już dawno. I teraz też pomogło: mama ścisza głos, milknie.

Dopiero po chwili, ale już spokojniej:

- Jednak powiem. Żebyś i ty wiedział. Męczy mnie myśl, że Irma w tej chorobie, właśnie dopiero teraz, pokazuje nam, jaka jest naprawdę. I chce nam to pokazać, specjalnie. Żeby potem, kiedy wyzdrowieje, znów udawać... udawać, słyszysz? Boję się, że nie znam tej dziewczyny. Ani ty. Ani nikt...

- Nikt? - pytam.

Mama zastanawia się przez chwilę.

- Nikt chyba... Dziadek też nie.

A ja wiem, że nasz dziadek zna Irnę. Bardzo dobrze ją zna. Nie potrafiłbym powiedzieć, skąd wiem i od kiedy, ale przecież nie jest mi to do niczego potrzebne. I tak nie będę mamy przekonywał. Ważniejsze byłoby zrozumieć, od kiedy ona i ja zaczęliśmy się z Irminą mijać. A jeśli nie mówimy o tym, jeśli nawet nie mamy odwagi głośno tego nazwać, to może wcale nie takie jasne, kto tu winien. Dlaczego właśnie to słowo przyszło mi do głowy: winien?

- Chcesz coś powiedzieć? - pyta mama. - Tak?

- Ja?

- Przecież nie ja.

- Właśnie. Nie ty. Więc i ja nie. Niczego nie chcę powiedzieć. Albo chcę... Boisz się, że nie znasz Irny. Tak przecież powiedziałaś: boję się. Co to znaczy? Czego się właściwie boisz?

- Niczego, tak się tylko mówi.

A po chwili:

- Nie. Jednak się boję. Bo nie wiem, co w tej dziewczynie siedzi, co ona może zrobić...

Nie znam jej po prostu.

- Albo co już zrobiła.

- Co masz na myśli? - I czuję na sobie bardzo uważne spojrzenie, mama jest napięta, jakby cała rozmowa po to właśnie była, żebym teraz powiedział to, co jej się wydaje, że mogę wiedzieć.

- Oj, mamó - mówię - czego ty chcesz? Nie znamy Irny, no to nie znamy i już. A mnie znasz? Wiesz, co ja mogę zrobić? Albo co zrobiłem? Powiedz, wiesz?

- Daj mi spokój. Z tobą nie można rozmawiać...

- A tak znów wiele razy próbowałaś? Ze mną albo z Irną?

I na tym się skończyło. Dobrze, że Irmina niczego nie słyszała, chyba dobrze. A ja zostałem ze swoim przekonaniem, że jednak nie tylko nasz dziadek zna Irnę. Że jest jeszcze ktoś, kto zna moją siostrę inną, niż ja znam, kto wie o niej tyle, ile ja nigdy się nie dowiem. I tego właśnie nie mogę mu darować.

Zasuwam w obu oknach zasłony, tak jak Irma tego chciała. Nie będzie chłodniej, ale może zacznie się tak wydawać.

I mówię:

- Zostałaś przyjęta do liceum. Zdałaś i jesteś przyjęta. Lista wisi na drzwiach naszej

szkoły. Zupełnie tak samo, jak rok temu, kiedy ja zdawałem. Zadzwoń do mamy i powiem jej...

- Nie trzeba. Już dzwoniłam.

- A skąd wiedziałas?

Nie odpowiada. Więc podnoszę głos:

- Skąd wiedziałas, że jesteś przyjęta? Listę wywieszono jakieś dwie godziny temu!

- To wystarczy.

- Był tu ktoś? - pytam niby spokojnie, ale przecież nie zmyli jej ten udawany spokój. -

Był Zawistowski, tak?

- Powtarzacie się... - mówi Irmina i ma nieprzyjemny, zły głos. - Powtarzasz dokładnie to samo, o co pytała mama: był ktoś u ciebie? Był. I co? Pewno żałujesz, że zapomniałeś zamurować drzwi? Zrób to jutro...

Nie wiem, jak to się stało, ale dopiero w tej chwili dostrzegłem te akacje. Gliniany wazon postawiła obok tapczanu na podłodze. Stolik trochę zasłaniał, może dlatego nie zauważyłem. Ale teraz, kiedy już widzę, wydaje mi się, że czuję zapach akacji. Gałęzie są trochę przywiedle, opadają z nich kwiaty.

Nagle tracę ochotę do kłótni, to nie ma sensu, nie będę z nią rozmawiał. Chociaż...

jeszcze jedno pytanie muszę zadać. I robię to po chwili.

- Dziewczyny chcą cię odwiedzić. Czeremcha z siostrą. Czekają na ulicy. Iść po nie?

Irma siada na tapczanie, gwałtownie, jakby chciała zerwać się z niego.

- Nie! Słyszysz: nie chcę ich widzieć!

- Co ci się znów stało? Co ty masz przeciwko nim? Przecież chcą cię po prostu odwiedzić...

- Leć sam do swojej Kasi i powiedz jej, jak wyglądam! Pękają z ciekawości, czy bardzo zbrzydłam, tak? Ona jest przecież taka ładna, ucieszy się, kiedy opowiesz, jak wyglądam bez włosów. Idź! - Irma wybucha płaczem i rzuca się na poduszkę.

Teraz znowu żal mi jej. Raz jestem wściekły, raz mi jej żal, nie mogę zrozumieć, co się z tą dziewczyną dzieje, i chętnie płakałbym razem z nią, gdyby to cokolwiek pomogło.

- Uspokój się, Irma - mówię. - Nie chcesz, żeby przyszły, to nie. Wyjdę na chwilę z psem i zaraz do ciebie wracam...

- Możesz nie wracać. Nie musisz się poświęcać, zostań ze swoją Czeremchą. Tylko daj mi lekarstwo...

Idę do kuchni po kompot i niby po tabletki. To jakiś środek nasenny czy uspokajający.

Lekarz kazał jej brać trzy razy dziennie. Ale mama powiedziała:

- Schowaj to dobrze. Tak, żeby nie mogła znaleźć. I sam jej dawaj, po jednej...

Rozumiesz?

Zrozumiałem. I za najlepszy schowek uznałem własną kieszeń. Ale chociaż nosiłem te tabletki przy sobie, nie chciałem, żeby Irma wiedziała o tym. Były niby gdzieś w kuchni.

Więc przyniosłem szklankę kompotu, tabletkę i ręcznik umoczony w wodzie.

- Masz! Połknij i leż spokojnie. Wytrzyj sobie oczy...

I wtedy nagle usłyszałem:

- Nie cierpię was. Słyszysz?

Jestem zaskoczony. Nie tylko słowami, ale i jej spokojnym, zimnym tonem.

- Kogo? - pytam.

- Was wszystkich.

- Co to znaczy?

Patrzy na mnie. Podnosi rękę tym swoim dawnym ruchem, jakby chciała odgarnąć włosy, których teraz przecież nie ma. Więc dłoń zatrzymuje się bezradnie.

- Sama nie wiesz, co mówisz. Wszystkich! To przecież nic nie znaczy, Irma... - i muszę nagle urwać, przerywa mi ostrzej, niż mogłem się spodziewać.

- Wyjdź. Bo usłyszysz coś, co będzie znaczyło. Marek, będziesz żałował...

Nie wiem, co może powiedzieć, ale chcę, żeby to się stało.

Niech wreszcie dowiem się czegoś o niej czy może o sobie. Cokolwiek ma na myśli, niech to wreszcie usłyszę. Ale Irmina już się opanowała. I znowu ten spokojny ton:

- Powiem ci tylko, że nie kocham naszej mamy. Nie chcę, nie potrafię. Możesz jej powtórzyć albo nie, jest mi to obojętne. Tylko tyle ci powiem... słyszałeś?

Tylko. Więc co jeszcze mogła powiedzieć? Co jeszcze? Odwraca głowę i wiem, że nie usłyszę już niczego więcej.

- Rozumiem... - mówię po chwili, żeby cokolwiek powiedzieć. Jest mi nieprzyjemnie, jakoś dziwnie.

- Nic nie rozumiesz. W ogóle pojęcia o niczym nie masz. Idź stąd...

Rozgrzane powietrze aż zatyka oddech. Upał wzmacnia się, pachnie rozmiękły asfalt.

Nora niechętnie wychodzi. Jeszcze w bramie waha się, jakby chciała zawrócić. Z psem dzieje się coś niedobrego, jest ospały, leży całymi godzinami przy tapczanie Irminy albo snuje się po mieszkaniu: od Irmy do pustego pokoju dziadka. I znowu: tam i z powrotem. Upał winien? Chyba nie tylko upał.

Kiedy dziadek wybierał się do szpitala i wychodząc chciał pożegnać się z psem, Nora zaczęła przejmująco skowyczeć i wszystkim zrobiło się nieswojo, choć każde z nas na swój sposób starało się to ukryć, zagadać. Tylko dziadek znalazł się, jak należy. Pogłaskał psa i powiedział:

- Przestań piszczeć! Przecież nie jesteś już szczeniakiem...

Więc teraz, na ulicy, mówię do Nory:

- No, co ci jest, starucha? Pobiegaj trochę... Rusz się, szukaj Kaśki! Nora, szukaj...

Podnosi łeb, ożywia się nieco. Zaczynam biec chodnikiem i wołam psa. Odwracam się: pędzi za mną, głośno szczekając. Już jest obok, wyprzedza. Pot zalewa mi czoło, ale nie zwalniam, biegniemy razem.

Tu gdzieś powinna być Katarzyna ze swoją siostrą. Może poszły do cienia, w stronę skarpy? Skracamy w boczną ulicę. Są, tam na końcu, już je widzę. I Nora też. Nie mogę złapać tchu, przystajemy.

- Irmina śpi...

Chyba mi nie wierzą. I nie dziwię się im wcale, już drugi raz zmyślam to samo.

- Przyjdziecie kiedy indziej, jutro, pojutrze...

Czeremcha jakby nie słyszy. Ale po chwili kiwa głową.

- No, tak. Oczywiście... Wpadniemy do niej kiedyś. Popatrz! - mówi i wskazuje ręką w stronę skarpy. - Ludzie są straszni. To świństwo ścinać kwitnące drzewo.

Spoglądam w tamtą stronę: na samym rogu ulicy leży na ziemi obcięty konar wielkiej akacji. Może zasłaniał zakręt, ktoś uznał, że trzeba obciąć. Parę osób, pewno z pobliskich domów, korzysta z okazji: obrywają resztki kwitnących gałęzi, choć są już przywiedłe. Tak jak tamte w glinianym wazonie u nas w mieszkaniu. Teraz już wiem. Więc tędy przechodził...

Tutaj zerwał dla niej parę gałązek. Skąd mu to przyszło do głowy? Zawistowski z gałązkami akacji w rękę. Musiał wyglądać śmiesznie, głupio. I chyba zdawał sobie z tego sprawę.

Dlaczego to zrobił, po co?

Podeszliśmy do obciętego drzewa.

- Pachnie - powiedziała siostra Kaśki. - Ale jakoś tak dziwnie... To chyba przez ten upał. Od razu wszystko więdnie i schnie. Masz rację, że to jest świństwo. Musieli ścinać?

- Pachnie sianem! - uznała Katarzyna. - Marek, prawda?

- Tak jakby...

Ale zaraz zaprzeczyłem:

- Nie! Wcale nie sianem.

- A czym?

Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy.

- Pachnie już latem.

Patrzyliśmy chwilę na psa, który wlaź między gałęzie i szarpał je na wszystkie strony, jakby chciał cały ten olbrzymi konar odciągnąć stąd w inne miejsce.

- Nora! - zawołałem. - Wychodź, słyszysz?

- Może pojedziemy nad Wisłę albo na basen? - zaproponowała Katarzyna. - Przecież od dziś wakacje, mamy wreszcie czas, nigdzie nam się nie spieszy.

- Dobry pomysł! - pochwaliła ją siostra. - Trzeba się zacząć opalać. Biała jak śnieg jestem, popatrzcie...

- Tak. Zeszłoroczny. I nie gadaj tyle, bo nie jestem wcale taka pewna, czy zabierzemy cię ze sobą... - Katarzyna zawiesiła głos i spojrzała na mnie.

- Ja nie jadę z wami! - powiedziałem. - Nie chce mi się, nie mam ochoty.

Jestem zaskoczony własnymi słowami prawie tak jak one. Przecież od rana myślałem o tym, żeby znaleźć się jak najszybciej nad wodą, żeby pójść na plażę właśnie z Kaśką. Wybieraliśmy się od kilku dni. A teraz nieoczekiwanie usłyszałem od samego siebie, że wcale nie mam na to ochoty.

- Dlaczego? - pyta Czeremcha. Patrzy na mnie ze złością: - Dlaczego nie możesz jechać?

- Przecież powiedział ci, że mu się nie chce iść z tobą...

- Nie wtrącaj się do nie swoich spraw! - przerywa jej Katarzyna i upiera się z tym pytaniem: - Dlaczego nie możesz? Wysił się przynajmniej trochę... potrafisz coś wymyślić?

- Może on się boi, że będę wam przeszkadzała... - mówi jej siostra i zaczyna robić głupie miny. - Wielkie mi coś: zakochani. Mnie tam nie interesują takie rzeczy. Ja nie jestem Irmina...

Chwytam ją ostro za ramię.

- Coś ty powiedziała? Powtórz!

- Zamknij się, idiotko! - krzyknęła Czeremcha. A do mnie: - Puść ją! I odpowiedz mi...

Mam dość całej tej rozmowy. Gwizdnąłem na psa, raz i drugi. Przybiegł wreszcie.

- Jak ty się zachowujesz, Marek? - Katarzyna ledwo się hamuje. - Idziesz ze mną czy nie? Tylko ze mną, słyszysz?

Wzruszyłem ramionami. Może i chciałem coś rozsądnego odpowiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Zupełnie nic. Odwróciłem się i spokojnie odszedłem.

15.

Dlaczego wróży się właśnie z liści akacji? Kocha, lubi, szanuje, nie chce... Kolczaste, zdradliwie kolczaste gałęzie i miękkie, aksamitne płatki młodych liści, które tak szybko więdną. Twarde drzewo, tak trudno ją porąbać, a jednak łatwo ścinać, choć nie wolno ścinać drzew kwitnących. I wyjątkowo nietrwałe kwiaty, przesadnie słodko pachnące, jak tandetne, tanie perfumy, kwiaty sypiące się na ziemię jak śnieg. Akacja: drzewo, które zapowiada lato, a kiedy kwitnie, jest już tylko wspomnieniem po wiośnie. W myśli, w mowie, w sercu... dlaczego wróży się właśnie z liści akacji i wszyscy tak chętnie to robią? Choć niby w żartach, z uśmiechem, ale jednak ciekawi tego, co im wróżba powie.

Szybko biegnie czas, kiedy dużo się dzieje nowego. I równocześnie ten sam czas jakby dłużej wtedy trwa. Od tamtej meczowej niedzieli trzeci dzień już Markoniec nie przychodził do szkoły, ale od tamtego sobotniego wieczoru czwarty dzień spotykałem się z Czeremchą. Więc podwójnie mierzyłem czas? Z Katarzyną byliśmy wtedy właściwie całymi dniami razem, choć nie zawsze sami. Najpierw w szkole, potem przez całe popołudnie i wreszcie późno wieczorem. Dziadek, nawet nie bardzo zdziwiony, odstąpił mi swoje wieczorne spacerowanie z psem. Zostawał przy telewizji, może czuł się gorzej, a może dawał mi

szansę, dobry pretekst do wieczornego wyjścia z domu.

Coś zupełnie nowego dla mnie zaczęło się dziać między nami, samo się działo... a może niezupełnie samo, bo Katarzyna powiedziała kiedyś:

- Szybko lecimy, Marek. Może za prędko, co?

Szliśmy wtedy pod górę skarpą wiślaną, potem po murze obronnym Starówki, zaczynało się pomału ściemniać. I pomyślałem, że przecież od dawna chciałem tych spacerów, i chyba czekałem na nie, więc może nic tu nie dzieje się przypadkiem. Przy Barbakanie i na staromiejskim rynku malarze zaczynali już zdejmować z murów swoje obrazy, przy których coraz mniej ludzi się zatrzymywało, powoli zbierali się do domu. Koło Kamiennych Schodków wysiadło z dorożki rozbawione towarzystwo, zniknęli w kawiarni.

- Wesele, widziałeś! Ale panna młoda źle uczesana. Ja to bym...

- Kawalerze! - zawołał ktoś. - Kawalerze...

Obejrzałem się, zdziwiony, nie wiedząc, czy to do mnie. Przed nami stała stara kobieta z koszykiem pełnym małych bukietów konwalii. Drugi, większy koszyk postawiła na chodniku, już był pusty.

- Niech kawaler kupi kwiatek dla siostry! Za dziesiątkę! Roześmialiśmy się głośno i przeszli dalej. Kupiłem lody, przystanęliśmy pod kioskiem.

- Wiesz, mam pamiętnik - mówiła Czeremcha - taki do wpisywania się, głupi. W zeszłym roku byliśmy z rodzicami na wakacjach w leśniczówce, u wujka. Mój kuzyn narysował mi serce przebite widelcem i wpisał się tak: „Ja Cię Kocham, Ty mnie lub, w tydzień chrzciny, w miesiąc ślub”. Śmieszne, nie? Mama była oburzona...

- Wcale nie śmieszne. Bez sensu.

- Co ciebie śmieszy? - westchnęła Kaśka. - Ty chyba naprawdę jesteś potwornie zazdrosny, zawsze i na wszelki wypadek, co? To musi być okropnie nudne. Po co mi to? - i roześmiała się głośno. - Ale jednak szybko lecimy...

Snuliśmy się po Starym Rynku pełnym młodzieży i zagranicznych turystów, w oknach zaczęły zapalać się światła, na Starówkę przychodził wieczór.

- Zaczekaj chwilę! - powiedziała nagle Katarzyna. - Tylko nie ruszaj się na krok z tego miejsca, bo się w tym tłumie pogubimy. Zaraz wracam. Muszę im coś powiedzieć!

Spojrzałem, do kogo odbiegła. Znajome twarze, dwóch maturzystów z naszej szkoły stało przed winiarnią Fukiera. Odwróciłem się plecami i żeby się czymś zająć, zacząłem oglądać obrazy, najbliżej mnie oparte o ścianę, dziwne jakieś. Ich autor czy autorzy, nie wiem - pewno studenci, siedzieli na schodkach rozmawiając z jakąś dziewczyną, chyba o tych obrazach, bo na któryś z nich wskazywała ręką. Była bardzo szczupła i długie, jasne włosy jakby przesypywały się z jednego ramienia na drugie, kiedy szybko, nerwowo jakoś zwracała głowę w stronę malarzy, z którymi rozmawiała, to znów spoglądała na obraz. Odbijały te włosy od czarnego swetra...

- Co się tak zagapiłeś? - usłyszałem tuż obok i Kaśka pociągnęła mnie w swoją stronę.

- No? Już wystarczy. Ona wcale nie jest ładna. Chociaż... z wami to nigdy nie wiadomo.

- Patrzę na obrazy... - mruknąłem.

- Akurat! Przecież widziałam. A może i jest ładna? Ale dziwna, chyba świśnięta trochę.

- Dlaczego?

- Bo tak. Co ona nas zresztą obchodzi? Wiesz, co? - I Czeremcha pomyślała chwilę albo udała, że zastanawia się przez moment. - Jeśli mnie teraz pocałujesz, choćby w policzek, ale tak, żeby wszyscy na Rynku to widzieli, to powiem ci, jak ona ma na imię. No?

- Wcale nie jestem ciekaw. Chodźmy stąd...

- Nie jesteś ciekaw, czy nie masz ochoty mnie pocałować?

- Mam ochotę - i pocałowałem Czeremchę w policzek tak głośno, że najbliżej stojący

ludzie uśmiechnęli się, a malarze rozmawiający z dziewczyną spojrzeli na nas. I ona chyba też. Tylko na moment.

Wmieszaliśmy się w tłum, powoli idąc w stronę katedry.

- Ewa - powiedziała po chwili Czeremcha.

- Co?

- Chciałeś wiedzieć. Więc ma na imię Ewa.

- A ja mam na imię Adam.

Uśmiechnąłem się, bo wydawało mi się to śmieszne, cała ta historia, i byłem pewien, że to żart. Wyszliśmy na plac Zamkowy, posłuchali chwilę zegara, który wybijał właśnie siódmą albo może już ósmą, i dopiero teraz, już na Krakowskim Przedmieściu, przypomniałem sobie to, o co chciałem wtedy na Rynku zapytać.

- Co ty masz, Czeremcha, wspólnego z tymi maturzystami?

- Z którymi?

- Z tymi spod Fukiera. Czego od nich chciałeś?

- Ja od nich? Też coś. Chyba na odwrót. Powiedziałam, żeby się odczepili, bo nie mam czasu...

- Przecież się nie przyczepiali.

- Tak? - i Kaśka uśmiechnęła się lekko. - No, to ty spostrzegawczy jesteś, wiesz? Trzy razy spotykaliśmy ich na Starówce, pętali się za nami. Powiedziałam, żeby sobie poszli do diabła. Albo do Fukiera, jeśli mają parę złotych. Tylko tym razem beze mnie.

- Nie zgrywaj się, Czeremcha... - zacząłem, ale zastąpiła nam drogę kwiaciarka idąca z przeciwka, od strony Bristolu. Ile tych kwiaciarek jest w Warszawie? Ostatni pęczek fiołków leżał na dnie koszyka, którym wymachiwała.

- Kwiatki dla narzeczonej! - zawołała. - Szybko brać, bo idę na piwo. Jak nie kupisz, to oddam za darmo. A narzeczonej czeka...

- Awansowałam, słyszałeś? - powiedziała Czeremcha i sięgnęła po fiołki. - Zapłać dychę. Jak nie masz, to ci pożyczę. Dopiero co siostra, a już narzeczonej... nieźle. Spojrzałem na nią szybko: co to miało znaczyć? Nic - pomyślałem i sięgnąłem po ostatnie dziesięć złotych. Kobieta wydała mi cztery dwójki, machnęła ręką i odeszła. Wyglądało na to, że już jest po paru piwach. Wtedy nagle, przypadkiem podnosząc głowę, zauważyłem ten napis na frontonie budynku. A przecież tyle razy w życiu tędy przechodziłem.

- O! Res sacra miser - przeczytałem głośno. - Więc ten nasz cwaniak stąd to po prostu wziął. Ale zaskoczył tą łaciną całą klasę, pamiętasz? Ze starym Orzechowskim włącznie... tylko co to znaczy?

- Jaki cwaniak? Aha... Zawistowski. Poczekaj chwilę...

Przebiegła szybko jezdnię, dopiero teraz zauważyłem, że przy skwerze koło pomnika Mickiewicza stoi grupka młodych księży. Kaśka dygnęła przed nimi jak pierwszoklasistka, po chwili spojrzeli wszyscy w górę na napis. Ta ma też zagrania - pomyślałem - jak Zawistowski.

Wróciła krzywiąc się, wzruszyła ramionami.

- To podobno z Seneki: „Nieszczęśliwy jest rzeczą świętą”. Zgadzasz się z tym? A jeden z tych kleryków był nawet przystojny, wiesz? Idziemy.

Nie tak szybko wróciłem do domu. Schodziliśmy na Powiśle ulicą Karową, było pusto i ciemno już, tu nam nikt nie będzie przeszkadzał.

- Widzisz teraz, jak to jest - mówiła Katarzyna - ktoś musi się pierwszy odezwać, żeby ktoś drugi mógł mu odpowiedzieć. Tak ci trudno było wcześniej zacząć? Tyle razy wychodziliśmy na przykład ze szkoły całą gromadą. I ty zaraz przy bramie: cześć... i w przeciwną stronę. Mogłeś zapytać: chcesz iść do kina? Albo do parku? I wtedy byś usłyszał, że chcę iść do kina. Albo że mam pranie w domu. Przypomnij sobie, ja parę razy



proponowałam: chodź tu albo chodź tam. Wreszcie przestałam, bo co się będę wygłupiać, jeśli widzę, że ty się wykręcasz. A skąd ja mogłam wiedzieć, że dlatego się wykręcasz, bo wydumałeś mi Zawistowskiego. Sam sobie wymyśliłeś, że to mój chłopiec, sam w to uwierzyłeś i zadowolony...

- Nie tak znów bardzo zadowolony! - przerwałam jej i roześmiała się głośno.

- Głuptas. Śmieszny jesteś. Ale cię lubię, wiesz? Chciałam się czegoś dowiedzieć... rozmawiałam o tobie parę razy z twoją siostrą. Irmina mówi, że ty czasami jesteś zupełnie wariatem, rzucasz się bez powodu, wściekasz nie wiadomo o co...

- Zawsze wiem, o co się wściekam.

- E tam. Wasz dziadek powiedział Irminie, że ci to chyba przejdzie, jak złapiesz drugi oddech...

- Co? - zdziwiłam się. - Jaki znowu oddech?

- To takie wyrażenie sportowe, przecież znasz. Nie? Mogę ci zresztą powiedzieć do końca, co mówił wasz dziadek, tylko się nie obraż, dobra? Więc powiedział do Irmy, że szczenięcy wiek jest bardzo trudny, tak męczący, że człowiek już czasami nie ma siły do samego siebie. I musi złapać drugi oddech...

Czeremcha wyrzuciła to wszystko z siebie i urwała. Złapała mnie za rękę, przystanęliśmy.

- Obraziłeś się? Marek, co ci jest?

Nie mogłam jej odpowiedzieć, nie było to łatwe i nie potrafiłabym tego zrozumieć.

Zaskoczyło mnie dziwne skojarzenie. Uderzyło we mnie nagle wywołanym obrazem: niedzielny mecz, nasz bramkarz Kowal, jego twarz, kiedy powiedziałem, że ma rację, że musi grać. Kowal, który prostuje się i bierze głęboki oddech. Podejmuje decyzję. Tam, na środku boiska wokół boiska, w przerwie meczu. Głęboki oddech. I już wie...

Spojrzałam na Katarzynę, obraz z boiska zniknął, uśmiechnąłem się do niej.

- No i co? Nie patrz tak na mnie, nie jestem wariatem. Chyba Irmina ci tego nie wmówiła?

- Niepotrzebnie tyle plotę - powiedziała. - Jeszcze pomyślisz, że wciąż tylko o tobie z nią rozmawiam.

- Już pomyślałam.

- No, widzisz. Ale niech tam! To jeszcze ci coś powiem. Słyszałam, że dostałeś książkę na urodziny? Podziękuj ładnie koleżance. Powiedz: kochana Kasiu, bardzo ci jestem wdzięczny za „Małego Księcia”...

- Dziewczyno, co ty mówisz? - prawie krzyknąłem. - Ta książka jest od ciebie? Poważnie?

- Nie wrzeszcz. Ode mnie i nie ode mnie. Nie wiem, jak ci powiedzieć... to dziwna historia, cały łańcuszek. Pewno już wiele osób za pomocą tej książki rozmawiało ze sobą. Znajdziesz tam jedno zdanie podkreślone zielonym długopisem...

- Jakie to zdanie?

- Poszukaj, nie powiem.

- Coś tu nie gra... przecież „Małego Księcia” dziadek dał Irminie.

- Zgadza się. Albo tak mu się zdaje. Bardzo chciał jej to kupić, ale nie mógł znaleźć w księgarniach. Poprosił Marka i nas wszystkich, żebyśmy poszukali. Wtedy Marek dał mu dla Irminy swój egzemplarz... Powiem ci prawdę: Marek dostał kiedyś tę książkę ode mnie. A ja od ojca. Mój ojciec też jej chyba nie kupił, choć tak mówił. Bo to podkreślenie już tam było. Może to zaczarowana książka?

- Więc Irma dostała „Małego Księcia” i od dziadka, i od Markońca. On od ciebie. A ja od Irmy. Ciekawe, kto od kogo bardziej. Jeśli tak w ogóle można powiedzieć.

- Nie można. Tego nikt nie wie i nigdy nie będzie wiedział. A poza tym to nie po polsku. Ale wiesz co? Przyjmij, że dostałeś ją również ode mnie. Dobrze?

Zamyśliłem się chwilę.

- Powiedziałaś: zaczarowana książka. Rzeczywiście, chodzi ten Mały Książę dziwnymi drogami.

- A drogi prowadzą zawsze do ludzi! - uśmiechnęła się Czeremcha. - Zgadza się?

- Skąd dziadek zna Markońca? - spytałem. - I ciebie?

- Powiem, ale nie wolno ci powtórzyć matce. Twój dziadek uczy prywatnie niemieckiego. Spotykamy się u nas, zresztą to właśnie mój ojciec poddał mu ten pomysł i zorganizował grupę. Irmina przyłączyła się niedawno. Nie wolno o tych lekcjach powiedzieć twojej mamie, bo nie chciała się zgodzić. Wasz dziadek jest poważnie chory, wiesz o tym, prawda? A chciał trochę dorobić do emerytury...

Milczałem. Zbyt dużo wiadomości spadło na mnie ostatnio zupełnie zniecka. Jakby otwierały się przede mną jedne po drugich coraz to nowe drzwi. Albo jakbym to ja wreszcie coraz szerzej zaczynał otwierać oczy.

Kiedy wróciłem tego wieczoru do domu, przejrzałem „Małego Księcia” bardzo uważnie, strona po stronie. Zdanie podkreślone zielonym długopisem powiedziało mi coś niby bardzo zwykłego, co jednak ledwo zaczynałem rozumieć, bo brzmiało jak tajemnicze zaklęcie. To samo usłyszałem wtedy, gdy Irma czytała książkę dziadkowi. Że najważniejsze jest... Tak. Zaklęcie czy może klucz do tego zamku o iluś tam komnatach, może stu, do iluś tam, może stu drzwi zaryglowanych. Albo odpowiedź na różne akacyjne wróżby, na te wszystkie katarynkowe, niby żartobliwe: kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje, w myśli, w mowie, w sercu... Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu.

A potem w pokoju nagrzanym od słońca silny zapach wędnących gałązek, które Irmina wstawiła do dużego glinianego wazonu i nie od razu je dostrzegłem.

16.

Dziadek był bardzo zdenerwowany, może nawet bał się... tak, to raczej był lęk, a nie złość, kiedy dopytywał i nie otrzymał ode mnie odpowiedzi.

- Co wyście zrobili temu chłopcu? Marek! Co mu zrobiliście?

A ja milczałem. Przez te wszystkie dni milczałem i niczego nie mogli ze mnie wydobyć, ani on, ani Irmina, nikt.

Kowal początkowo zachowywał się tak, jakby w ogóle nic się nie wydarzyło. I nie dziwiło mnie to nawet. Nigdy nie miał skłonności do rozmyślań i przyzwyczaił się stawać zawsze przy czymś zdaniu, jeśli mu tylko odpowiadało. Nabierał wtedy przekonania, że sam to wymyślił i wszystko było w porządku. Kowal dotychczas nie miewał wątpliwości. A jeśli nawet zdarzyło się, że został w nie wplątany, męczyły go tak bardzo, że jak najszybciej i z wielką ulgą się ich pozbywał.

Teraz było jakby inaczej i widocznie drażyło jednak Kowala coś, czego nie potrafił sobie nazwać, choć na początku tak łatwo zgasilem jego wątpliwości. Spływały po nim jak zeszloroczne śniegi. I wokół siebie widział chłopak choćby i spóźnioną, ale przecież wiosnę, a za nią, w perspektywie - lato, które miało dla niego konkretny smak zagranicznego obozu i turnieju, wakacyjnego wyjazdu tak już bliskiego, że spoza każdej zrywanej kartki kalendarza wyłaniał się coraz bardziej wyraźny obraz Dworca Centralnego. Bo Kowal zdążył się już nawet dowiedzieć, o której godzinie odjeżdżają pociągi do Berlina.

Zwierzył mi się z tego, kiedy spotkaliśmy się na boisku szkolnym w parę dni po tamtym meczu niedzielnym. W rozkładzie treningów, opracowanym z góry na całą wiosnę aż do wakacji, przewidziane były na ten dzień zajęcia lekkoatletyczne. Ale przyszliśmy tylko my dwaj, nawet profesora Iwanickiego nie było.

- Mógłby chociaż oficjalnie odwołać trening i z głowy! - oburzył się Kowal, kiedy po kilkunastu minutach czekania zdecydowaliśmy iść do domu. - Sypnęła się drużyna, już się to

wszystko nie sklei do kupy, niestety...

- Kiedy nasi chłopcy usłyszeli, że nie jadą za granicę, to zabrali się do matmy i chemii

- powiedziałem. - Jeszcze można parę stopni poprawić.

- Albo cały rok stracić. Na przykład Markoniec, który przepadł gdzieś... Historyk o niego dopytywał, dwie albo trzy klasówki go ominęły: z polskiego, z fizyki. Co on wyprawia? Wymyślił sobie właśnie teraz wagary? Bez głowy zupełnie.

- Może to wcale nie wagary? Ale nasza drużyna rzeczywiście już się rozleciała. Po wakacjach tym bardziej nie odżyje... przynajmniej w tym naszym składzie.

- Myślisz? - ucieszył się nieoczekiwanie Kowal, jakby właśnie czekał na potwierdzenie tego, co sam przed chwilą powiedział. - No, to zapiszmy się obaj do klubu. Na przykład do „Legii”, co?

- Dlaczego akurat tam? Może Markoniec pociągnie cię do „Polonii”? Z ciebie może być naprawdę dobry bramkarz. A w gazetach coraz to piszą, że „Polonia” od lat nie ma bramkarza na poziomie.

- A co ma na poziomie? Ojciec mi opowiadał, jaka w „Polonii” była kiedyś drużyna piłkarska, ze trzydzieści lat temu... a może to legenda? Wtedy u nich bronił Borucz. Henryk Borucz. To jest nazwisko dla bramkarza, co? Jak z książki. Grał zawsze w żółtym swetrze. Bez żółtego swetra podobno nie wszedł do bramki. Jaszin to znowu zawsze bronił w swojej słynnej czapce...

- A ty? - uśmiechnąłem się. - Zaczynj sobie już robić jakąś legendę... Nazwisko masz jak dzwon. Też bardzo dobre.

- Myślisz? - Kowal nie wyczuł kpiny, był wyraźnie zadowolony. - Zaraz po wakacjach zgłoszę się jednak do klubu. Może rzeczywiście do „Polonii”? Pogadam z ojcem. Zdecydowałem się wtedy zapytać. Właśnie Kowala, bo przecież nie miałem kogo. Kmita w ogóle nie odzywał się do mnie. Czy może ja do niego? Nieważne. Pozostawał Kowal.

- Słuchaj... tylko mów dokładnie. Co się działo wtedy po meczu? Jak wyglądała druga połowa? Bo ja wyszedłem w przerwie, po naszej rozmowie, kiedy pobiegłeś do szatni...

- Żałuj! Widziałbyś, jak broniłem. Nic już nie wpadło, chłopcy się opamiętali, poszli do przodu. Pociągnął ich za sobą Waldek Gonta, bo Markoniec zupełnie stracił głowę. Gdyby nie Waldek, jeszcze w pierwszej połowie, to Wójcik by pewno znacznie więcej puścił. Przecież on go asekurował w bramce. A potem Gonta wyprowadził na pięć do czterech. Zremisować już się nie udało.

- Prawy obrońca zastępuje bramkarza, to znów strzela bramki. Zupełny cyrk! - powiedziałem niby zupełnie lekko, spokojnie. - Ale dzięki temu Waldek zarobił wyjazd, tak? Od razu po meczu ktoś o tym zdecydował? Kiedy dowiedzieliście się, kto właściwie wyjeżdża do Berlina?

Kowal spojrzał na mnie trochę podejrzliwie.

- Kmita ci nie powiedział? Naprawdę nic nie wiesz?

Milczałem. I Kowal musiał spostrzec, że nie powinien przeciągać struny. Byłem wściekły, nigdy nie potrafiłem zmusić się, żeby o coś prosić. A teraz dopraszałem się tych informacji, jak...

- Mówisz?

Tak. Na meczu był ktoś z władz szkolnych czy sportowych. Zebrali obie drużyny i powiedzieli nam, że oba zespoły są właściwie jednakowo dobre. I przeczytali nazwiska zawodników wyznaczonych do wspólnej reprezentacji Warszawy. Naszych chłopców zupełnie zatkało. Przecież myśmy wiedzieli, że gramy o to, która drużyna pojedzie. Nam się mówiło, że to jest finał, więc liczy się każda bramka. A to były dwa ostre sparingi dla przeprowadzenia selekcji najlepszych. „Błękitni” zaraz po pierwszym meczu usłyszeli od swojego trenera, że ty, ja, Kmita i dwóch od nich - już zostaliśmy zakwalifikowani, a resztę

składu ustali się po niedzielnym rewanżu.

- I każdy z nich grał tak, żeby się jak najlepiej pokazać. To jasne. A nasi wygłupili się, przekreślili swoje szansę tym bałaganem na boisku i bezsensowną bieżnię, kiedy Wójcik zaczął puszczać... Kto w końcu został jeszcze wzięty od nas? Gonta i kto? Markoniec?

- Właśnie. Chłopcy byli rozżaleni. Wściekli. Może trochę z zazdrości? Wybuchła dzika awantura. Iwanickiego to jeszcze trochę bali się atakować, chociaż... też nikt się specjalnie nie liczył ze słowami: że lipa, granda, że oszustwo. Ale to, co usłyszał Markoniec o sobie! Był biały jak papier, nic nie mógł zrozumieć... nie chciałem, Marek, znaleźć się wtedy w jego skórze ani ty byś nie chciał. W pewnej chwili pobiegł jak wariat w stronę bramki. Iwanicki też miał minę, jak, no nie wiem. Skompromitował się wobec tamtych ludzi, nie potrafił opanować grupy, ośmieszył się zupełnie. Chyba powinien przestać uczyć w naszej szkole, wiesz...

Słuchałem tego wszystkiego, zdając sobie sprawę jeszcze z czegoś, o czym Kowal przecież nie wiedział. Że Markoniec przeżył to na oczach Irminy i Zawistowskiego, który ją przyprowadził. Byli umówieni z Markońcem po meczu... kto z nich poddał na kiermaszu myśl, żeby tam się umówić?

- Nasi chłopcy w gruncie rzeczy nie uwierzyli - ciągnął Kowal - do dziś nie wierzą i połowa szkoły też przecież nie wierzy w to, że oba mecze były sparingowe. Mówią, że jedną bramką wygraliśmy, potem również jedną przegraliśmy rewanż i powinien być trzeci mecz, rozstrzygający, która drużyna jedzie. Uważają, że to jakaś afera z tą wspólną reprezentacją... Słowo „afery” myślimy wszystkim podsunęli, Kowal! - przerwałem mu. - Właśnie my. I to przed meczem niedzielnym. Stąd cała... właśnie afery. Nie uważasz?

- Iwanicki jest winien. Należało powiedzieć drużynie prawdę: pojedają tylko ci, którzy najlepiej grają. Tak jak to przez cały czas wiedzieli „Błękitni”. Po co bujał, że zdecyduje wynik bramkowy?

- Tłumaczył to potem jakoś? - spytałem. - Chyba nie, jak zwykle, „względnymi wychowawczymi”?

- Jakbyś zgadł! - roześmiał się Kowal. - Znasz go jednak. Mówił, że nie chciał, żeby słabsi machnęli z góry ręką na te mecze, wiedząc, że i tak nie mają szans. Bo wtedy i najlepsi nie mogliby się na boisku dobrze pokazać... może i coś w tym jest. Nie miał zaufania do drużyny.

- Bo nasza drużyna rzeczywiście na zaufanie nie zasługiwała - powiedziałem. - Na to w końcu wyszło. Choć może głównie dzięki nam, co?

- Mogło być inaczej! - upierał się Kowal. - Gdyby Markoniec od razu wyjaśnił, dlaczego nas trzech nie wystawia do rewanżu. Gdyby powiedział, że idzie mu o to, żeby jeszcze dać szansę rezerwowym...

- To akurat mówił. A tamtego nie mógł powiedzieć. Bo wtedy musiałby nas poinformować, że już zostaliśmy wytypowani do reprezentacji. A na to mu nie pozwolił profesor Iwanicki, który chciał to do końca utrzymać w tajemnicy... i zrobiło się błędne koło. I w to koło wskoczyliśmy wtedy my trzej! Bo ciebie nie liczę.

- Nie rozumiem.

- Nie szkodzi. To był jednak ostatni mecz naszej drużyny. Szkoda, że w nim nie grałem. Ty miałeś szczęście, Kowal!

Odwrociłem się i odszedłem od niego. Ale po paru krokach usłyszałem:

- Co ci się stało? Zwariowałaś? Dokąd ty idziesz?

- Do domu.

- Poczekaj! - zawołał Kowal. - Ja też idę w tamtą stronę!

Szliśmy dość długo zupełnie bez słowa. Wreszcie znudziło mnie to, przystanąłem. On też.

- Chciałeś chyba jeszcze coś powiedzieć?

- Skąd wiesz? - zdziwił się.

- Byłem u wróżki. No, więc mów. Nie zastanawiaj się tak długo, bo naprawdę można przy tobie zwariować. Skup się, Kowal, i truj, o co ci chodzi. Ty tylko o piłce potrafisz rozmawiać jak człowiek.

- No!

- Co „no”?

- No, tak. Masz rację. W lewo.

- Co w lewo?

- Skręcamy w lewo, tak? Dlatego stanąłeś?

- A po diabła mamy skręcać w lewo?

- Myślałem, że idziemy do Kmity. Nie? - bąknął Kowal.

Zaskoczył mnie tym Kmitą. O co mu chodzi? Tak zupełnie bez powodu nie szedłby do Kmity. I najwyraźniej on chce iść ze mną. Ale dlaczego? Jak z Kowala wyciągnąć odpowiedź? Zdenerwował mnie.

- A do Zawistowskiego, na przykład, tobyś nie poszedł? - zapytałem. Wziął to na serio.

- Nie. Nie mam już po co.

- O! Czyli że do Kmity jest po co iść, tak? To idź i daj mi święty spokój.

- Ty też tak mówisz? Myślałem, że ty jesteś inny! - powiedział z goryczą Kowal. Co on ma mi za złe? Od kogo mam być inny? Patrzył na mnie z jakimś dziwnym napięciem, bardzo uważnie. - Z Zawistowskim już próbowałem rozmawiać. I kazał mi iść do diabła...

- To idź. Szczęść Boże.

- Powiedział, że nigdy go nasze głupie sprawy nie obchodziły, a tym bardziej w tej chwili już go nie obchodzą.

- Co to znaczy „w tej chwili”?

- Bo to było na ulicy. Szedł z twoją siostrą, ja go odwołałem na chwilę.

- Rozumiem. Co dalej?

- Nie chciał słuchać, więc nie mogłem mu do końca wszystkiego powiedzieć. Ale ty musisz posłuchać. Musisz wiedzieć. Dlaczego tylko ja mam się nad tym zastanawiać? I Markoniec. Bo on też o tym wie.

Zaczynało to wyglądać poważnie. Kowal najwyraźniej nie mógł sobie z czymś dać rady, szukał oparcia. A może chciał, żeby ktoś za niego rozstrzygnął. Tylko co?

- Mów, Kowal... - zachęciłem go. - Wal z mostu!

- Moim zdaniem, Wójcik wcale nie był taki chory, żeby aż tak źle grać. Mówiłem ci już podczas meczu, że on po prostu nie bronii. Potem widziałem go z bliska. Katar miał i tyle.

- To przeszkadza... mógł mieć gorączkę.

- Mógł. Nie mierzyłem. Ale w szatni usłyszałem rozmowę. Kmita powiedział Wójcikowi, żeby mu oddał forszę. A Wójcik: „zwariowałeś?”. A potem: „dlaczego?”. Wtedy Kmita: „to oddaj połowę!”. I Wójcik oddał mu dwie setki. To samo co ja słyszał Markoniec. Stał w drzwiach, oni go nie zauważyli.

Czułem, jak jedna myśl goni drugą, krzyżują się... a Kowal chce wyczytać, co teraz myślę. Nie wyczyta. Trzeba mu szybko odpowiedzieć. Szybko i spokojnie.

- Mógł być Kmicie winien - powiedziałem.

- Mógł. Tak mi też tłumaczył, kiedy o to spytałem. Ale nie wiem, czy ty dobrze rozumiałeś. Kmita powiedział: „oddaj połowę”. A ja przecież wszedłem do bramki od połowy meczu.

- Rozumiem cię, Kowal.

- No i co?

- Nic. Rozmawiałeś z kimś o tym? Tylko z Zawistowskim? A z Markońcem nie?

- Nie.

- To i nie rozmawiaj z nikim. Wójcik na pewno był Kmicie winien te pieniądze.

Zapomnij o tym.

Tak myślisz? - Kowal wciąż patrzył na mnie uważnie, ale byłem zupełnie spokojny, nawet uśmiechnąłem się lekko, żeby uwierzył, że nie ma sprawy. - Myślisz? No, to dobra. Ale pójdziemy do Kmita?

- Nie. Idź do domu. Cześć!

Odszedłem na przystanek. To był piąty czy szósty dzień, jak Markoniec nie przychodził do szkoły. Co się z nim działo? A co dzieje się między nami, co rozgrywa się w tych dniach pomiędzy Kmitą, Zawistowskim i mną? I to prawie bez słów. Klasa niczego nie zauważyła, tak można by sądzić, dla wszystkich wciąż byliśmy trójką przyjaciół, co to takich dwóch jak nas trzech to nie ma ani jednego. Że niby takiej trójki to ze świecą szukać. Być może.

Wiedziałem o nich dwóch coraz więcej. A oni o mnie? Zawistowski zajmował się teraz tylko Irminą. A Kmita patrzył przy każdym zetknięciu tak, jakby pierwszy raz mnie na oczy widział. I milczał. Może z powodu tej jednej, jedynej wątpliwości Kowala, którą tak łatwo udało mi się przekreślić... nie, wymazać jakby gumką, choć nie wiem, czy nie został po niej jakiś ślad.

Ale i ja milczałem. Zawistowskiego starałem się zrozumieć. Kmitę też chyba rozumiałem: Markoniec nie pokazuje się w szkole, przestał przychodzić, jest cisza, więc Kmita przestał się bać. Skoro nic nam nie grozi, to znaczy, że nic się w ogóle nie stało. Nie ma Markońca - nie ma sprawy.

Tylko siebie nie potrafiłem zrozumieć. Nie ma sprawy? Więc jak miałem dziadkowi odpowiedzieć na to jego: co zrobiliście temu chłopcu?

17.

Milczałem.

Każdego wieczoru z trudem usypiałem przez te dziesiątki tłoczących się, jeden na drugi, obrazów. Raz jedne, raz inne brały górę. Irmina i Markoniec. I tamten wieczór piątkowy, kiedy nienawiść do Markońca długo nie pozwalała mi zasnąć, kiedy odkryłem, że to właśnie jest nienawiść. Ale teraz starałem się myśleć na zimno: co wtedy czułem? Odprawa drużyny w świetlicy szkolnej, znakomity nastrój chłopaków, byliśmy przecież przekonani, że wystarczy zremisować rewanż i jedziemy na obóz za granicę. I wtedy: wy trzej nie gracie! Zrobiliście już swoje, zajmijcie się stopniami. Nasze oburzenie, żal. Potem wściekłość. I pytanie: dlaczego? I ta decyzja: wykończymy go! Załatwimy Markońca tak, że się nie pozbiera.

Każdego wieczoru to samo, wciąż od nowa i trochę inaczej. Irmina i Zawistowski. Irmina i Mały Książę. Irmina i... a gdybym tak jeszcze raz miał przeżyć tamten piątek, czy znienawidziłbym Markońca tak samo jak wtedy? Może nie ma tu wcale mojej winy. Przecież Zawistowski, przecież Kmita... a jednak jestem przecież winien. Od kiedy? Od jakiego momentu, skoro tylu rzeczy wtedy nie wiedziałem? Gdzie jest ta granica i kiedy ją przekroczyłem? Jak łatwo jest złamać człowieka. Tylko co potem? Co zrobiliśmy Markońcowi? Nic? Nie ma sprawy. Można przecież milczeć. Milczałem.

Aż to moje milczenie przerwała Irmina.

Przyszła do kuchni bardzo późno wieczorem, właściwie już w nocy, pewno specjalnie czekała, aż mama i dziadek usną. Zamknęła za sobą drzwi i usiadła przy stole. Z mojego polowego łóżka, odgradzonego szafą od reszty kuchni, widziałem po ciemku tylko sylwetkę.

- Marek... śpisz?

Nora warknęła cicho, jakby chciała dać nam do zrozumienia, że nie jesteśmy sami, że mamy świadka tej rozmowy, na którą Irma się zdecydowała.

- Wiem, że nie śpisz. A jeśli nawet spałeś, to się obudź. Słyszysz mnie?

- Tak, słucham.

- Czy wiesz, co się dzieje z Markiem... z Markońcem, jak wy na niego mówicie? Byłam wczoraj u niego... właściwie po niego, wywołałam go z domu i umówiłam z dziadkiem.

- Dziadek ci kazał?

- Tak. Dowiedział się od Katarzyny, że Marek nie przychodzi do szkoły, Kaśka usłyszała od waszej wychowawczynie, że jeśli Marek opuści decydujące klasówki i cały ten okres wystawiania końcowych stopni, to może w ogóle nie być klasyfikowany. Kaśka to powiedziała dziadkowi.

- Co to właściwie znaczy?

- Praktycznie to może znaczyć, że nie otrzyma świadectwa, czyli będzie powtarzał rok. Dziadek wystraszył się o niego. Rozmawiali dzisiaj...

- Byłaś przy tym?

- Tak. I ja nie wierzę w to, co on dziadkowi mówił... nie bardzo wiem dlaczego, ale nie wierzę. Więc chcę cię spytać. Tobie uwierzę, Marek. I powtórzę dziadkowi.

- Mnie uwierzysz? A niby dlaczego?

- Bo dotychczas zawsze ci wierzyłam... - mówi Irmina cicho.

- Masz ostatnio stale pod ręką Zawistowskiego. Jemu nie wierzysz?

- Nie mieszaj go do tego, proszę cię.

- Sam się wmieszał. Ale dobrze, zostawmy go. Powiedz, jak Markoniec tłumaczył dziadkowi, dlaczego nie przychodzi do szkoły? Tak bardzo nie chce przyjść, że aż gotów ryzykować stratę całego roku. Jak to tłumaczył?

- Mówił, że nie może chodzić do szkoły, bo opiekuje się matką, która jest poważnie chora. A jego ojciec wyjechał służbowo za granicę i wróci dopiero za trzy tygodnie. Coś by się niby zgadzało, przecież niedawno potrzebował recepty na zastrzyki...

Irmina mówiła dalej, prawie szeptem, żeby nie obudzić dziadka i mamy, ale nie słuchałem jej już, wszystkie te słowa przepływały gdzieś koło mnie. Przypominało mi się, słyszałem teraz jakby po raz drugi, ale trochę inaczej, coś innego, inne słowa na ten sam temat. Wszystko to, co wczoraj wieczorem powiedziała mi Katarzyna... Więc tak się złożyło, że jednego dnia rozmawiały obie z Markońcem. Irmina i Czeremcha. I nasz dziadek. Wczoraj. Staliśmy z Czeremchą w bramie jej domu, na pustej ulicy zacinał drobny, dokuczliwy deszcz, osowiałe psy kręciły nam się pod nogami. Było ciemno i nieprzyjemnie.

- Pojechałam do Marka zaraz po południu, tak jak mnie prosiłeś - mówiła Katarzyna. -

A wiesz, o której wróciłam z tej jego Saskiej Kępy? Po dzienniku telewizyjnym. Matka mnie ochrzaniła, gdzie ja się włóczę i z kim. Wszystko poszło na twoje konto...

- Dlaczego na moje?

- Bo to nasze tłuste ciele, czyli moja siostrzyczka, poinformowała mamę, że ostatnio ciągle jestem z tobą...

- Mów, co z Markońcem?

- Nie było go w domu. To znaczy, tak sądziłam, kiedy nikt mi nie otwierał. Więc przeszłam się trochę po Kępie, do kina „Sawa” i z powrotem. Potem jeszcze raz, obejrzałam fotosy... Po godzinie znowu spróbowałam, zaczęłam walić w drzwi. Wreszcie dałam spokój, zrezygnowałam. Zaczęłam schodzić. Wtedy zawołała mnie jakaś starsza kobieta, która stała w uchylonych drzwiach... wiesz, piętro niżej, pod Markiem. Spytała, dlaczego się dobijam. I mówi, że on jest w domu i był również wtedy, kiedy pierwszy raz tu przyszedłam...

- A niby skąd wiedziała, że on jest?

- Przecież chyba słyhać z góry... nie wiem zresztą, wszystko jedno. Ja powiadam, że przysłano mnie ze szkoły, żeby zobaczyć, dlaczego Marek nie przychodzi cały tydzień. A ona mówi, że dzisiaj nie był w szkole, bo jego rodzice rano wyjeżdżali na wczasy, w czwartek nie był, bo coś tam z hydraulikiem się działo, ale przez pozostałe dni zawsze po siódmej rano

widziała go, jak wychodził z domu z torbą, czyli do szkoły.

- Powinna w milicji pracować. Taka sąsiadka to samo szczęście! Cholerne staruchy tylko w kolejkach tłok robią albo sąsiadów obgadują.

Ale mnie się przydała. Poszłam jeszcze raz na górę, zadzwoniłam i zawołałam, żeby otworzył, że to ja. Zdecydował się wreszcie i otworzył. Okazało się, że jego matka i ojciec rzeczywiście wyjechali na urlop, w góry. Stary dostał ulgowe wczasy, postanowili wykorzystać. Oni nie wiedzą oczywiście, że Markoniec przestał chodzić do szkoły. Mówił, że nie ma pojęcia, jak to wytłumaczy, kiedy wrócą, i w ogóle, co z tego wszystkiego wyniknie, ale on już do naszej szkoły nie wróci.

- A co ty?

- Próbowałam go przekonać. Milczał. W pewnym momencie mruknął coś bzdurnego. Że jeśli nawet jutro przyjdzie, to zrobi to nie dla siebie i nie dla mnie oczywiście... Ty wiesz, gdzie on przez te parę dni przesiadywał, kiedy niby wychodził do szkoły? Na stadionie „Polonii”, przy Konwiktorskiej. Tam go dobrze znają, więc nikt o nic nie pytał. A on pętał się bez sensu, trochę pomagał przy sprzątaniiu tenisowych kortów, szedł na basen... Żeby przeczekać do drugiej, trzeciej godziny, kiedy już można wrócić do domu i udawać, że się było w szkole. Czy ty rozumiesz coś z tego wszystkiego? On chyba na głowę upadł!

- Nie na głowę. Ale rzeczywiście upadł - powiedziałem. - Rozumiem. Bo to jest tak, Kaśka: złamać człowieka to jak zjeść bułkę z masłem, łatwo, bardzo łatwo, jak się okazuje. Zjadasz taką bułkę jakby nigdy nic, może ci nawet przez chwilę smakuje. A potem ci staje w gardle...

A może nie powiedziałem wtedy w bramie tych słów? Może dopiero teraz przyszły mi do głowy, kiedy Irmina, zniecierpliwiona tym, że wciąż milczę, podnosi głos i pyta:

- Marek! Chyba nie usnąłeś? Czy ty mnie słuchasz?

I znowu widzę jej cień, sylwetkę, teraz jakby lepiej widzę, już nie jest tak bardzo ciemno w tej naszej kuchni, jak było wtedy, kiedy tu weszła.

- Co ty na to wszystko, Marek? Czy wyście coś złego zrobili temu chłopcu? Co mam powiedzieć dziadkowi?

Nie odpowiem, że Markoniec ich okłamał. Ona musi wierzyć, że to uczciwy chłopak, bo taka jest prawda. Teraz wiem, że on dla nich zdecydował się dziś rano przyjść do szkoły. Ale, niestety, przed wejściem spotkał mnie. Mnie, z tą moją głupią, taką niby bohaterską decyzją, że pomogę mu odegrać się na nas, za to, cośmy mu zrobili. Może zresztą i nie odczyta! tego, ale spotkał akurat mnie. Nie wszedł do szkoły. I ja też nie poszedłem. Bo oni jeszcze nie wiedzą, że właśnie dzisiaj przestałem chodzić do szkoły, a ja dopiero teraz wiem dlaczego. Rano to wyniknęło jakby samo z siebie, po prostu tak się stało. A teraz wiem... tylko co jej odpowiedzieć?

- Irma... - powoli próbuję ubrać w słowa coś, co mi bardzo trudno nazwać. - Irma, dobrze zrobiłaś, że przysłałaś ze mną trochę pogadać. Ale idź już spać. Zostaw tę sprawę Markowi i mnie. Uspokój jakoś dziadka...

Jeśli teraz powiem: widzisz, Marek nie może już przyjść do naszej szkoły i ja też nie mogę - jeśli to usłyszy, powiem za dużo. Więc co jeszcze dodać? Żeby nie za dużo i nie za mało. Żeby nie przeszkadzili mi zrobić tego, co właśnie sobie postanowiłem: że będę obok Markońca w tej jego zakichanej sytuacji, w której się znalazł. W jaką myśmy go... ja go wpędziłem. Co powiedzieć?

- Marek, kochany... - mówi cicho Irmina. - Więc dziadek jednak ma rację, że boi się o was. I ja się boję... Co się naprawdę z wami dzieje? Proszę cię...

I wtedy, jakby wbrew sobie, powiem coś, co ona potem powtórzy dziadkowi. Mówię właściwie wszystko. Komu innemu nie udałoby się to, ale ona jednak przerwała moje milczenie.

- Irma, powtórz dziadkowi tak: Marek nagle odkrył, że nie ma wśród nas czym



oddychać. Upadł i potłukł się, podstawiono mu nogę. Dziadek jest mądry, on to zrozumie.  
- To jest o tobie czy o tamtym Marku? - pyta Irmina, ale już nie usłyszy odpowiedzi.  
Więc wstaje i wychodzi.

A do mnie znowu wraca wszystko, co mówiła Katarzyna. I teraz jakbym słyszał to znowu inaczej. To Irma poddała mi pytanie: czy myślę o sobie, czy o nim? W dziwny sposób odbieram teraz słowa Kaśki powiedziane tam, w bramie, na wieczornym deszczu. Jakby gdzieś z boku płynął komentarz. A ja w tej ciemnej bramie jakbym widział rozwieszony wielki, rozjarzony ekran, po którym to ja się poruszam.

I słysząc słowa o Markońcu, widzę na jego miejscu siebie, choć pewno zniekształcam obraz, bo przecież Katarzyna nie jest w stanie opowiedzieć mi, co naprawdę, krok po kroku, robił Markoniec i co wtedy czuł przy każdym z tych krojów. Ważne, że widzę w tym ciągu obrazów siebie w jego roli, usiłuję zagrać tę rolę.

Po co? Żeby go zrozumieć. Po raz pierwszy tak mi zależy na tym, żeby kogoś drugiego... nie, jeszcze nie wiem, jak to nazwać, po prostu patrzę. I jest to jakby film, który zaczyna się od końca. Ja-Markoniec siedzę zamknięty w pustym mieszkaniu, włóczę się po ulicach miasta, bo nie mogę patrzeć na ludzi, z którymi, zdawało mi się, jestem tak blisko. Myślałem, że to gromada przyjaciół, a to była rozstawiona nagonka. Ja-Markoniec nie mam do kogo ust otworzyć, bo chciałbym krzyknąć: to niemożliwe, że tacy jesteście. Ale nie warto krzyknąć, bo nagle odkryłem, że ci ludzie mówią jakby obcym, nie znanym mi językiem. A jeśli nie warto nawet krzyknąć, to nic już nie można zrobić. Więc ja-Markoniec jestem jak ryba wyłowiona z przerębli i rzucona na lód: tak blisko jest woda, ten lód to też przecież woda, a jednak nie ma czym oddychać...

Właśnie wtedy to pojąłem. I znalazły się słowa potrzebne mi, żeby nazwać sobie samemu ten zaskakujący dla mnie, dziwny sposób, w jaki usiłowałem zrozumieć Markońca: przecież ja chcę zobaczyć w nim siebie, więc chodzi mi o to, jaki ja jestem. Ja, a nie on. Jeśli to będę wiedział, zrozumieć i innych. Na tym ekranie pełnym obrazów, w tym lustrze wydarzeń i myśli, słów i dni - chcę zobaczyć swoją twarz prawdziwą.

...Świeci w nią słońce, odwracam głowę, bo świeci mi teraz prosto w oczy. Który to już raz jestem na stadionie „Polonii”, gdzie i on przychodzi? Spędzamy tu nasze szkolne godziny osobno. Nie potrafimy się porozumieć. Przy parkanie wielkie akacje kwitną, przekwitają. Aż któregoś dnia nagle ze środka trybun, stamtąd, któredy podczas meczu wybiegają na boisko zawodnicy, żeby przegrać albo wygrać mecz, usłyszałem swoje imię. Markoniec też usłyszał, widziałem, że i on się podniósł. To śmieszne, że mamy te same imiona.

Zobaczyłem mojego dziadka, który tu nas odnalazł. I wołał:

- Marek! Marek!

Było akurat południe, pora akcji.

18.

A teraz już skończyła się szkoła. Kiedy wychodzę na ulicę, mogę iść w dowolną stronę. Ale to dla mnie znaczy - nigdzie. Kiedy wracam - i tu nikt nie czeka. Zostałem sam i wiem o tym.

Kiedy przychodzą wakacje, ulice niepostrzeżenie tracą swoją zwykłą barwę. Może kolor miastu nadają włosy dziewcząt? Więc kiedy w lecie miasto pustoszeje, żadne neony nie dadzą mu tylu barw, co jedna rozkrzyczana klasa szkolna wysypująca się po lekcjach na ulicę, choćby nieładną i brudną.

I tak sobie myślę, że dobrze byłoby umieć namalować wszystko, co się widzi, własnymi kolorami, jakich nikt inny nie zna, ale dobrze również, że tych moich myśli nikt nie może usłyszeć. Chyba dobrze.

Snuję się każdego dnia po ulicach, wakacje przecież. Koniec roku, wymęczony

ostatnimi zajęciami, walką o stopnie i wszystkim tym, czego miałem już wtedy w szkole zupełnie, aż do obrzydzenia dosyć, zaraz po pierwszych godzinach wakacji rozmazał się dziwnie łatwo. Wszystko tamto było już jakby bardzo dawno. Jeszcze jedna furtka zamknięta i wolałbym nie oglądać się za siebie, choć to chyba niemożliwe.

Kto mi pozatrząskiwiał te furtki wokół mnie, których nawet nie dostrzegałem, dopóki były otwarte? Jestem więc sam. W tym mieście z dnia na dzień coraz bardziej wyludnionym, na ulicach rozgrzanych zakurzonym skwarem, i sam w domu. Mam dużo czasu, zbyt dużo dla mnie samego, i nie ma z kim się podzielić... to dziwne: swoje myśli chciałbym zachować tylko dla siebie, dlaczego więc mój czas bez innych jest taki pusty?

Gdzieś tam chłopcy może mówią o mnie. Kmita, Markoniec, Kowal. I inni. Chyba źle mówią. Wzruszają ramionami: wariat. Co on znowu zrobił? I po co, dlaczego?

Gdzieś tam... nie gdzieś tam, tylko w moim domu może Zawistowski rozmawia o mnie z moją siostrą? Wzruszają ramionami: szczeniak. I tylko tyle? A Katarzyna? Ona też tak pewno myśli: smarkacz. A moja mama? Może o tym, żebym nie zapomniał kupić chleba, masła, cukru. Tak. I rzodkiewek. To przecież takie ważne: kupić rzodkiewki. Więc kupuję i idę z nimi do domu. Jeśli zastanę tam Zawistowskiego, wyjdzie bez słowa. A jeśli go nie będzie? Wtedy ja wyjdę. Więc właściwie po co mam iść do domu? Zawracam.

Nowy Świat, Aleje... Warszawa duża. Idę, oglądam wystawy, jem swoje rzodkiewki, choć nie miałem na nie ochoty, i piasek trzeszczy mi w zębach, przystaję przy czerwonych światłach i ruszam dalej, kiedy zapalają się zielone.

- Cześć, Marek.

- Cześć...

Żebym ja wiedział, jak mu na imię? Ale nie pamiętam. To ten bramkarz „Błękitnych”, z Mokotowa. Uśmiecha się, jakby spotkał przyjaciela, i nie wiadomo czemu zatrzymuje się, choć nie jest sam. Dziewczyny, z którymi szedł, robią jeszcze parę kroków i przystają koło kiosku.

- Nie wyjechałeś z drużyną za granicę?

- Nie. Jak widzisz.

- Dlaczego?

- Zachorowałem. Nagle, na anginę... - zmyślam.

- Szkoda! Szkoda takiego wyjazdu.

Powiedział to tak, jakby zmartwił się szczerze. On się martwi, że ja nie wyjechałem?

Jak on może mieć na imię? Nic mi do głowy nie przychodzi. A zresztą, po co mi wiedzieć?

- Czekają na ciebie - mówię. - Twój harem?

- Takie tam. Ale miłe. Gawędziary...

- Kto?

Śmieje się z mojego zdziwienia, a może z mojej miny.

- Mówię przecież wyraźnie: gawędziary. Z zespołu „Gawęda”.

- Jest taki zespół?

- Dziewczyny! - woła. - Chodźcie tutaj i brońcie się same. - A do mnie: - Chcesz je poznać?

Chcę czy nie chcę, już jest za późno, bo podeszły do nas. A zresztą wszystko mi jedno.

- Sylwia.

- Irena.

- Dlaczego mamy się bronić?

- On nie słyszał o „Gawędzie”.

- Jego strata.

Trzecia z dziewcząt nie powiedziała swojego imienia. Stoi trochę na boku. Szczupła, chyba nieładna. Teraz ją poznaję, to dziewczyna, którą widziałem wtedy na Starówce, koło

malarzy i ich obrazów. Odchyła głowę i lekko mruży oczy.

- Przepraszam was - mówi - ale ja już muszę iść...

Tylko ja patrzę za nią, widzę, jak skręca w Kruczą, jest dość wysoka, skoro jej jasne, rozwiane włosy tak długo widać w tłumie.

- Wystraszyłeś ją czy jak? - słyszę. - Przecież miała iść z nami na lody...

- Możliwe. To cześć. Ja też się spieszę.

- Dokąd? - dziwią się. - Przecież wakacje...

- Właśnie, wakacje. Do szpitala.

Idę ulicą Kruczą i myślę o tym, że pewno i ci mówią teraz o mnie. Wzruszają ramionami i mają rację. Po co idę za tą dziewczyną? I dopiero w tej chwili uświadamiam sobie, że właśnie to robię: idę za nią. Mijamy Grand Hotel, dzieli nas od siebie tylko parę kroków, więc zwalniam nieco, żeby jej nie dogonić.

Przed hotelem gęsto od zagranicznych wozów, nie mają gdzie parkować, bałagan.

Podjeżdża autokar, może z lotniska. Sterty walizek, zamieszanie. I portier, który kłania się w drzwiach, nie wiadomo komu, na wszelki wypadek wszystkim naraz.

- Przejsć, psiarew, nie można! - mówi ktoś obok mnie. -

Starczyło pieniędzy na hotel, a zabrakło pomysłu na parking. To samo jest pod Forum.

Bez głowy zupełnie.

- Właśnie. Po co tyle tego zjeżdża do Warszawy? - dziwi się kobieta obładowana siatkami.

- Nie do pani, to pewne! - odpowiada wysoka brunetka w krótkiej spódnicy i śmieje się bardzo głośno.

- Same dziwki wszędzie... - mruczy ktoś pod nosem. - Same dziwki.

Rozmowa - myślę sobie. Ludzie idą ulicą, ludzie rozmawiają. Idą obok siebie, przeciskają się razem między samochodami i właśnie tyle mają sobie do powiedzenia. I chce im się to mówić?

Przyspieszam. Mijam staruszkę z wiadrem pełnym kwiatów, pewno z działki.

Rozgląda się nerwowo. Niedużo tu utarguje, a strachu się naje, bo milicja przegania. I przypomina mi się znowu Starówka, ten spacer z Katarzyną, kiedy kupiliśmy na Krakowskim Przedmieściu fiołki za dwa złote. Bardzo dawno to było, może w ogóle nigdy.

Jeszcze bardziej przyspieszam. Boję się, że dziewczyna, za którą idę, zniknie mi z oczu. A przecież chyba wcale nie chcę jej dogonić. Powiedziałem tamtym, że spieszę się do szpitala. To dobra myśl. Pojadę do dziadka, choć nie ma dzisiaj odwiedzin, jakoś się dostanę. Znowu zielone światło, idziemy dalej...

- Słucham. No, słucham!

W pierwszej chwili nie rozumiem, o co jej chodzi. Stoimy przy księgarni na placu Zbawiciela. Dziewczyna jest wściekła, potrząsa głową... teraz już nie mruży oczu. Więc nosi okulary. Zwykle, nie słoneczne. Kiedy je założyła?

- Chciałeś mi coś powiedzieć? Mów, ale szybko.

Zamyśliłem się i wpadłem na nią tak nagle. Musiała raptownie przystanąć. Dlaczego jest taka zła?

- Nic ci nie chciałem powiedzieć. Czemu krzyczysz?

- To czemu łazisz za mną przez całe miasto?

- Nie wiem. Może mi się podobaasz?

- Ja?

- Ty.

- To nie ma nic do rzeczy. Zostaw mnie w spokoju i idź swoją drogą. Słyszysz?

- Słyszę. I właśnie idę. Przez cały czas. Wcale nie za tobą...

- Niby dokąd idziesz?

- Do Łazienek, na przykład... - mówię, bo akurat tylko to przychodzi mi do głowy.

Jest trochę zaskoczona. Już nie podnosi głosu.

- Naprawdę szedłeś do Łazienek?

- Tak.

- Ja też tam idę.

- No, widzisz. To chodźmy. Po co tu stać?

Idziemy obok siebie, ale bez słowa, osobno. Skoro nie chce, niech się nie odzywa - myślę sobie. Po co ja idę do Łazienek? Przecież chciałem jechać do szpitala. Ale pojedę do dziadka jutro. Może nie będzie tak gorąco. Plac na Rozdrożu, więc teraz trzeba się zdecydować.

- Agrykołą chcesz iść czy do głównego wejścia? Gdzie się umówiłaś?

- Niby z kim?

- Więc po co idziesz do Łazienek?

- Do szkoły. Zanieść metrykę, bo gdzieś zgubili przy zapisach.

- Ty też jesteś z tej... „Gawędy”?

- Nie.

- A tamte dwie dziewczyny?

- Tak.

- Co one tam robią?

- Niby gdzie?

- W tym zespole.

- A co można robić w zespole? Tańczą. Śpiewają.

- Bez sensu - mówię.

- Dlaczego?

Nie wiem właściwie, dlaczego uważam, że to jest bez sensu, więc nie odpowiadam.

- A malowanie? - pyta nagle.

- Co malowanie?

- No, malowanie, rysunek... To ma sens?

- Ma.

- Naprawdę?

- Bardzo bym chciał umieć malować - mówię. - Zawsze chciałem. Ale nie potrafię.

Jaka szkoła mieści się w Łazienkach?

- Liceum plastyczne.

Jesteśmy już przy głównym wejściu do parku. Zdejmuje okulary, mruży oczy. I milczy. Stoimy tak przez chwilę.

- Jak ci na imię? - pytam, raczej chyba po to tylko, żeby się odezwać.

- Czy to ważne? Żegnamy się, dalej idę sama.

- Marek - mówię.

Patrzy na mnie, jakby chciała coś powiedzieć. Ale milczy. Denerwuje mnie to.

- Skłamałem, bo wcale nie miałem zamiaru iść do Łazienek. Zmyśliłem to sobie.

Szedłem za tobą.

- Wiem.

- Więc teraz pytam, jak ci na imię. Chyba słyszysz? Bo mnie Marek.

- I to też wiem. Nie wiedziałam tylko, że mnie nie znasz. Myślałam, że się zgrywasz.

Jesteś bratem Irminy, tak? Dlatego odeszłam od was, kiedy ten chłopak cię zatrzymał. Teraz chyba już nie będziesz szedł za mną, co?

- Nie rozumiem...

- Nieważne! - przerywa mi. - I nie mam ochoty niczego ci tłumaczyć. Zostaw mnie w spokoju!

Wbiegła do parku, a ja odwróciłem się i poszedłem powoli Alejami, a potem Agrykołą w dół i przez całe Powiśle pieszo do domu. Długo szedłem.

Najbardziej sam czuję się wieczorem, zanim wyjdę z Norą na spacer. Gra telewizor, Irmina włącza go teraz wcześniej. Ogląda albo nie ogląda. I milczy. Zdjęła już opatrunek, ale na ulicę nie ma odwagi wyjść. Jak to długo potrwa? Przecież nie będzie siedziała w domu, dopóki nie odrosną jej włosy. Takie włosy, jakie ona miała, chyba bardzo długo muszą rosnąć.

Mama nieczęsto jest z nami. Ciągłe dyżury. A jeśli nawet jest w domu, ma co robić. I wtedy już nie dwie, ale trzy osoby milczą. Gra telewizor, Nora pęta się pod nogami. I znowu kolejny dzień wakacji roztopił się jak to masło, które zapomniałem schować i w pełnym słońcu przeleżało na oknie. I taki sam był z tego dnia pożytek. Rano byłem u dziadka.

Cały czas mówił o Irminie. Słuchałem tego i myślałem o sobie. Dziadek był ożywiony, wypytywał o wszystko, co w domu. I wszystko to dotyczyło Inny. Zmyślałem spokojnie takie odpowiedzi, jakich się spodziewał. Oczywiście, jeździ z Zawistowskim na basen. Ładnie. Bardzo ładnie wygląda, dziadku. A w ogóle wszystko w porządku. Pewno, że długo śpimy. Ale nie za długo, jasne, bo szkoda słońca. A wieczorem? Wieczorem wychodzimy z psem na spacer. Pewno, że razem. Przecież nie puszczyć jej samej po nocy. Ale skąd? Kto by się nudził. Znakomite wakacje, dziadku.

Nie wiedział o wypadku Irminy, nie chcieliśmy go denerwować. Całe szczęście, że nie życzył sobie, żeby go odwiedzała, bo to pomogło nam ukryć przed nim jej chorobę.

- Dlaczego dziadek nie chce, żeby Irmina tu przychodziła?

- To jest męski oddział, czułaby się skrępowana. A w ogóle, co to za przyjemność chodzić do szpitala? Będą się na nią gapić... Przecież widzę, jak się te wszystkie chłopcy gapią na pielęgniarki. Ledwo tylko oczy otworzą po operacji.

- Na naszą mamę też?

- Zazdrosny jesteś? - i roześmiał się głośno. - Wasza mama jest tu oddziałową, to zupełnie co innego. Jej się boją jak ognia, bardziej niż ordynatora.

Powtórzyłem Irminie tę rozmowę.

- Bzdury, zawracanie głowy... - odpowiedziała ostro.

- Co jest zawracaniem głowy?

- Wszystko.

- Z tobą się szalenie łatwo rozmawia, siostrzyczko. Wymiana myśli jest gładka i miła.

Po prostu sama radość, koncert dla ucha.

- Nie wygłupiaj się, Marek. O czym wy gadacie w tym szpitalu? Też problemy mają. A jeśli chcesz wiedzieć, to dziadek zupełnie z innego powodu woli, żebym tam nie przychodziła.

- No?

- Co „no”? Ty sobie otwórz szeroko oczy i podeprzyj zapalkami. To może wreszcie dojrzysz, co się dookoła ciebie dzieje.

- Chciałbym.

- Twoja sprawa. Ale mnie o nic nie pytaj.

- Dlaczego?

- Bo nic ci nie powiem.

Więc dobrze, będę sam. I bardzo lubię całymi dniami chodzić po ulicach miasta, wystarczy przecież w to uwierzyć i nawet upał mniej wtedy męczy.

19.

List od Kowala był krótki i rzeczowy, w pierwszej chwili wydawało mi się, że będę musiał i potrafię na niego odpisać. Przyszły wtedy dwa listy równocześnie, oba z Berlina. Oklejone różnokolorowymi znaczkami, z których każdy był brzydszy od sąsiedniego, pełne stempli: niemieckich, polskich. Powiało Europą - powiedziałby pewno dziadek, gdyby je

widział. Ale przecież te listy ja ze skrzynki wyjmowałem... i coś mnie jednak ukłuło, choć sam przed sobą nie chciałem się do tego przyznać.

Zbiegając ze schodów, zawsze zatrzymywałem się na moment przy skrzynce, robiłem to odruchowo, nawet kiedy dobrze wiedziałem, że jest pusta. Odkąd pamiętam, kluczyk od skrzynki nosił przy sobie dziadek. Ja albo Irmina meldowaliśmy mu tylko, jeśli coś się w niej znalazło. I dawniej każde z nas chciało być z taką wiadomością pierwsze. Może stąd to przyzwyczajenie zatrzymywania się przy skrzynce?

Teraz już ja miałem ten kluczyk. Dostałem go od dziadka w szpitalu, kiedy powiedziałem, że są do nas jakieś listy.

- No, tak... - mruknął - oczywiście, powinienem zostawić wam w domu, zupełnie zapomniałem.

Ale ja pomyślałem, że chyba jednak nie zapomniał, tak bardzo niechętnie rozstawał się z tym kluczykiem.

Po paru dniach przysłała jeszcze widokówka spod Drezna.

Tam właśnie nasi chłopcy byli na obozie sportowym. Przez Berlin tylko przejeżdżali, zatrzymując się na krótko, a mimo to i Markoniec, i Kowal zdążyli napisać swoje listy.

Zaledwie kilkanaście godzin po wyjeździe z Warszawy.

Widokówkę przysłał Kmita. Ładna była, przedstawiała skały Bastei i daleko w dole wijącą się Łabę, po której płynął jakiś statek. Na pierwszym planie Kmita narysował długopisem dwa kółka i oznaczył cyframi. Statek zakreślił trzecim kółkiem, czwarte wypadło gdzieś w chmurach. A na odwrocie kartki opisał legendę: „Jedynka - tu ja stałem, dwójka - tu byś ty stał, trójka - takim statkiem płynęliśmy do twierdzy Koenigstein (coś fantastycznego, na bramie polski orzeł, jeden generał francuski jednak stąd prysnął z niewoli, zupełnie nie wiem jak?), czwórka - przestań się mnie czepiać, przecież to Zawistowski napuścił nas na Markońca”. Obok był tekst, można powiedzieć, oficjalny: „Z pięknej Saksonii przesyłam sportowe pozdrowienia - Kmita”.

Pokazałem wtedy widokówkę Katarzynie.

- Co ma orzeł do generała francuskiego, który prysnął? Nie wiesz przypadkiem?

Roześmiała się głośno.

- Wróć, to zapytamy. Ja też dostałam od chłopców kartkę, właśnie z Koenigstein.

Most zwodzony, brama, a nad nią herby Augusta Mocnego, stąd polski orzeł. On najwyraźniej wyciąga do ciebie rękę! Sam widzisz, że wyciąga.

- August Mocny? Czy może orzeł?

Podarłem widokówkę. Czeremcha rozżościła się, ale jej szybko przeszło.

- Mogłeś mnie dać! Jeśli nie chciałeś, żeby wpadła Irmie w rękę, ze względu na to, co on tam pisze o Zawistowskim. Przecież wiesz, że zbieram widokówki. Chociaż... i tak zniszczona, przez te głupie kółka głupiego Kmity. Ale rękę do ciebie wyciąga.

- Tak. Przeciw Zawistowskiemu. Jasne.

List od Markońca adresowany był do Irminy. Od razu dała mi go przeczytać, takim gestem, jakim podaje się komuś gazetę.

- Przecież to jest właściwie do dziadka. Albo raczej do nas wszystkich - powiedziała. - Nie uważasz?

Przeczytałem list dwa razy, bardzo dokładnie.

- Uważam. Masz rację.

- To może zanieś go dziadkowi do szpitala, co? Ucieszy się, że Marek otrząsnął się z tego wszystkiego. Dziadek go lubi.

I tyle na ten temat, tylko tyle. Było zupełnie oczywiste, że ani ją to ziębi, ani grzeje. A Markoniec pewno myśli o niej wieczorami, może wyczekuje odpowiedzi? Długo chyba zastanawiał się, co zrobić, żeby ten list był niby do nas wszystkich, ale tak naprawdę to tylko do Irminy. Ona mówi: otrząsnął się z tego. Więc ze wszystkiego można się po prostu

otrząsnąć?

Obracałem w palcach list Markońca, aż w pewnym momencie wypadł mi z ręki.

Irminy nie było w pokoju, mogłem przez chwilę nie podnosić kartki z podłogi... No, tak. Właśnie: nie podnosiłem tej kartki, nie wiedząc nawet dlaczego. Ale kiedy patrzyłem na upuszczony list, pomyślałem, że to jednak zupełnie co innego trzymać go w ręku, a co innego patrzeć na niego choćby nawet z bliska, ale jednak patrzeć z boku.

Tak jak patrzy Irmina. Albo ja... w tym momencie. A jeszcze co innego pisać ten list, który ktoś tam ledwo przeczyta, a ktoś inny zwyczajnie upuści albo podrze. Głupia rzecz: kartka papieru. Tyle tylko, że zapisana. Wiedziałem już, że Kowalowi nie odpiszę.

I wtedy zrozumiałem chyba coś bardzo dla mnie ważnego. Tu gdzieś jest błąd, muszę go wykryć, bo będę chodził jak we mgle, która rozmazuje kontury i wreszcie już nie wiadomo, kto jest kim.

Wciąż przypisuję innym swoje myśli. A przecież to, co ja czuję - to jestem tylko ja. Ja sam. I każdy jest zupełnie kimś innym...

- Co się tak zagapiłeś?

Irmina wchodzi do pokoju, spokojnie podnosi list i kładzie na stole, sądząc pewno, że po prostu spadł.

- Odkryłem Amerykę.

- Tu u nas, na podłodze?

- Coś w tym rodzaju.

- Zawsze sobie coś takiego odkryjesz, żeby się móc nad tym zastanawiać - mówi moja siostra. - Bo ciebie, Marek, niewiele obchodzi to, co jest. Tylko to, co sobie na ten temat wymyślisz!

- Kto ci tak o mnie powiedział?

- Kto? Bo ja wiem... może dziadek?

- Irma - zacząłem, ale dałem spokój. Po co mówić?

A chciałem powiedzieć, że to przecież nieprawda. Ale ja już to kiedyś o sobie słyszałem. Nie od dziadka. Usłyszałem to od Zawistowskiego i ona powtarza jego słowa. Parę dni nosiłem przy sobie list od Kowala, który chciał wiedzieć, jak było naprawdę wtedy na warszawskim dworcu. Nasza grupa wyjeżdżała parę dni przed zakończeniem roku szkolnego. Wszystkie szkolne sprawy Markońca i moje załatwił z dyrektorem dziadek, uspokoiło się nagle, jak po gwałtownej burzy, i Kowal promieniał, klepał nas po ramieniu, cieszył się jak dziecko. On najbardziej.

- To jest dobre, co się dobrze kończy. To jest ważne, a nie tamto, co się komuś tam wydaje! - mówił.

Nie wiem, czy to było do mnie, czy do niego samego, nie pytałem i nikt inny też nie pytał. Zbieraliśmy się do wyjazdu, zbiórka reprezentacji Warszawy, z którą jako opiekun jechał dyrektor naszego liceum, ojciec Kaśki, a jako kierownik sportowy - trener „Błękitnych”, miała się odbyć na godzinę przed odejściem pociągu, w głównej hali Dworca Centralnego.

Co ja ci, Kowal, mógłbym teraz odpisać? - myślałem.

To był piątek. Dla nikogo pewno nie miał ten fakt znaczenia.

Dla mnie miał. Bo ja pakowałem plecak na zagraniczny obóz, a równocześnie dziadek przygotowywał się do szpitala.

- Dlaczego mama chce zabrać dziadka koniecznie jutro? Dlaczego właśnie w sobotę? - pytałem. - Czy nie lepiej, żeby jeszcze w niedzielę siedział sobie spokojnie w domu? Przecież tam i tak przez te dwa dni nie będą mu robili żadnych badań...

- Oczywiście, że nie będą. Ani w sobotę, ani w niedzielę. Ale sobota jest dniem, kiedy wypisuje się ze szpitala wielu chorych. Najłatwiej wtedy o miejsce. I o to chodzi.

Irmina też się pakowała tego wieczoru. Ich klasa miała jechać na wycieczkę do

Krakowa. Wyjazd w sobotę rano, autokarem, powrót w poniedziałek. Tak zapowiedziała. Więc szykowaliśmy się wszyscy do opuszczenia domu. Nora, jak mogła, usiłowała nam przekazać coś, co po swojemu wiedziała może lepiej od nas; pies był przerażony i bezradnie szamotał się po mieszkaniu w nerwowym bałaganie, jaki robiliśmy. Nie wiem, co kto z nas myślał wtedy, ale żalosne udawanie, że wszystko jest w porządku, że nic się nie dzieje, stwarzało atmosferę trudną do zniesienia.

- Nie odprowadzajcie mnie! - poprosiłem. - To późny pociąg, lepiej niech nikt mnie nie odprowadza.

Na dwie godziny przed odjazdem pociągu wyszedłem z domu, wiedząc na pewno, że już nigdy nie będzie w nim tak, jak jeszcze wczoraj, choć może nawet wczoraj nie było najlepiej. Ale wczoraj jeszcze był ten dom, który dziś nam się rozlatywał na naszych oczach. Czulem, że dziadek już tu nie wróci. W ciągu tego miesiąca, kiedy będę na obozie pod Dreznem, może się wszystko wydarzyć. Bałem się i wiedziałem, czego się boję.

Bolała mnie głowa. Było mi niedobrze, Kowal, po prostu miałem mdłości przez całą drogę na dworzec, ale o tym nigdy się nie dowiesz. Może to spaliny w autobusie, może nerwy. Każde słowo jest dobre, żeby nazwać nim zwyczajny strach.

Na dworcu byłem przed wami wszystkimi. Ale nie czekałem w umówionym miejscu, usiadłem koło przechowalni bagaży, chciałem coś mądrego wymyślić. Nic mi jednak nie przychodziło do głowy. Z daleka obserwowałem, jak chłopcy się pomału zbierają, i wreszcie dołączyłem do was.

A potem na peronie było bardzo wesoło, wielu odprowadzających, głośne rozmowy. Ludzie przypatrywali się nam, całej grupie, z ciekawością, może nawet z szacunkiem. Nasze piękne, wiśniowe dresy z orłami na piersiach robiły wrażenie. No i ta „Warszawa” na plecach, wielkie numery, wszystko było jak trzeba. Ty miałeś oczywiście jedynekę, Kowal. Markoniec dziewczątkę, Kmita jedenastkę. Ja nosiłem dziesiątkę pierwszy raz w życiu, i to miało swoją wagę.

Katarzyna przyszła na dworzec z siostrą, nic dziwnego, odprowadzały przecież ojca. Ale Czeremcha odprowadzała i mnie. Nie wiem jednak, kogo przyszedł odprowadzić Zawistowski. Dostrzegłem go nagle i dość późno, już z okna wagonu.

Ty też go zauważyłeś, stuknąłeś łokciem Markońca. Wtedy Kmita powiedział półgłosem, może do mnie, może do siebie:

- A ta cholera tu po co?

Pamiętasz, Kowal? Inni chłopcy też to musieli słyszeć.

Zawistowski stał sam, wyraźnie z boku, ale nie chował się i myślę, że nawet chciał, byśmy go dostrzegli. Może nie wszyscy... A może w ogóle sobie to wymyśliłem, ale wtedy byłem pewien, że on chciał, żeby dostrzegł go Kmita i że bym zobaczył go ja.

Czy to takie ważne, Kowal, gdzie był wtedy mój plecak? Może jeszcze w wagonie?

Albo wciąż na peronie, tam za ławkami. Przecież chyba nie w przechowalni bagaży. Chcesz wiedzieć, jak było naprawdę. Po co ci to? Albo mnie? Czy też komukolwiek. To nie ma większego znaczenia.

Odciągnąłem Kmitę od okna. W ciągu ostatnich kilkunastu dni nie rozmawiałem z nim i teraz też nie czułbym do tego żadnej ochoty, gdyby się nie odezwał na widok Zawistowskiego. Staliśmy przy drzwiach przedziału, wasze głowy zasłaniały peron, nie zwracaliście na nas uwagi.

- No?

- O co chodzi? - spytał Kmita.

- Sam widzisz. Znowu nas zaskoczył, jak zawsze.

- Nic nie widzę. Przyszedł i tyle. Więc co z tego, że przyszedł?

- A jak myślisz: po co on tu jest?

- Nic nie myślę. Nie obchodzi mnie to. Chciał, to przyszedł, nie moja rzecz.



- A czyja?

- Niczyja, nie zwracaj głowy. Do czego ty ciągniesz?

- Bo jednak rozzłościło cię, że on tu stoi na peronie! - powiedziałem. - Więc może jednak wciąż jest między nami jakaś nie załatwiona sprawa? Jest czy nie ma? Dlaczego się denerwujesz?

Kmita przez chwilę nie odpowiadał. A potem, zupełnie innym tonem:

- Może sądził, że Irmina cię odprowadza? I dlatego przyszedł. A może chciał zobaczyć, jak my obaj zgodnie, razem z Markońcem, odjeżdżamy w stronę dal?

- Więc jednak! Chciał przekonać się, że wszystko jest w porządku, tak?

- Bo jest w porządku. Gdyby Markoniec nie jechał z nami albo gdyby któryś z nas nie jechał, to co innego. Ale tak? W ogóle nic się nie stało, słyszysz? - Kmita potrząsnął mną, jakby miał wątpliwości, czy to, co mówi, dociera do mnie.

- A może Zawistowski chce nam obu pokazać, że jest lepszy od nas? To my byliśmy zainteresowani całą aferą z Markońcem, my chcieliśmy zarobić ten wyjazd. A Zawistowski działał bezinteresownie...

- Marek! Odczep ty się ode mnie z tymi swoimi historiami. Ostatni raz o tym rozmawiam... - mówił Kmita spokojnie. - Posłuchaj: nam obu chodziło o wyjazd na obóz, ale i chodziło o sprawiedliwość. Bo nam i Kowalowi ten wyjazd się należał. Markoniec też miał dobre intencje. Tyle że wyszło nieporozumienie. Cześć! I to już koniec. A Zawistowskiemu również o coś chodziło...

- O co? - zdziwiłem się albo udałem zdziwienie.

- Poderwał Markońcowi twoją piękną siostrzyczkę. Trzeba być rzeczywiście takim bałwanem jak ty, żeby tego nie zauważyć. Zawistowski jest większy cwaniak, niż ci się wydaje!

- Więc ty, Kmita, właśnie tak na to wszystko patrzysz... - powiedziałem, też już zupełnie spokojnie.

- A tak. I to nie od dzisiaj!

Kmita wrócił do okna, przez które rozmawialiście z tymi, co nas przyszli odprowadzić. A wtedy ty, Kowal, odwróciłeś się i krzyknąłeś do mnie:

- Marek! Leć do drzwi, Kaśka chce ci coś powiedzieć.

Pobiegłem przez cały wagon, roztrącając ludzi. Drzwi były otwarte, Czeremcha czekała na stopniach.

- Gdzieś ty się tam schował? - złościła się. - Pocałuj mnie prędko, póki ojciec nie widzi! Nawet się nie pożegnałeś...

Zeskoczyła na peron.

- Trzymaj się, Marek. I nie martw się o nic. Będziemy waszego dziadka odwiedzali po operacji. Z Irmą i Zawistowskim...

Zatrzasnąłem drzwi i momentalnie opuściłem w nich szybę.

- Skąd wiesz, że mają dziadka operować? Przecież mówiło się tylko o obserwacji, o badaniach.

- Zawistowski mi przed chwilą powiedział, tu, na peronie. A on usłyszał dzisiaj od Irmy. Muszą jeszcze przeprowadzić badania, ale to się chyba skończy operacją. A może wszystko będzie dobrze? Trzymaj się, stary!

Pociąg powoli ruszył. Słyszałem wtedy jeszcze, Kowal, jak chłopcy krzyknęli coś głośno, wszyscy razem. Przez otwarte okno chciałem pomachać ręką, ale dałem spokój. Bo niby komu? Katarzynie czy może Zawistowskiemu, do którego podeszła teraz? Widziałem ich, jak stali trochę z boku, odcinając się od całej reszty odprowadzających.

A jeśli on przyszedł na dworzec, żeby mi w ostatniej chwili coś powiedzieć? Może właśnie to, co usłyszałem od Kaśki, tylko nie miał odwagi? Albo nie był pewien, czy należy, czy ma prawo to zrobić? Możliwe, że tylko dlatego przyszedł. Ale już się nad tym w tej

chwili nie zastanawiałem.

Właściwie w ogóle nie miałem nad czym się zastanawiać, nie było potrzeby o niczym rozmyślać, wszystko było proste, do Warszawy Zachodniej pociąg jedzie tylko cztery minuty, może pięć. Wsiadłem. Parę kroków biegiem, żeby schować się za jakąś budką. Ale przyszło mi do głowy, że przecież lepiej, jeśli ktoś mnie zauważy z wagonu. Nie będziecie się martwić, że wypadłem gdzieś podczas jazdy.

Ty mnie zauważyłeś, Kowal. Pociąg już odjeżdżał. Widziałem twoją przerażoną twarz i kiwnąłem ci głową, żeby wiedział, że to nie przypadek wysadził mnie na peronie Dworca Zachodniego. Napisałeś w tym swoim berlińskim liście, że krzyknąłem coś do ciebie. Nie pamiętam. Skojarzyło ci się to z tamtą przerwą podczas niedzielnego meczu, kiedy nie wiedziałeś, co zrobić? Ty masz jednak wyobraźnię, chłopie. Wtedy powiedziałem: „Graj, Kowal. Musisz”. Tak piszesz. Ty masz pamięć, Kowal, kto by się spodziewał.

Po co ci znać prawdę? Dlaczego wysiadłem, nikt nie będzie wiedział, czyli każdy będzie wiedział swoje. Ważne jest tylko to, że zostałem w Warszawie.

Nie odpisałem Kowalowi. Nie można powierzać siebie zwykłej kartce papieru... nie można, czy jest to po prostu niemożliwe?

20.

Mam tyle czasu dla siebie i jakoś jednak daję sobie z nim radę. Dzisiaj ulica Marszałkowska. Długa jest, zajmie mi parę godzin. Wczoraj obszedłem wkoło Stare i Nowe Miasto, posiedziałem trochę w zupełnie pustej katedrze, bo chłodno, pogapiłem się w okna Zamku. Potem zbiegłem w dół, nad Wisłę. Jutro... nie wiem, co jutro. Warszawa nie jest jednak taka duża. Ale dzisiaj Marszałkowska.

Chodzę więc, przystaję i znowu idę. Kupuję lody. Piję wodę z sokiem. Obok mnie zakonnica. Bardzo młoda, dziwne. Może nawet ładna? Więc oglądam się za nią, kiedy odchodzi, i wtedy nagle słyszę:

- Pluń do tyłu przez lewe ramię, najlepiej trzy razy. Albo się przeżegnaj, jeśli potrafisz.

Przy straganie ze starymi książkami stoi profesor Orzechowski. Roześmiałem się głośno. A on wskazuje laską na moje nogi i pyta:

- Gdzie kupiłeś takie sandały? Szukam od paru dni.

- W sportowym. Dzień dobry. Dlaczego mam pluć do tyłu?

- W którym sportowym? Gdzieś blisko? Możesz zaprowadzić?

- Chodźmy. Ale co z tym pluciem, panie profesorze?

Orzechowski odkłada książkę, którą oglądał.

- Drogo! - mówi do sprzedawcy. - Opuść pan trochę...

- Dołożę Klossa w obrazkach, po szwedzku - uśmiecha się tamten. - No, dobra: sto pięćdziesiąt. Bez Klossa.

- Biorę.

Odeszliśmy parę kroków.

- No, to do widzenia - mówi Orzechowski. - Trzymaj się, pozdrów dziadka...

- Przecież mamy iść po sandały!

- A nie wiesz, za co je teraz kupię? Wydałem na książkę. Innym razem. Dziadek zdrowy?

- W szpitalu.

- Mówiłem! - wykrzyknął stary. - Zakonnice spotkać przed południem to zła wiadomość albo pechowy dzień do zachodu słońca. Nie cierpię zakonnice. Dlaczego nie splunąłeś? Co mu jest? Dziadkowi.

- Nie wiemy. Jest na obserwacji. Co to za książka, panie profesorze? Warto było tyle zapłacić?

- Wyczuł mnie, łobuz. Dałbym i trzysta. Dałbym jeszcze więcej. Warto. Ostatni egzemplarz spłonął mi w powstaniu, razem z całym domem, rzecz jasna. Czasem sobie chodziłem, wiesz, do biblioteki uniwersyteckiej, żeby na to popatrzeć. Bo tam mają, nie wiadomo czemu. A dziś taki traf. Patrzą: leży na straganie. Przygoda, nie? Bardzo dobry dzień byłby, gdyby nie ta twoja zakonnica... Wiesz co? Daj mu to.

- Komu? - pytam, biorąc książkę, którą stary mi podaje. Patrzą na lekko przyżółkłą okładkę. - To pan napisał? Szkice o Akropolu. Nie wiedziałem, panie profesorze...

- A co ty w ogóle wiesz? Tylko nie zgub. Daj dziadkowi, kiedyś mi odda... cześć. I omijaj z daleka zakonnice, zwłaszcza młode, radzę ci po starej znajomości.

Orzechowski odszedł, wymachując laską. A ja w przeciwną stronę. Idę i przeglądam książkę. Długa jest Marszałkowska, zawsze kogoś można spotkać. Choćby i ładną zakonnice, już jest coś. Albo dziwną przygodę, jak Orzechowski tego dnia... Nagle zawróciłem.

Zacząłem biec, żeby dogonić starego. Jest. Zatrzymało go czerwone światło przy Pięknej. Patrzy na mnie bez słowa, wcale nie zdziwiony.

- Panie profesorze, to ja... - zacząłem nie bardzo mądrze.

- Widzę, że ty. Nie zmieniłeś się przez te parę minut.

- Dlaczego pan to zrobił? Dlaczego pan mu daje tę książkę?

- Nie wiem... - powiedział Orzechowski. Ale dopiero po chwili. - Tak naprawdę to nie wiem. Wystarczy? A zresztą, co cię obchodzi? Twoja sprawa?

- Nie. Ale chciałbym wiedzieć. Zrozumieć.

Stary opiera się o swoją laskę, obydwiema rękami, całym ciężarem. I patrzy na mnie.

- Ciekawe nawet... - mruczy.

Ma na twarzy nieprzyjemny, ironiczny grymas, znam to ze szkoły, bardzo często właśnie tak na nas patrzył: przyglądał się nam. Ale teraz nie jesteśmy w klasie, stoimy sobie na rogu Pięknej i już wiem, że ten ironiczny dystans to była jego obrona. Nie wpadłbym na tę myśl, gdyby właśnie teraz nie przywołał na pomoc tego samego tonu.

- Ciekawe. Więc potrafisz odróżnić „wiedzieć” od „zrozumieć”. A nie za dużo ty chcesz? Chcesz zrozumieć. Co?

Powalczymy troszkę, panie profesorze. Powalczymy - myślę. I czuję w sobie gwałtowną złość na tego człowieka albo raczej całą moją złość na wszystkich innych właśnie teraz, nagle, znalazła adresata. Kto im wszystkim dał prawo do tej ucieczki w dystans, głęboki dystans. Do tych ucieczek po każdym ciosie, który zadają?

Uśmiecham się nieoczekiwanie, bo wiem, że to zaskoczy starego.

- Przejrzałem książkę, kiedy pan odszedł. Tam jest wydrukowana dedykacja.

Wydrukowana, panie profesorze. Dwa imiona i dwa słowa, których nie rozumiem. To nie po łacinie, prawda?

- Nie. Przynajmniej to wiesz. Jednak coś wynosicie ze szkoły...

- Właśnie. Powie mi pan, co te słowa znaczą?

- Nie.

- Więc niech pan weźmie tę książkę, panie profesorze. I sam ją dziadkowi zanieś. Do szpitala na Mokotowie, chirurgia, trzecie piętro. Dlaczego mam robić rzeczy, których sensu nie rozumiem?

Zgasła cała jego ironia, jakby zdmuchnięta nagle. Teraz się obrazi - pomyślałem.

Wziął książkę, wsadził pod pachę. Ale nie odchodził.

- Dlaczego pan chciał mu dać tę książkę? Z trudem zdobył ją dopiero przed chwilą.

Książkę, która dla pana czymś jest. Panie profesorze, dlaczego? Dawno się znacie? To była przyjaźń?

- Lubisz słowa, prawda? Słowa. A ja wolę rysować. Słowa, słowa... mówił poeta. Ale poeta, nie malarz, zwróć uwagę. Czego ty chcesz?

- Pytam.

- Wiesz, właśnie tak sobie myślę - zaczął Orzechowski zupełnie zwyczajnie, jakby opowiadał, co widzi po drugiej stronie Marszałkowskiej. - Tak myślę, że czasem robimy coś, a prawdziwa przyczyna tego tkwi gdzieś tam, może miesiąc, rok albo i czterdzieści lat temu. I jak się doszukać w tym sensu dzisiaj? Albo mówimy coś, co ma źródło w innej sytuacji i dotyczy innych ludzi. Tak jak ty do mnie mówiłeś przed chwilą. I nie jesteśmy rozumiani, to jasne. Nie uważasz?

Rozumiałem go chyba.

- Bo ja myślę, że składamy się z tego wszystkiego, co było, co w jakiś tam sposób zatrzymaliśmy w sobie. Ale nie musimy umieć tego nazwać, to nawet niemożliwe. Może to tak jest? Co?

Milczałem.

- No, to idź już w swoją stronę... A książki mu nie dam. Mnie jest potrzebna, nie jemu.

- Panie profesorze... dlaczego nie mówi się o takich sprawach w szkole?

- Co?

Stary spojrział na mnie uważnie.

- Nie wiem... - powiedział. - Nie wiem, o co ci chodzi.

Wpadło to wszystko we mnie, wypełniając jakiś pusty obszar.

A jeśli nawet na ulicy można znaleźć przypadkiem coś, co wypełnia lukę albo ją tworzy, skoro ludzie nawet nie chcąc niczego powiedzieć mówią tak dużo, może w gruncie rzeczy nikt nie jest sam?

Dziadek dzwonił do domu codziennie, tuż po telewizyjnym dzienniku. Komu z nas bardziej były potrzebne te rozmowy, krótkie i denerwujące, w których zdania rwały się, zanim zdążyły przekazać jakąś myśl?

Wiedziałem, że dzwoni z automatu zawieszzonego w korytarzu między schodami, a drzwiami windy, i kiedy słyszałem jego głos, jakbym go tam widział, otoczonego postaciami w niebieskich szlafrokach, założonych na szpitalne piżamy. Każde słowo przeznaczone dla nas trafiało do tamtych ludzi niecierpliwie czekających swojej kolejki do telefonu. Co mógł nam powiedzieć, o co mógł spytać? Czulem, że dziadek denerwuje się, że wiele go te rozmowy kosztują, a przecież dzwonił codziennie.

Kiedy pierwszy raz byłem u niego w szpitalu, staliśmy właśnie obok tego automatu, a koło nas przepływała fala odwiedzających. Jakiś chory, potrącony co chwila przez ludzi, karmił automat kolejną monetą. A potem właśnie te urywane zdania, które wszyscy wokół słyszeli, i to beznadziejne usiłowanie, żeby choć przez moment, na jedno słowo być sam na sam z tamtą drugą osobą. I wreszcie słuchawka już zawieszona, a człowiek w niebieskim szlafroku stara się jak najprędzej ukryć w tłumie swoją twarz.

- Widziałeś? - powiedział dziadek. - Tak to jest. Głupie uczucie, nieprzyjemne.

- Ale jeszcze gorzej, jeśli nie ma telefonu i nie można dzwonić...

- Nie wiem. Myślałem dotąd, że najbardziej zawstydzą natrętne ludzkie spojrzenie.

Ale to jest gorsze. Bo jednak można się uścisnąć przy innych i nawet pocałować. A najprostsze ciepłe słowa nie chcą przejść przez gardło, jeśli wiesz, że zostaną podsłuchane. Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć.

- Albo takie odwiedziny w szpitalu. Trochę cyrk, trochę nieszpory. Przecież ci ludzie jakby nie mieli ze sobą o czym mówić.

- A w swoich domach mają o czym?

- Chcesz powiedzieć, że dopiero tutaj to sobie uświadamiają?

- Dziadek to powiedział, a nie ja. Co ja mogę wiedzieć? Może nie potrafią?

- Może. Więc jednak wiesz już swoje, Marek. Może masz rację: nie potrafią.

A teraz idę wzdłuż Wisłostrady. Zabrałem Norę, zmuszam psa do tych spacerów, zmuszam siebie do tych wędrówek po mieście. Słońce praży, dzień w dzień niebo bez jednej chmurki jak błękitna blacha. Żółknie na skwerach spalona trawa, akacje już przekwitły, lato.

Straszliwy upał, nawet od Wisły nie czuje się najmniejszego chłodu. Na jej praskim brzegu tysiące ludzi na plaży, ogromny tłum. Tutaj, z tej strony rzeki, jest prawie pusto, z rzadka ktoś mnie mija. On mnie czy ja jego? Teraz to nieistotne, spotykam przecież ludzi obcych, nieznanym. Co innego parę dni temu: tu gdzieś, w tym właśnie miejscu, spotkałem Zawistowskiego.

Chciałem go wyminąć i on chyba tego samego chciał. Ale to nie takie proste. Więc stanęliśmy naprzeciwko siebie jak na kowbojskim filmie.

Stoimy tak, w samo południe, na pustym wiślanym nabrzeżu i musimy ze sobą rozmawiać, choć żaden nie ma na to ochoty.

- Jak to było? - pyta Zawistowski. - Powiedz mi, co się stało Irminie? Co ona sobie zrobiła?

- To był głupi wypadek, zupełnie bezsensowny...

Nie wystarcza mu taka odpowiedź. Patrzy na mnie i czeka. A ja milczę. I myślę: jak to się stało, przyjacielu, że nie stoimy już obok siebie jak dawniej? Co nas ustawiło przeciwko sobie? Czy to „coś” tkwi bardziej w tobie, czy we mnie? A może jest poza nami? A może na tej scenie, po której poruszamy się obydwaj, akcja sztuki wcale znów nie jest tak bardzo zależna od nas, jak nam się wydaje?

Gdyby tak było, nikt nie mógłby nigdy czuć żalu do drugiego człowieka, nie mógłby do samego siebie mieć pretensji. A przecież czuje żal i ma pretensje. Tamto byłoby zbyt wygodne, a to, co jest, zbyt trudno czasem przełożyć na słowa. Więc kiedy tak stoimy przeciwko sobie, mówiąc niby o tym samym, nie rozumiemy się jednak. Na tym pustym, wiślanym nabrzeżu nie jesteśmy przecież sami. Pomiedzy nami zawsze będą ci inni, których w matematyce zdarzeń nie da się odjąć, jeśli już raz zostali dodani.

- Dlaczego urwałeś? - pyta Zawistowski. - Powiedziałeś, że to był bezsensowny wypadek. Mów dalej!

Czego ty właściwie chciałbyś się dowiedzieć? - myślę. - I po co? Martwisz się o nią?

A czym ona jest dla ciebie? To też mnie obchodzi. Ale znacznie ważniejsze, czy ty naprawdę jesteś kimś dla niej?

Mówię spokojnie:

- Inna umyła włosy. Chciała je wysuszyć. Już parę razy dziadek zwracał jej uwagę, robił awantury o ten idiotyczny zwyczaj suszenia włosów nad piecykiem. Zawsze tłumaczyła: ja przecież trzymam z daleka, nic się nie stanie. Tym razem dziadka nie było. Wiesz, że jest w szpitalu. Irmina zapaliła gaz, płomień był niewielki. Przeczesała włosy między palcami, pochyliła głowę. Nagle buchnęło... Zasłoniła twarz rękami, na szczęście. To wszystko.

- Gdzie ty wtedy byłeś?

- Stałem w drzwiach.

- Bardzo poparzona?

- Nie. Zniszczone włosy. Ostrzygli ją przy opatrunku. Będzie może miała ślady oparzenia na czole z boku. Zasłoni włosami, kiedy odrosną...

- Rozumiem...

- Co rozumiesz? - zaczynam podnosić głos. - Co ty możesz rozumieć? Straszny był ten krzyk. Nie płomień. Płomień momentalnie ugasilem, to była sekunda. Straszny był krzyk. Zatykałem jej usta ręką, tak krzyczała. Lekarz mówił, że to był szok. Jeszcze coś chcesz wiedzieć? Nie?

Odwróciłem się i zacząłem odchodzić. Ale po paru krokach przystanąłem.

- Słuchaj, coś ci jeszcze powiem. Albo nie... wystarczy. Pryskaj! Nie mam ochoty, nie mogę na ciebie patrzeć. Mam cię dość.

- Marek... - zaczął jakimś zupełnie innym tonem.

I wtedy nie wytrzymałem. Powiedziałem to, co najbardziej chciałem ukryć. Jeszcze przed chwilą, kiedy go tu spotkałem, przysięgałem sobie w duchu nigdy nie przyznać się, że o

tym wiem.

- Ty, słuchaj no... Ta historia z włosami zdarzyła się w poniedziałek po południu. Irminy nie było w domu od soboty rano. W poniedziałek wróciła z wycieczki szkolnej. Na której nie była. Rozumiesz mnie, Zawistowski? Matka nie domyśla się albo woli się nie domyślać. A ja wiem, że Irma nie pojechała na tę wycieczkę. Więc gdzie była?

Zawistowski poszarżał nagle, w jednej chwili zrobił się jakiś drewniany. Wyciągnął rękę, jakby chciał... nie wiem co, zupełnie nie wiem, po co wyciągnął dłoń.

- Marek, daję ci słowo...

- Odejdź! - powiedziałem.

Posłuchał. A potem właśnie ta akacja w glinianym wazonie, przywiedłe kwiaty. Nora patrzy na mnie, ciężko dysząc. Wywala język, pić jej się chce, nie pojmuje, dlaczego tu stanęliśmy i stoimy.

- Do domu, Nora! - mówię. - Idziemy do Irmy.

Pies cieszy się, ma już dość spaceru. Rozumiem go.

Każdego z tych wieczorów, kiedy na ekranie pojawia się prognoza na następny dzień, telewizyjny spiker wygłasza nieśmiało przypuszczenie, że może jutro będzie chłodniej albo spadnie deszcz, i minę miał taką, jakby to on ponosił winę za ten upał i suszę. Podchodziłem wtedy do okna, żeby być bliżej telefonu. Wiedziałem, że zaraz zadzwoni ze szpitala dziadek. Aż któregoś wieczoru telefon nie odezwał się i czekanie przedłużało się tak bardzo, że z telewizora słychać już było szybki dialog od dawna wyświetlanego filmu.

- Marek, denerwujesz się, prawda? - powiedziała nagle Irmina i skoro już to nazwała, zrozumiałem, że tak właśnie jest.

Stałem w oknie, patrząc na mój kasztan rosnący przed domem tak blisko, że wyciągając rękę dotykałem prawie gałęzi pełnych niewielkich, zielonych kasztanków, śmiesznie małych, jakby jeszcze nieprawdziwych. Parno było, nawet najmniejszego podmuchu. Zakurzone liście powoli gubiły w mroku swój kolor, ciemniały w oczach, odsuwały się w wieczór, choć ciągle bliskie na odległość wyciągniętej dłoni.

## 5. Pora kasztanów

21.

Teraz w Warszawie już jesień.

Idę przez park, w którym minęło nam lato, jakiego już nie będzie. Liście pod nogami i liście pływają po wodzie. Przez gałęzie przebija słońce tak zwyczajnie, jak na złych obrazach albo bardzo dobrych fotografiach. Żwirowe alejki i alejki asfaltowe. Gołębie i wróble. Wciąż jeszcze sporo zieleni i białe łabędzie w stojącej wodzie królewskich stawów. I wszystkie tamte godziny zamknięte jak w klatce, przez którą idę, słysząc swoje kroki.

Graliśmy nasze role dzień po dniu, coraz lepiej wiedząc, że tylko my możemy je zagrać i nikt tego za nas nie zrobi. Ale nie od razu było to takie oczywiste, jak wydaje się teraz, kiedy w łaźienkowskim parku pękają już kolczaste, zielone kule dojrzewających kasztanów, a ja idę przez ten park, szukając Irminy.

Co się dzieje w drugim człowieku, kiedy patrzy na ciebie, i ty patrzysz mu w oczy, i nie ma między wami słów? Co się dzieje na tamtym brzegu, na który twoje spojrzenie nigdy nie zdoła cię przenieść?

- Irma...

Wiatr uderza w szyby, jakby chciał je wgnieść. Zacina deszczem, stuka w okno zerwanym kablem telewizyjnej anteny. Prawie ciemno, burza. Ale zanim zwała się ta burza na miasto i na nas zaskakująco gwałtownie i nagle, choć wszyscy na nią czekali, najpierw był ten poprzedni wieczór, kiedy telefon nie odzywał się długo, a Irmina pytała, czy denerwuję się, i pomyślałem, że ona może chce, żebym zaprzeczył, sama siebie chce uspokoić. Co się

dzieje w drugim człowieku, kiedy patrzy na ciebie... nie umiałem skłamać.

- Tak. Irma...

- Przestań wyczekiwać, co ci to da? Mama dzisiaj znowu nie przyjdzie, ma jakieś zastępstwo, nocny dyżur. A dziadek pewno położył się wcześniej spać i dlatego nie dzwoni.

- Nie wierzę.

- W co?

- Ani w jedno, ani w drugie.

Chwila ciszy przedłuża się i teraz Irmina patrzy na mnie inaczej niż przed tą chwilą, patrzy inaczej niż przez te wszystkie dni.

- Ja też nie wierzę! - mówi. - Ale co na to poradzimy?

Udajemy więc obydwójce, że oglądamy film, długo udajemy, biegną minuty... i nagle telefon. Drgnąłem. Już drugi dzwonek i trzeci. Dlaczego żadne z nas nie podnosi słuchawki? Wreszcie ja to robię. Jakiś obcy głos pyta o Irmę.

- Jest w domu. Chwileczkę, zaraz poproszę...

Odkładam słuchawkę i mówię prawie szeptem:

- Sokołowska. Znasz taką?

- Kto? - Irmina otwiera szeroko oczy. Zdumiona czy przestraszona. Ale niby czego miałyby się bać? Pyta: - Młody głos czy stary?

- Chyba młoda... dziewczyna jakaś. Nie chcesz rozmawiać? To powiem, że się kąpiesz. No?

- A co to da? - mówi Irmina i podchodzi do telefonu.

Przysłuchuję się uważnie, ale niewiele z tej rozmowy można się dowiedzieć.

- To ty... Nie wyjechałaś na wakacje? No, tak. Słuchaj, ja nie mogę wyjść. Nie. Jutro też nie będę mogła, chora jestem. Przyjdź ty do mnie. Choćby zaraz. Możesz? Tak... sama. Na pewno będę sama! To brat, ale on właśnie wychodzi...

Słucham zdumiony. Nigdzie przecież nie mam zamiaru wychodzić. Chcę się odezwać, ale Inna macha ręką, żebym nie przeszkadzał. Podaje adres, zaczyna tłumaczyć, jak się do nas idzie, koniec rozmowy.

- Kto to był? Dlaczego ja mam wyjść z domu?

- Dziewczyna z mojej klasy. Zjesz coś szybko, zaraz ci dam, i wyjdiesz na godzinę, dwie.

- Ale dlaczego?

Irmina już jest w kuchni. Stamtąd mi odpowiada:

- Zrób to dla mnie. Powiedziałam jej, że będę sama. Możesz sobie iść do Czeremchy!

- Dziękuję za pozwolenie. Po co tam pójdziesz? Teraz, o dziewiątej? A zresztą pokłóciłem się z Kaśką...

- O co?

- O ciebie! - odpowiadam. - A właściwie nie wiem o co. Zresztą Katarzyna pewno już wyjechała z Warszawy. Nigdzie nie wychodzę! Mogę przejść do pokoju dziadka.

- Chodź tu coś zjeść. I zaraz sobie pójdziesz, Marek. Zabierz psa, niech się przeleci.

Słyszysz?

Zły jestem. Już wiem, że jednak wyjdę z domu. Przejdę się skarpą do Nowego Świata, obejrzę wystawy, jeszcze tam dzisiaj nie byłem... Ale właściwie dlaczego mam to wszystko robić?

- Po prostu dlatego, że ja cię proszę! - mówi Irmina i uśmiecha się do mnie.

Niewesoły ten uśmiech. Szybko kończę herbatę, wołam Norę i już bez słowa wychodzę. Tuż za drzwiami, ledwo je zatrzaskałem, usłyszałem dzwonek. To u nas, znowu telefon. Wróciłem. Pies został na schodach.

- Kto to? - pytam.

- Dziadku! Okazuje się, że Marek jeszcze nie wyszedł. Zaraz mu oddaję...

I do mnie:

- Masz. No widzisz, doczekałeś się jednak tego telefonu.

- Dlaczego tak późno? Co się stało? - zaczynam podnosić głos. - Niech dziadek nie pyta, co u mnie. Ważne, co u dziadka!

- Nie krzycz, dobrze słyszę - mówi dziadek. - Irma powiada, że właśnie wychodzisz z psem. Zrób długi spacer, niech się dotleni, co dzień te straszne upały. No, leć już. A jutro przyjdź do mnie, przed południem, dobrze? I teraz daj mi Irminę... Chwileczkę! Mama jest? Nie odpowiadam na to pytanie, bo nie wiem, co powiedzieć. Podaję słuchawkę Irmie.

- Dziadek pyta o mamę. Rozumiesz coś z tego wszystkiego? Odpowiedz mu jakoś i dajcie mi święty spokój. Wychodzę! Tam znowu pies szczeka i drapie w drzwi...

Z przedpokoju słyszę spokojny głos Irminy:

- Mama jest dzisiaj na nocnym dyżurze. Musiała dziadkowi mówić... Nie? Może jest na innym oddziale. A my tu zdrowi i cali. Marek zdenerwowany, bo pokłócił się z Kaśką... Trzasnąłem drzwiami z całej siły.

Czemu ty szczekasz, ofiarno losu - myślę ze złością. Czego się bałaś? Dozorcy o tej porze nie spotkasz, bo pewno zalany jak zwykle. Poczekaj, zapalę światło...

Nora wyskakuje do góry, cieszy się nie wiadomo z czego. Ty jesteś głupi pies - myślę sobie - ale ja jestem jeszcze głupszy od ciebie. I pewno dobrze wiesz o tym, tak jak chyba wszyscy...

- Nora! Wiesz czy nie wiesz? - pytam głośno psa.

Nora wciąż szczeka. I nagle słyszę za sobą:

- Przepraszam. Chciałam przejść...

- To ty?

Stoimy naprzeciw siebie. Nie jest tym spotkaniem zaskoczona. To tylko chwila i nie potrafię znaleźć ani jednego słowa, które byłoby tutaj odpowiednie.

Poprawia okulary, nie patrzy na mnie. Odsuwam się pod ścianę.

- Proszę.

Wchodzi na piętro, rozgląda się i dzwoni do naszych drzwi. Raz, drugi. Co ja tu jeszcze robię. Zaraz przecież Irmina otworzy jej. I wtedy słyszę:

- Ewa.

- Po co mi to mówisz?

- Pytałeś kiedyś.

Zbiegam po schodach. Co mnie to wszystko obchodzi? Oni wszyscy i to, czego nie wiem o nich, czego nie rozumiem.

A następnego dnia dziadek uśmiecha się do mnie, ale nie podnosi głowy. Leży nieruchomo. Podchodzę szybko do łóżka. Po raz pierwszy odwiedzam go na sali.

- Co to jest? - pytam. - Co oni ci robią? To jakiś zastrzyk?

- Kroplówka... Spływa to wszystko do żyły godzinami, okropnie nudne... - mówi dziadek. - Wzmacniają mnie. Siadaj. Co słyszeć?

- Nic - powiadam. - Zupełnie nic. Aha! Był może u dziadka profesor Orzechowski?

- Nie. Antek Orzechowski? - dziwi się dziadek. - A co, chciał tu przyjść? Skąd wiesz?

- Spotkałem go przypadkiem na Marszałkowskiej. Nie wiem, czy chciał. Pytam tylko.

- No, tak... - mówi dziadek po chwili. - Wzmacniają mnie, wiesz? Tymi kroplówkami.

Przed zabiegiem. Siadaj na łóżku... niby nie wolno, ale nie ma stołków.

Życzył sobie tej rozmowy, chciał, żebym się dostał do szpitala przed południem, kiedy nie ma odwiedzających, a jego sąsiedzi z sali zabierani są na badania i opatrunki. Chciał mi coś powiedzieć czy raczej liczył, że ode mnie dowie się czegoś?

- Przygotowują dziadka... więc jednak operacja. Dlaczego tak nagle?

- Oni tu nie lubią tego słowa. Mówią: zabieg. Nie wiem, Marek, czym to się skończy.

To znaczy... raczej wiem. Ale ja już zgodziłem się na tę operację, chyba dobrze zrobiłem, co?



Milczałem.

- Tylko widzisz, jest taka sprawa... ja mówiłem Irminie, że idę do szpitala tylko na badania. Obiecałem, że wrócę do domu. Rozumiesz? Więc właśnie chciałem cię prosić: nie jej nie mów. Niech ona nie wie o tej operacji.

Milczałem.

- Inka się gryzie różnymi innymi sprawami. Ciężko jej i bez tego. Wasza matka też ma swoje zmartwienia... Zła pora, wiem, że to bardzo zła pora. Dobrze jednak zrobiłeś, że nie wyjechałeś z Warszawy. Ale ci nie zazdroszczę tego wszystkiego...

- To nie mnie operują, dziadku.

- Tak. Ale ty tu zostaniesz.

- Ty też!

Uśmiechnął się prawie wesoło. Zawsze potrafił się uśmiechać dokładnie wtedy, kiedy to było innym potrzebne.

- Oczywiście, oczywiście... - powiedział lekko, zwyczajnie, jakbyśmy rozmawiali sobie o pogodzie. - No, więc umowa stoi? Nie powiesz nic Irminie? Ani słowa. Tak długo, jak będzie można.

Duszno w tej sali, nie ma czym oddychać. Więc wyjdę stąd za chwilę... Jutro będą go operowali. A ja nie powiem nic Irminie. Przynęknę mu to i będzie spokojniejszy. Nie zdaje sobie sprawy, że ona wiedziała o tej operacji, zanim poszedł do szpitala. Mnie nie powiedziała ani słowa. Żebym mógł spokojnie wyjechać na obóz?

A może nie pomyślała o tym, że mogę już dziadka nie zobaczyć? Jeśli wyjadę. Albo też czuła, że zrezygnuję z wyjazdu na wiadomość o operacji. Więc co? Szkoda jej było tego zagranicznego obozu? To nie ma sensu, Irmina jest na to zbyt mądra. A może sądziła, że bardzo mi zależy na tym wyjeździe, tak bardzo, że mimo wszystko wyjadę? I potem będę sobie robił wyrzuty. Chciała mnie przed nimi osłonić. Chciała mnie osłonić przed samym sobą?

Nie miała do tego prawa, nie wolno jej było w ten sposób decydować za mnie. Ale nie zapytam Irminy, jak było naprawdę. Od Zawistowskiego też nie chcę wiedzieć, dlaczego przyszedł wtedy na dworzec. Nie wyjechałem, zostałem tu, w mieście, na swój własny rachunek. Sam tak zdecydowałem. Okropnie duszno w tej sali...

Drzwi otwierają się gwałtownie, pielęgniarki wtoczyły wózek z pacjentem. Wszedł lekarz, pomógł im przenieść chorego na łóżko. Potem spojrzął na dziadka, na mnie.

- Nielegalne odwiedziny? Rzecz jasna, niczego nie widzę - powiedział głośno. A do pielęgniarek: - Niech któraś z was odłączy tę kroplówkę, wystarczy na dziś, nie męczcie już pana.

Wszedł. Potem pielęgniarki. Dziadek wyraźnie odetchnął, usiadł na łóżku i zaczął masować rękę.

- Zupełnie mi ścierpła od tego... Wczoraj wieczorem po raz pierwszy podłączyli mi to świństwo. Musiałem zostać w łóżku, dlatego nie mogłem zadzwonić do ciebie w tym czasie co zwykle. Irma mówiła, że denerwowałeś się, a ja właśnie nie chciałem, żebyście się martwili...

- Dziadku - przerwałem mu - kto to był?

- Niby kto?

- Ten lekarz.

- Doktor Sokołowski, chirurg. Dlaczego pytasz? - I dziadek spojrzął na mnie uważnie. Sokołowski, Sokołowski... - powtórzyłem sobie w myśli. To był ten lekarz, który robił Irminie opatrunek po wypadku. Mama przyjechała z nim sanitarką, na sygnale, w kilkanaście minut po moim telefonie do szpitala. Więc on tak się nazywa.

- No i co? - dopytywał dziadek. - O czym ty myślisz?

Skąd ten dziadka niepokój, o czym ja teraz myślę? Niepotrzebny, zbyt wczesny...

Przecież nie wiem, co ma wspólnego ten lekarz z dziewczyną, która wieczorem przyszła do Irmy. Przecież nie zgadnę, po co przyszła. Odkrywają się jakieś karty, ale nie przeceniaj mnie, dziadku. Ja naprawdę nic nie wiem.

- Prosiłeś, żebym nie mówił Irminie o twojej operacji. Mówisz, że Irma gryzie się różnymi sprawami, tak? A czym ona się gryzie?

Dziadek robił wrażenie zmęczonego. Dopiero teraz, nagle to dostrzegłem. Poprawił sobie koc i długo wygładzał go dokładnie, jakby to właśnie było w tej chwili najważniejsze. Wiedziałem już, że niewiele usłyszę.

- Są tam takie różne sprawy... Wiesz, takie, co to ani w jedną, ani w drugą. Z której strony spojrzysz, to niby jest racja i zarazem jest źle...

Nie wiem, jak długo mówił do mnie. Ale wszystko to były tylko słowa, bardzo niewiele widziałem za nimi. Zbliżało się południe, było parno nie do zniesienia, zbierało się chyba na burzę. Sala wypełniła się już, nie byliśmy sami, chorzy wrócili do swoich łóżek, coraz to zaglądała jakaś pielęgniarka.

Siedziałem przytępiały, nie spostrzegłem nawet, kiedy przestał mówić.

- Dziadku... - spytałem nagle - co ty o niej wiesz? Co ty naprawdę o niej wiesz?

- O kim? O waszej mamie?

Zaskoczył mnie. Czy ja jego bardziej? Nie rozumiał, o co mi chodzi. Czekał.

- O naszej Irmie.

Uśmiechnął się do mnie.

- Dużo wiem. A przede wszystkim to, że jest nasza. Tak przecież powiedziałaś, prawda? I dobrze, że właśnie tak powiedziałaś.

- To niewiele znaczy, dziadku.

- Nie, to jest już bardzo wiele. O czym ty myślisz, Marek?

22.

Nagle na oddziale robi się ruch: szybkie kroki na korytarzu, trzaśnięcie drzwiami, podniesione głosy. Spojrzałem na dziadka. Chorzy na sali unieśli głowy.

- Co to takiego? - pyta ktoś.

- Chyba obiad.

- Nie. Na obiad za wcześnie.

- No, to co?

- A bo ja wiem? Wyjdź pan i zobacz.

- A co mnie to obchodzi? Niech pan sam wyjrzy.

- Przecież ja nie wstaję.

- No, to leż pan spokojnie. Samo się wyjaśni.

- Może kto wykorkował?

- W południe?

- A co to, w południe nie można?

- Można. Ale nie wypada. Tak się nie robi.

Ktoś roześmiał się nieprzyjemnie głośno.

- Będziesz już chyba musiał iść - powiedział szybko dziadek. - Pewno to jakiś obchód, nie powinni cię tu zastać. Marek...

Urwał. I poczułem, że bardzo chciałby mnie tu zatrzymać, ale nie wie jak. Poruszał ustami, jakby przesiewał bezgłośnie słowa, z których chce wybrać tylko kilka, niewiele, ale takich słów, co powiedziałyby teraz wszystko. Wstałem.

Otworzyły się drzwi, weszła pielęgniarka, potem druga. Za nimi zobaczyłem mamę, patrzyła na nas. Schyliłem się do dziadka:

- Nie denerwuj się, ja tu wrócę...

- Proszę poprawić łóżka - mówiła głośno mama do pielęgniarek. - I okna można

szerzej otworzyć. Przynieście kwiaty z separatki, jeden wazonik. I postawcie tu gdzieś...

- Mogą cię już nie wpuścić... - szepnął dziadek.

- Dam sobie radę. Nie martw się, na pewno przyjdę.

- Zabieracie kwiaty temu z separatki? - spytał chory spod okna. - To znaczy, że już mu niepotrzebne. A jeszcze wczoraj z nim rozmawiałem...

- Poszedł do domu. Wypisał się dziś rano - odpowiedziała mama. - Nie wierzy mi pan? To po co pan pyta?

- Więc jak, nie żegnamy się? - I dziadek wyciągnął rękę.

Podał mi swoją i uściśnąłem mocno dłoń.

- Nie. Nie żegnamy się, dziadku.

Mama wyszła za mną na korytarz.

- Nie wiedziałam, że tu jesteś. Wpuścili cię bez mojej pomocy?

- Jak widzisz. Mam swoje chody.

- Po co przyjechałeś? Co w domu?

- Nic. A co u ciebie?

Spojrzała zdumiona.

- O co ci idzie?

- O nic. Przyjechałem, bo dziadek dzwonił. Nie widziałem cię prawie dwa dni, więc pytam, co u ciebie? Ten pacjent z separatki to... kiedy?

- W nocy, nad ranem. Co cię to obchodzi?

- Nic. Wołają cię...

- Słyszę. Idź do pokoju pielęgniarek i zaczekaj. Trafisz tam?

- Mamo - powiedziałem. - Mamo, on już chciał się ze mną pożegnać...

W otwartych drzwiach windy stał doktor Sokołowski i powtarzał:

- Pani Danko, proszę prędkiej! Ordynator wzywa.

- Już idę, panie doktorze! - rzuciła szybko mama. A do mnie: - Pożegnać?

- Tak. Pożegnać. Idź już! - odwróciłem się i odszedłem korytarzem.

I wtedy, właśnie wtedy ta moja dziwna myśl, która nie dawała się dotychczas ująć w słowa i wymykała się długo nieuchwytna, nabrała nagle kształtu: jakbym zobaczył ją przychodzącą do mnie z zewnątrz. Albo jakbym to ja wchodził w jakąś nową przestrzeń, niepewnie wchodził w coś nieznanego, co zaczyna się właśnie teraz, w tym momencie dla mnie się zaczyna, choć trwa od dawna.

My tu wszyscy prowadzimy jakąś grę. Wszyscy. Toczy się gra, o co? Każdy coś wie, każdy wie co innego. I zawsze już będziemy tak szli osobno, w inną stronę, przeciwko sobie? Dlaczego?

Minąłem pokój pielęgniarek i zapukałem do ostatnich drzwi za zakrętem, przy samych schodach. Nacisnąłem klamkę.

- To ja. Musi pan mnie przechować, panie Józefie. Jak dawniej.

- Wejdz. Przekręć klucz i wyjmij go. Nikt nas tu nie znajdzie. Siadaj.

- Tylko parę minut i wrócę do dziadka.

- Robią obchód ze studentami, to potrwa dobre pół godziny. Albo i dłużej. Siedz, ile chcesz.

- Pan tam nie musi iść?

- Przecież wiesz, kim tu jestem. Pielęgniarem. Od wnoszenia i wynoszenia... Co ci jest? Powiedz.

- Nie... nic.

- Nic?

Usiadłem na koszu pełnym świeżych, wyprasowanych prześcieradeł. Było tu jeszcze duszniej niż na sali. Józef zasłaniał sobą jedyne okno tego magazynku, ogromny, zwalisty chłop w białym fartuchu; siedział na parapecie okna i jadł chleb. Widziałem go nad sobą i w

tej wąskiej, ciemnej klitce wydał mi się jeszcze wyższy i potężniejszy niż zawsze. I poczułem się przez chwilę, jak dawniej, małym chłopcem, którego Józef ukrywał w tym magazynku przed lekarzami, kiedy mama, nie mając co ze mną zrobić, zabierała mnie czasem do szpitala.

- Coś ci jest. Widzę przecież - powiedział. - Boisz się czegoś, prawda?

- Tak.

- Nie wolno.

Milczeliśmy obaj. Józef zszedł z parapetu i usiadł obok mnie. Przez okno widziałem teraz wierzchołki wysokich topoli rosnących koło szpitala. Poruszały się rytmicznie, nie wiadomo skąd po tyłu dniach upału przychodził wiatr. Na niebie zaczęły pojawiać się drobne, pojedyncze chmury, zmieniały powoli kolor. Zbijając się ze sobą, rosły, spiętrzały się i ciemniały.

Więc wyjdę stąd za chwilę, wrócę do dziadka. I co mu powiem? A potem zostawię go tutaj samego, wyjdę sobie jakby nigdy nic z tego szpitala... i co? I co dalej?

- Marek, rozmawiałeś z dziadkiem? Mówił ci?

- Co?

- No, wiesz...

Nie rozumiem, o co Józefowi chodzi. A on nie chce albo nie bardzo umie to powiedzieć.

- O tym, że jutro mają go operować? - pytam. - I że już się na to zgodził?

- Zgodził? A więc tak: zgodził... - powtarza Józef. - Tak ci mówił?

I znowu jakaś zasłona, znowu ktoś nie mówi prawdy. Ciągłe to samo - myślę szybko, bardzo szybko, jakby lampki jakieś zapalały się w szeregu i gasły, i znowu ciemno, i wciąż te zasłony, które spadają, żeby inne mogły się zaciągnąć. Jak je zerwać?

- Tak mi powiedział.

- No, widzisz... A to przecież nie było tak, Marek. To przecież oni wszyscy z trudem się zgodzili. Ja to wiem, bo słyszałem różne rozmowy... no, tak.

- Jacy oni?

- Lekarze. I twoja matka. Ordynator też.

- Zgodzili się na tę operację, tak? Niech pan powie: więc to jemu zależało, tak bardzo naciskał? Chciał tej operacji, sam jej chciał? Dlaczego?

- Nie wiem, chłopie... Co to można wiedzieć? - Józef wzrusza ramionami i przekręca się powoli w moją stronę, aż trzeszczy kosz, na którym siedzimy.

- Co pan tak patrzy?

Cisza.

- Co pan tak patrzy na mnie?

- Nie krzycz. Usłyszają...

- To ciężka operacja?

- Ciężka.

- No, więc dlaczego? Panie Józefie, dlaczego dziadek tak się pcha pod ten nóż?

Dlaczego tak mu zależy?

- Ta choroba przecież sama nie przejdzie...

- Operacja daje jakąś szansę?

Józef powoli wstaje.

- Wyjrzę na oddział - mówi. - Może już po obchodzie?

- Pytałem pana: dlaczego dziadek chce tej operacji? Słyszysz pan? Dlaczego?

- Czasami ludziom tak bardzo zależy na tym, żeby żyć. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

A czasami znów...

- Co?

- Wyjrzę na oddział. Siedź tutaj, zawołam...

Chwytam go za rękę. Za tę jego wielką, silną dłoń. Stoi nade mną, potężny, zwały i

bezradny. Zupełnie bezradny.

- A czasami znów co? Coś pan chciał powiedzieć.

- Nie... nic.

Wyszedł. Okropnie duszno, nie ma czym oddychać. Topole przed szpitalem chwieją się teraz jak wahadła, odchylają głęboko w jedną i drugą stronę. Może zrobi się chłodniej, za oknem już spory wiatr... Wyjść stąd jak najszybciej - myślę. I uciec. Bo co ja mogę innego zrobić? Uciec od nich wszystkich... dokąd? Co powiem Irminie?

Więc siedzę. Siedzę sam i myślę o sobie. To bardzo dziwne, że kiedy myśli się o samym sobie, nie widać w tych myślach własnej twarzy, ciągle cudze. Więc nawet w myślach człowiek nie jest nigdy sam? Wciąż twarze, otaczają mnie, są. Więc tak wiele zostaje w nas i nie można się od tego oderwać, co już raz było, wydarzyło się, zostało powiedziane?

Siedzę sam wśród twarzy ludzi bliskich i obcych. Nie mogę im wszystkim darować tego, że nie wiem, jacy są. Co czują? Co myślą? Tego, że wiedzą o sobie samych coś, czego ja nie wiem i nigdy się nie dowiem. O to mi chodzi? Co tu zależy ode mnie?

Czas iść. Na korytarzu już spokój. Normalne życie, mijają mnie postacie w szpitalnych piżamach, snują się powoli tam i z powrotem. Co tu zależy ode mnie - myślę - od każdego z nas?

- Zniknąłeś mi gdzieś - mówi mama. - A tu wiecznie urwanie głowy na tym oddziale.

Już nie mam sił. Rozmawiałeś z dziadkiem i wiesz, że to jutro, tak? On nie chce, żeby o tym mówić Irminie. Więc nie mów. Pożegnał się z tobą? Tak powiedziałeś... pożegnał?

- Ta jutrzejsza operacja daje jakąś szansę?

- Nie wiem...

- Powiedz prawdę.

- Prawdę? Żaden lekarz nie powie, że nie daje. Trzeba wierzyć w szansę. Co można innego zrobić?

- Rozumiem. Mamo...

- Co?

Otworzyły się drzwi. Do pokoju pielęgniarek, w którym rozmawialiśmy, zajrzał doktor Sokołowski. Zawahał się jakby.

- Wejdz - powiedziała do niego mama. - Przecież już się znacie.

- Chciałem tylko zapytać, czy schodzisz na obiad?

- Tak. Zaraz pójdę... zaczekaj na mnie chwilę.

Znowu jesteśmy sami.

- Coś jeszcze zacząłeś mówić, Marek... Nie?

Patrzę na mamę i czuję, jak rośnie między nami coś, czego jeszcze nie potrafię nazwać. Coś bardzo złego. W jednej chwili urosło i już stoimy po różnych stronach tego muru. Wiem, że czujemy to teraz obydwójce.

- Marek...

- No, idź już. Obiad ci wystygnie. Smacznego.

- Chciałem mi przecież coś powiedzieć...

- Tak. Chciałem. Ale teraz to już nie ma takiego znaczenia. Chciałem powiedzieć coś ważnego. Ja jestem winien, że Irma miała ten wypadek. Ja.

- Nie mów głupstw, Marek... Co ci przyszło do głowy? Przecież...

- Słuchaj... - przerywam - i jeszcze coś. Coś ważniejszego. Ty chyba nie wiedziałaś.

Mogłaś nie wiedzieć. Ewa Sokołowska chodziła z naszą Irminą do jednej klasy. A to jego córka, tak? One znają się bardzo dobrze. Wiedziałaś?

Bardzo długa cisza. Nie mam odwagi spojrzeć na mamę. Taka długa cisza, jakby to słowo już nigdy nie miało paść. - Nie.

Rozsypuje się mur. Wierzę jej.

- Nie wiedziałam...

- Więc teraz wiesz. Stało się, już na to nic nie poradzimy. Nie mówmy o tym nigdy, mamu...

Wróciłem do dziadka. Siedziałem długo na brzegu łóżka, pochylony nad nim, żeby nikt nas nie słyszał. Pielęgniarki nie miały odwagi wyrzucić mnie z sali, chorzy przyzwyczaili się i nie zwracali na nas uwagi. A ja mówiłem mu wszystko to, czego dotychczas nie potrafiłbym pewno ubrać w słowa, mówiłem dużo słów uśmiechniętych, pełnych dawnych naszych spraw, kiedy jeszcze Irma i ja, i on, i mama, kiedy jeszcze wszyscy byliśmy razem, ze sobą.

A kiedy mi już zabrakło tych słów i coś ścisnęło mnie za gardło, i czułem, że już naprawdę nie mam w tej sali czym oddychać, wstałem nagle, gwałtownie. Tak nagle, że otworzyłem szeroko oczy.

- Dziadku... powiedz, jak to jest? Czy ty niczego nas nie nauczyłeś?

- Marek...

Wyszedłem z sali. Długi, bardzo długi korytarz. Schody. Dużo, bardzo dużo schodów. Dokąd ja idę?

Wiatr uderza w szyby, zacina deszczem, burza. Co się dzieje na tamtym brzegu, na który moje spojrzenie nigdy nie zdoła mnie przenieść?

Irmina mówi:

- Żal mi jej. Naszej mamy. I tamtego człowieka też mi żal. I tej małej Sokołowskiej. I jej matki. Wszystkich mi ich żal. Tak. I równocześnie, gdybym tylko mogła, rozerwałabym ich na kawałki. Wszystkich. Za to, że mi ich żal. Za to, że się znaleźli w sytuacji bez wyjścia. Za to, że są nieszczęśliwi...

Powoli podchodzi do okna. Siada na nim. Odruchowo chce poprawić włosy, których nie ma. Więc dłoń zawisa bezradnie w jakimś geście nieokreślonym, za jej plecami szyby ociekają deszczem. Irma podnosi głowę.

- Ale dlaczego mam ich żałować? Ja im nic nie zrobiłam. Sami sobie winni albo nikt nie winien, wszystko jedno, jak to jest. Dlaczego mnie to musi obchodzić? Powiedz, dlaczego?

- Nie wiem. A jednak żal ci ich... Nie jesteśmy na pustyni.

- Jesteśmy. Kiedy komuś dobrze, ma to tylko dla siebie. A dopiero jak mu źle, obdziela tym innych, tak? Bierzcie, bo mi się nie udało. Dzielmy się tym, co złe. Nieszczęścia starczy dla wszystkich, prawda?

- Co chcesz, żebym ci odpowiedział?

- Nic nie mów.

A po chwili:

- Co ty mi możesz powiedzieć? Co?

Ale nagle przestaje mi się wydawać, że tak wiele mam jej do powiedzenia. Zaczynam rozumieć, że jestem zupełnie bezradny wobec tego, co ona wie i czuje. Mogę jedynie pytać i dobrze, jeśli otrzymam odpowiedź. Więc pytam, żeby nie zostać w pojedynkę na własnym brzegu.

- Irmina, mówisz o wszystkich, tylko nie o dziadku. Nie mówimy o tym, co najważniejsze...

- Bo tu już nie trzeba nic mówić. To jest takie jasne i proste, że można oszaleć.

- Co zrobimy?

- Weźmiemy to na siebie...

- Jak?

- Będziemy się uśmiechać do końca. Nie miałeś prawa powiedzieć dziadkowi, że niczego nas nie nauczył. Źle, że mu tak powiedziałaś... Weźmiemy to na siebie. Nie rozumiesz mnie? Nie potrafię ci tego wytłumaczyć tak od razu.

- Ciężko będzie.

- Tak.

- Ty nawet nie wiesz, Irma, jak bardzo ciężko.

- A ty wiesz? Też nie. Ale przecież tak trzeba.

Była silniejsza niż ja i wzięła wtedy na nas obydwójce to wszystko, przed czym ja zacząłem uciekać.

23.

Kiedy zbiegłem do szpitalnego hallu i stamtąd zadzwoniłem do Irminy, moja panika udzieliła się jej tylko na moment.

- Nie! - krzyknęła w słuchawkę. - Słyszysz? Nie!

Próbowałem tłumaczyć, sobie i jej:

- Jeśli uznano, że operacja jest konieczna? Może to jednak jakaś szansa? Na pewno tak jest...

- Kłamiesz! Nie mówisz mi wszystkiego.

- Irma, dziadek sam tego chce. Więc co możemy zrobić? Może trzeba się z tym wszystkim pogodzić?

- Z niczym złym nie będę się już godziła. Dość tego oszukiwania się i udawania, że czarne jest białe. Musimy go zatrzymać, nie wolno mu tego zrobić... szybko przyjeżdżaj! W domu zastałem Zawistowskiego. Był tutaj wcześniej czy może właśnie wszedł przypadkiem? Przyjechałem taksówką, za którą nie miałem czym zapłacić. Wpadłem więc do mieszkania, wyjąłem z szuflady kilkanaście złotych i zamierzałem zbiec na dół.

- Zaczekaj... - powiedziała Irma. - To dobrze, że masz taksówkę. Zaraz zaczniesz lać, wiatr się zerwał... Weź więcej, wyjmij setkę. I daj mu!

Spojrzałem zdumiony na Zawistowskiego.

- No, daj mu pieniądze! - powtórzyła Irmina. - On wróci tą taksówką do szpitala. Musi się koniecznie zobaczyć z dziadkiem.

- Zostaw teraz dziadka w spokoju. Nie są mu potrzebni goście. Zwłaszcza tacy...

- Co chciałeś powiedzieć? - spytał Zawistowski.

- Nic. Dzisiaj nie ma odwiedzin, nikogo nie wpuszczają.

- Ciebie wpuścili, to i on da sobie jakoś radę.

- Być może. Taki cwaniak jak Zawistowski! Kominem wejdzie i nawet się nie pobrudzi. Plamy zostaną na innych... - urwał nagle, choć przecież wiedziałem, jak chcę skończyć to zdanie.

- Mów dalej. Choćby wszystko, co masz do niego - powiedziała Irma. - Tylko szybko, bo zaraz taksówkarz zacznie cię szukać po całym domu. Albo daj już spokój. Ty musisz zrozumieć, Marek, że już na to nie pora. Nie jesteśmy tacy sami jak jeszcze niedawno. Ani on, ani ja...

- Ani ty!

To powiedział Zawistowski patrząc na mnie zupełnie spokojnie, zwyczajnie.

- Po co go wciągasz w nasze sprawy? - krzyknąłem na Irnę. - Co go to wszystko obchodzi? Nie jego interes. Jeśli trzeba, to ja jeszcze raz pojedę do szpitala. Tylko powiedz mi: po co?

- Ty tego nie załatwisz, bo nie jesteś w stanie. Trzeba z dziadkiem jeszcze raz porozmawiać. Powinam jechać sama. Ale nie mogę. Więc on pojedzie w moim imieniu. Myślę, że już wie, że mnie zrozumiał, co ma powiedzieć dziadkowi.

Zawistowski wstał bez słowa, widocznie ustalili to wcześniej. Wziął ode mnie sto złotych i schował do kieszeni. Ale w drzwiach zawrócił.

- Inka, a jeśli ty źle robisz?

Mówi do niej: Inka. Tak jak dziadek - pomyślałem. Po co ona go tam wysyła? Co postanowiła? Irmina nie odpowiada. Może dlatego, że ja słucham?

Wyszedłem do pokoju dziadka. Coraz bardziej ściemniało się i poddmuchy wiatru uderzały coraz mocniej o szyby. A więc wreszcie burza, po tylu dniach upałów. Usiadłem na tapczanie i zapaliłem lampkę. Trzask drzwi, to Zawistowski wybiegł. Gdzieś znad Wisły wyskoczyła błyskawica, potem druga i trzecia.

Jednostajny szum deszczu. Opuszczam rękę, żeby pogłaskać Norę, pies ułożył się obok tapczanu i oparł pysk na wyciągniętych łapach. Wchodzi Irmina.

I wtedy zaskakuje mnie myśl: to już było. Może niezupełnie tak, ale ja to znam. Wiem jakby nawet, co teraz nastąpi. Była już kiedyś taka sama chwila, a może podobna, a może tylko miała być. Ale już to gdzieś było. Może we mnie?

- Marek, musimy sobie teraz pomóc. Trzeba coś zrobić, bo tak dalej już nie można.

Wszystko się rozlatuje.

- Widzę. Może późno dostrzegłem, ale już widzę. Dlaczego wcześniej nic nie mówiłaś? Jakby mnie tu nie było. Zajęłaś się swoimi sprawami...

- To nie tak, Marek. Nie tak.

- Dawniej wiedzieliśmy o sobie wszystko. Byliśmy jak bliźniaki...

- To prawda.

- Więc dlaczego teraz nie?

- Dawniej... To dobrze, że pamiętasz. Ja też. Ale dawniej byliśmy dziećmi. Zrozum to.

Musisz to wreszcie zrozumieć, bo niczego nie pojmiesz. Już nie może być tak, jak dawniej...

- No, więc co? Jak ma być?

- Marek, ja chcę mieć starszego brata.

- Masz go!

I zanim zdążyłem powstrzymać te moje słowa, i zostały wypowiedziane, wiedziałem już, że to niezupełnie prawda. Zrozumiałem ją. Miała rację. I byłem jej przez tę krótką chwilę bardzo wdzięczny, że nie zaprzeczyła. Powtórzyła tylko:

- Starszego brata.

- Będziesz go miała, Irma.

Zamyśliła się, a potem usiadła obok mnie.

- Wszystko nam się w tym domu zaczęło walić. Za dużo na raz. Każde z nas wie o drugim zupełnie co innego. Więc sobie nie wierzymy i nawzajem w siebie przestajemy wierzyć. To przez nią... Nie mogę jej darować tego, co zrobiła. Ty wiesz, co się dzieje w tamtej rodzinie? U Sokołowskich? To jest piekło. A ja słyszałam o tym od Ewy dzień po dniu, dzień po dniu, Marek...

- Dziadek wie?

- Tak. Narobiła ludziom krzywdy...

- I tylko tyle? Zrobiła komuś krzywdę. Tylko tyle o niej wiesz?

- To mało?

- Mało - powiedziałem. - Za mało, żeby przestać ją kochać, Irma. Dla mnie za mało.

Bo nic nie wiesz o niej samej...

- Bronisz jej?

- Tak.

Deszcz wciąż zacinał w okno, wiatr targał anteną. Irmina skuliła się, jakby tamten chłód i tu docierał, przenikał przez szyby.

- Nie mówiłam ci nic o mamie przez długi czas. Ona mi też niczego nie powiedziała.

Wiem o jej sprawach tyle, co od ludzi i co sama widzę. Ukrywałam to przed tobą. Tak jak i ty ukrywasz przed nią to, co wiesz o mnie. Albo co wydaje ci się, że wiesz. Myślę o tych dwóch dniach i dwóch nocach, kiedy mnie nie było w domu.

- O tym nie mówimy!

- Nie. O tym też trzeba sobie kiedyś powiedzieć.

- Nie teraz, Irma. Teraz trzeba coś zrobić, tak powiedziałaś przecież. Trzeba coś



zrobić, bo tak dalej już nie można. Co zrobimy?

- Trzeba przestać kłamać.

- Tak - powiedziałem. - Może tak trzeba, nie wiem. Może masz rację i jest to możliwe. Spróbujmy. Ale najważniejszy jest teraz dziadek.

- Najważniejszy. Marek... - i urwała. A po chwili: - Jak myślisz, czy on na pewno zdaje sobie sprawę ze swojego stanu?

- Tak.

- I wie, że operacja nic dobrego nie może przynieść? Na pewno?

- Tak. Jeśli coś takiego można na pewno wiedzieć.

- Więc jednak wierzy w jakąś szansę?

- Nie. Wie, że to koniec.

Irmina patrzy na mnie. Trudno jej to wszystko pojąć. Dlatego wciąż wraca do tego, co niby już przecież dobrze wie, ale nie może się z tym pogodzić i wolałaby sądzić, że jednak się myli. Powiem jej. Usłyszy to, co ja zrozumiałem dzisiaj przed godziną. Tam w szpitalu.

- On chce nam wszystkiego oszczędzić. Chce po cichu, nagle zamknąć za sobą drzwi, wycofać się niepostrzeżenie. Rozumiesz mnie?

- Boże... - powiedziała - a przecież mi przyrzekł, że wróci do domu. Nigdy mnie nie oszukał. Dlaczego chciał teraz to zrobić?

- Bo on wie, że ten jeden, jedyny raz wybaczysz mu, jeśli nie będzie mógł dotrzymać słowa. Ja go dzisiaj załamałem, Irma. I chyba nie tylko tym, co mu powiedziałem. Dziadek chciał, najbardziej zależało mu na tym, żebym właśnie przed tobą ukrył wiadomość o jutrzejszej operacji. Nie ukryłem...

- Więc wszyscy się oszukujemy - mówiła bardzo cicho, do siebie, jakby mnie nie słuchając, mówiła z goryczą. - Kłamiemy, bo może tak bardzo się kochamy, tak? Milczeliśmy obydwój. I wtedy właśnie sobie pomyślałem: co się dzieje w drugim człowieku, kiedy patrzy na ciebie, i ty patrzysz mu w oczy, i nie ma między wami słów? A potem Irmina powiedziała, że weźmiemy to wszystko na siebie.

Burza ustępowała powoli, zgasilem lampkę, za oknem robiło się coraz jaśniej.

- Pokazywał ci kiedyś tamto zdjęcie? - spytała nagle Irma.

- Czyje?

- No, tamto zdjęcie z szuflady. Nie pokazywał?

Zerwała się i otworzyła drzwiczki starej, okropnej bieliźniarki dziadka. Nora podniosła łeb, warknęła cicho.

- Słyszysz? Pies nam daje do zrozumienia, że ruszamy nie swoje rzeczy - powiedziałem. I pomyślałem: a może i nie swoje sprawy?

Byliśmy tu nie u siebie. Zawsze, kiedy znalazłem się w pokoju dziadka, czułem to wyraźnie. Coś trudno uchwytnego sprawiało, że w tych źle wygładzonych, ledwo pociągniętych farbą chropawych ścianach, które niczym nie różniły się od innych ścian naszego mieszkania i wszystkich mieszkań nowego budownictwa, jakie znałem, tylko tu czułem się zawsze jakby w innym czasie.

I nawet chyba nie ta fotografia na ścianie decydowała o tym ani góralskie obrazki na szkle, które dziadek sobie powiesił. Choć była to dziwna fotografia, amatorska, robiona najwyraźniej z góry, pewno z okna. Powiększenie rozmazało ją, zatarło rysy twarzy i szczegóły. Dwoje ludzi, nasz dziadek i babka, której nie znaliśmy, a nasza mama ledwo pamiętała, dwoje ludzi szło obok siebie chodnikiem, a na pierwszym planie, tuż koło nich, ale tyłem do fotografującego, dwóch niemieckich żandarmów w hełmach i z karabinami.

- Po co dziadek trzyma tych szwabów na ścianie? - spytałem kiedyś. - Obciąć ich, wykadrować...

- Nie. Taki był czas, taka była jego prawda - odpowiedział.

W tym pokoiku dziadka zawsze czułem się nie u siebie. Byłem tu obcy jak gość nie w

porę. Albo jak ktoś, kto znalazł się nagle nie tam, gdzie się zgubił, i nie wie, jak się wycofać i dokąd.

Irmina nie szukała na ślepo, widocznie dobrze znała zawartość szuflady. Z jakiejś wypchanej koperty wyjęła zdjęcie... zaraz, swoje własne zdjęcie? Przez moment nie mogłem się zorientować, spojrzałem na Irmę zdziwiony. Podała mi niewielką fotografię bez jednego słowa.

- To niemożliwe, żebyś była aż tak podobna - powiedziałem. - Gdyby nie to, że dziś nie robi się zdjęć na takim papierze... No i ona jest od ciebie chyba starsza.

- Tylko o dwa lata. Ma tutaj siedemnaście lat i właśnie taką ją poznał. Wiem o niej bardzo dużo od dziadka. A resztę wiem od siebie samej...

- Dlaczego mi pokazałaś to zdjęcie? - spytałem. - Właśnie dzisiaj, w tej chwili?

- Żebyś lepiej zrozumiała, Marek. Trudno tak wszystko w słowach powiedzieć...

Wszystko! Wszystkiego w ogóle powiedzieć się nie da. Ale choćby tyle, ile się chce, ile trzeba. Chciałam, żebyś więcej wiedział...

Spojrzałem na nią uważnie.

- Co, Irma?

- On tu wróci.

- Dziadek?

- Tak.

Więc chyba jednak nie zrozumiała - myślę przez moment - albo wciąż nie może uwierzyć, że po tej operacji już nie będzie powrotu. Może to nawet lepiej, niech ma nadzieję. Ale to ja niczego nie rozumiem. Widzę po jej oczach, że chce mi powiedzieć więcej, tylko nie potrafi.

- On tu wróci, Marek, zobaczysz. Nie zostawi nas teraz samych. Tak jak ją zostawił, i przez całe życie nie może sobie tego darować...

- O czym ty mówisz? Po co posłałaś Zawistowskiego do szpitala? - patrzyłem na nią i czułem, że znowu zaczynam się bać. - Irmina, coś ty zrobiła? Dlaczego dręczymy tego człowieka, dlaczego nie zostawimy dziadka w spokoju? Teraz, kiedy już tylko tego chce.

Irma, zrozum, że nie mamy prawa...

- Mamy prawo. Nie pozwolę mu uciec od nas. Potrzebujemy go teraz najbardziej. I on nas potrzebuje i będzie nas miał obok siebie naprawdę. Trzeba mu było to powiedzieć, Marek. Powiedzieć tak, żeby uwierzył. Nie potrafiłeś tego. Dlatego posłałam Zawistowskiego, żeby to wszystko powiedział mu ode mnie. I dziadek wróci. Zrobi to dla nas.

- Dla ciebie.

- Tak. A może dla niej?

Wzięła ode mnie zdjęcie, schowała do koperty.

- Albo dla siebie samego? Chyba właśnie tak. Dla siebie to robi.

- Wiesz o nich coś, czego ja nie wiem. Tak dużo ci mówił?

- Ostatnio ciągle mówił o niej.

- Tylko tobie, Irma. Dlatego, że jesteś taka podobna? Że mu tak bardzo ją przypominasz?

- Może. A może dlatego, że tylko ja go słuchałam? Ja wiem, że ciebie to złościło...

- Dziadek w tym domu widział tylko ciebie. Od dawna wiedzieliśmy o tym obydwój z mamą...

- A naprawdę nic nie wiedzieliście o nim. Nic. Nawet tego jej zdjęcia nie znałeś.

Nawet nie wiesz, że ta duża fotografia na ścianie to ich ostatnia fotografia. Zrobił ją stary Orzechowski, szli wtedy do niego. I dziadek tam został, miał się ukrywać przez jakiś czas, bo szukali go. Ona wróciła do domu. A następnego dnia naszą babkę aresztowano i nawet nie wiadomo, na jakiej ulicy została rozstrzelana. Teraz będziesz wiedział, dlaczego dziadek w rocznicę powstania chodził całymi godzinami po ulicach miasta od jednego miejsca straceń

do drugiego. Pamiętasz, mówiłeś: dziadku, już wystarczy tych świeczek, przecież tu idzie tylko o symbol. A jemu nie szło o żaden symbol, tylko szukał tego jednego miejsca, właśnie tego jedyne. I ja z nim chodziłam, Marek.

- Daj już spokój - powiedziałem - przestań.

Wszędzie pełno kasztanów, wydaje się, jakby tylko one rosły w tym parku. Podobnie jest wiosną, kiedy kwitną białą i różowo. Potem wtapiają się w zieloną plamę innych drzew, żeby przeczekać, aż przyjdzie ich właściwa pora. A teraz pękają już dojrzałe, kolczaste kule i spadają na ziemię, rozrzucając łupiny, które więdną i żółkną szybko. Pełno tych łupin dookoła, ich kolce już nie kłują... Idę przez park.

Drzewa, dużo drzew. Zapelniają przestrzeń, nie czuje się wśród nich odległości, idziesz od drzewa do drzewa i między nimi, może już sto metrów, może tysiąc i nie wiesz, jak daleko jeszcze.

Najgorętszy tego lata był lipiec. Słońce budziło nas każdego dnia bardzo wcześnie i dopiero jego zachód ostatecznie wypraszał nas z łazienkowskiego parku. Przez cały miesiąc pełne słońce i niebo czyste aż po horyzont. A jeśli nawet pojawiały się białe, kłębiaste chmury, gromadziły się tylko tam gdzieś daleko, właśnie na horyzoncie, wieczorami. W sierpniu padały deszcze i wiele dni przesiedzieliśmy w domu. Znosiłem książki z biblioteki dzielnicowej, zapisałem do niej również Irmę. Bo na jedną kartę pożyczano tylko dwie książki, a nas było przecież troje.

Dziadek początkowo martwił się, że nie mamy wakacji, ale szybko przestał o tym mówić. A my wiedzieliśmy, że czuje się coraz gorzej, i również nie mówiliśmy o tym ani słowa. Tak, jakby została zawarta umowa, że w naszym domu nie mówi się o sprawach oczywistych, zbyt oczywistych, aby można o nich mówić.

24.

Byliśmy prawie zawsze razem, całymi dniami, jak nigdy dotychczas. I coraz bardziej stawało się jasne, że tym domem kieruje Irmina. Domem czy może raczej nami? Ona jakby decydowała o wszystkim, co czuliśmy, i nastrój każdego dnia, każdej prawie godziny lepiła jak w plastelinie, tak bardzo poddawaliśmy się jej obydwoj z dziadkiem.

Mama żyła obok nas, przygaszona i nieobecna, wykonując w milczeniu wszystkie te mechaniczne czynności, jakie musiała wykonać. Z Irminą prawie nie rozmawiała. Tylko tyle, ile koniecznie już trzeba było. Rano wychodziła bardzo wcześnie, kiedy spaliśmy jeszcze.

Nagle urwały się nocne i niedzielne dyżury w szpitalu. Prosto z pracy przyjeżdżała do domu. Robiła dziadkowi zastrzyk, a potem już tylko wychodziła do sklepów i szybko wracała obładowana siatkami. Telefon milczał, nikt do nas nie dzwonił.

Często mama była w domu wcześniej, niż my wracaliśmy z parku. Zastawialiśmy ją wtedy leżącą na tapczanie, z otwartymi oczami. Nie spała. Nigdy nie pytała, co robiliśmy przez cały dzień. Na nasz widok zrywała się, jakby przyłapaną na czymś niewłaściwym, szła do kuchni i po chwili słychać było:

- Tatusiu, zastrzyk przygotowany...

A potem nie wychodziła z kuchni aż do wieczora, kiedy miała już zrobiony obiad czy raczej kolację dla wszystkich. Nie prosiła nas o żadną pomoc, jak to często bywało przed wakacjami. Więc sam się zacząłem zgłaszać.

- Trzeba coś zrobić? Może pójść do sklepu?

- Nie trzeba. Wszystko mam... - odpowiadała. - Posprzątajcie tylko rano mieszkanie.

Jeśli wstaliśmy zbyt późno i spieszyło nam się do Łazienek, pościel zostawała na wierzchu, rozgrzebana po nocy. Nie u dziadka, bo wstawał wcześniej i zawsze sam u siebie sprzątał. I nie u mnie w kuchni. Ale w dużym pokoju, gdzie spała mama z Irminą, zostawał

czasem bałagan, który dopiero mama sprzątała po południu.

Ani razu nie zwróciła Irmie uwagi. Ale mnie to zaczęło denerwować. Któregoś dnia, już w drzwiach, kiedy wychodziliśmy rano, powiedziałem:

- Idźcie, dogonię was po drodze. Jeszcze coś tu mam do zrobienia...

Zabrałem się do sprzątanego pokoju. Po chwili wróciła Irmina.

- Dlaczego zostawiłaś dziadka samego?

- A dlaczego ty nie powiesz wprost, o co ci chodzi?

- O nic mi nie chodzi.

Chowałem pościel, nie zwracając na nią uwagi. Uprzątnąłem to, co się dało z wierzchu. Poszedłem po odkurzacz. Irmina stała oparta o drzwi. Nie mówiła słowa. Przejechałem parę razy po dywanie, spojrziałem na zegarek.

- Gotowe. Wszystko razem osiem minut.

- Bo niedokładnie. Mnie by to zajęło piętnaście. A jej dwadzieścia pięć. I co by się stało? Ma teraz dużo czasu...

- Tak nie można, Irma.

- Wiele rzeczy nie można, a jednak ludzie je robią! Ona też. A teraz ma sporo czasu. Zauważyłeś, że skończyły się nocne dyżury? Nie widzisz, że została sama?

Nie zrozumiałem.

- Sama?

- Tak. Chodźmy, dziadek czeka na ulicy...

Irma zbiegła po schodach, kiedy zamykałem drzwi. Usiłowałem ją zatrzymać, żeby o coś spytać. Nie udało mi się, nie chciała rozmawiać.

- Irma! - krzyknąłem. - Poczekaj...

- Nie! - odpowiedziała z dołu.

Na przystanku autobusu, kiedy dziadek kupował w kiosku bilety, Irmina podeszła do mnie.

- Pamiętasz, była umowa, że nie będziemy się okłamywać, prawda?

- Właśnie. I co?

- I ja nie kłamię - powiedziała. - Ja tylko nie powinnam ci wszystkiego mówić.

- Dlaczego? Co to znaczy, że została sama?

- Nie pytaj. Nie staraj się dowiedzieć. Tak będzie lepiej. Dla was.

- Co znaczy: dla was?

- Dla ciebie i dla mamy.

- A ty? Ty, siostrzyczko kochana, możesz wszystko wiedzieć?...

- Mogę czy nie mogę... ale wiem. Co na to poradzę, że wiem?

Zdenerwowałem się, ale mówiłem najspokojniej, jak umiałem:

- Tak. Wszystko o niej wiesz. Wszystko potrafisz ocenić. To jest złe, tamto gorsze.

Zrobiła komuś krzywdę, ty jej nie kochasz. Teraz znowu cieszysz się, że została sama. Ty będziesz określać, co kto powinien wiedzieć i robić, a co nie. Kto ci dał takie prawo, Irmina?

- Dlaczego tak dziwnie mówisz do mnie? Chcesz mnie obrazić? Dlaczego?

- Nie, Irma. To ty chciałaś mieć starszego brata. Prawda? No więc?

Dziadek wracał już do nas, trzeba było szybko kończyć tę rozmowę. Wiedziałem, że zaskoczyłem Irminę, ale pozostała przy swoim.

- Nie powinieneś, Marek, wiedzieć za dużo o sprawach naszej mamy. Ze mną jest inaczej, ja jestem kobietą...

- O, to coś zupełnie nowego! - powiedziałem. Dziadek stał już obok nas i słuchał uważnie.

- Masz rację, coś nowego. Wreszcie pojąłeś.

- Co dziadek na to? - spytałem. - Więc w naszym domu są już dwie kobiety.

- Tak. - I dziadek uśmiechnął się do mnie. - Sam widzisz, że coraz trudniej robi się na

tym świecie.

Ale mnie nie było do żartów.

- Dwie obce sobie kobiety, dziadku - powiedziałem. - I coś się jednak w tym rachunku nie zgadza. To właśnie ty, Irma, powinnaś ją lepiej rozumieć niż ja. Nie uważasz?

- Autobus jedzie... - odezwał się dziadek. Irmina milczała.

Wieczorami siadaliśmy wszyscy przed telewizorem, na swoich stałych miejscach.

Obserwowałem czasem mamę i zawsze wtedy miałem wrażenie, że patrząc na ekran nie wie, co się na nim dzieje. Kiedyś wstała nagle, zbyt nagle, w połowie filmu i wyszła do przedpokoju.

- Gdzie jest smycz? - zapytała.

Spojrzałem na dziadka. Siedział nieporuszony. Irmina również. Patrzyli w telewizor.

- Szukam smyczy! - powtórzyła mama głośniej.

- Nora! Idziesz na spacer... - powiedziałem. - Słyszysz? Spacer!

Pies zerwał się i poleciał do pokoju dziadka. Przyniósł smycz, którą chował zawsze w kącie za tapczanem, przy swoim legowisku. Czyżby mama o tym nie wiedziała? Ani razu w ciągu roku, kiedy tu mieszkamy, nie zauważyła tego?

Nora stała w przedpokoju, trzymając smycz w pysku, i machała ogonem, czekała. Ale kiedy mama wyciągnęła w jej stronę rękę, pies nagle odskoczył i warknął. Po chwili jeszcze raz to samo. I jeszcze raz.

- Nora, oddaj smycz! - zdenerwowała się mama, podnosząc głos. - W tej chwili oddaj!

Pies wystraszył się, nigdy na niego nie krzyczeliśmy w ten sposób. Powoli, ostrożnie przybliżył się, obszedł mamę w bezpiecznej odległości i położył smycz na podłodze, przy moich nogach. Teraz już musiałem się wtrącić.

- Może pójdziemy razem? - zaproponowałem. - Ale po filmie. Szkoda tak w połowie...

Mama odwróciła się i bez słowa wyszła z mieszkania. Pies został. Wróciłem do telewizora.

Ktoś z nich powinien się odezwać - myślałem. Przecież nie mogą udawać, że nic się nie stało i niczego nie zauważyli. A jednak Irmina i dziadek wpatrzeni byli w film. Jakby chcieli dać mi do zrozumienia, że to nie ich sprawa. No, więc dobrze. Niech każdy robi to, na co ma ochotę. Nie chcę oglądać filmu. Nie interesuje mnie. Od początku mnie nudził. Wyjdę. Nie było zbyt ciemno. Obeszliśmy z Norą cały skwer, potem pobiegliśmy do Syrenki. I znowu szybkim krokiem w jedną i drugą stronę, od wiaduktu kolei elektrycznej aż do pierwszych domów Mariensztatu. Coraz mniej ludzi było już nad Wisłą, dochodziła jedenasta.

Mama siedziała na jednej z ławek wciśniętych w krzewy rosnące na skwerze. Od razu ją tam spostrzegłem, ale nie podchodziłem. Musiała nas widzieć. Początkowo na sąsiednich ławkach siedziało sporo osób, potem została już tylko ona.

Może czeka na kogoś? - myślałem. Wyszła, żeby z kimś się zobaczyć i ten ktoś lada chwila nadejdzie. Gdyby chciała, mogła mnie przecież zawołać. Ale gdy przyszła już noc i ona tkwiła wciąż na tej ławce z głową podpartą na dłoniach, zrozumiałem, że nikogo się nie doczeka i nikt do niej nie przyjdzie, jeśli ja tego nie zrobię. A może na mnie czekała?

Podszedłem z psem do ławki, podniosła głowę.

- Nie wołałaś mnie... - powiedziałem.

Jeśli nawet płakała, to dawno. Teraz miała suche, szeroko otwarte oczy, puste.

- Chcesz być sama?

- Nie.

- Widziałaś mnie, jak tędy przechodziłem. Raz i drugi.

- Widziałam.

- Ale przecież mnie nie zawołałaś, prawda?

- Nie.

Ciepło było i siedzieliśmy długo na tej ławce. Dudnienie mostów przycichło, po kolejowym rzadziej już przelatywały oświetlone pociągi elektryczne. Każdy z nich odprowadzałem spojrzeniem. Jechali w nich ludzie w tę i w tamtą stronę, do swoich domów na jednym albo drugim brzegu Wisły. A dla nas wyglądało to jakby znikąd donikąd. Mama też patrzyła na pociągi, przyciągały wzrok te smugi światła łączące na chwilę oba brzegi rzeki tam, wysoko, na linii mostu i pod nim, odbijając się w wodzie. A potem znowu ciemno i brzegi odsuwają się od siebie, choć pusty most usiłuje spiąć je i przybliżyć.

- Patrzysz na pociągi - powiedziała mama. - Zawsze tak, kiedy wychodzisz wieczorem z psem? Może tęsknisz za kimś?

- Tak - skłamałem. Choć nie jestem tego taki pewien, chyba skłamałem. Żeby pozwolić jej mówić o sobie. Ale milczała. Więc ja mówiłem: - Lubię patrzeć na pociągi, nie tylko kiedy jadą. Na dworcu też je lubię, na dużym dworcu, kiedy stoją przy każdym peronie i nie wiadomo, który pierwszy z nich odjedzie. Tylko potem jest trochę dziwnie.

- Kiedy zostaje pusty tor. Pociąg już odjechał, peron pustoszeje. I trzeba wyjść z dworca i wrócić do domu. To chciałeś powiedzieć. - I nieoczekiwanie dla mnie mama uśmiecha się. - Oj, Marek...

- Skąd wiesz?

- Na tylu filmach były takie sceny. Choćby dzisiaj w telewizji. Przecież wyszliśmy z domu właśnie przy takiej scenie. Ja ciebie pytam, czy za kimś tęsknisz, a ty mi opowiadasz filmy. No i po co to?

Naiwny jestem - pomyślałem. I mama zna mnie może lepiej, niż sędzę. Jest czujna, wiedziała, o co mi chodzi, nawet kiedy zdawało mi się, że mówię o czymś innym. Dostałem nauczkę, więc jeden zero. Bo przecież to tak, jakby powiedziała mi: przestań śledzić moje myśli, nie masz do tego żadnego prawa. A równocześnie punkt dla mnie, więc jeden do jednego. Bo już teraz wiem, że nieprzypadkowo wstała od telewizora tak nagle, właśnie w tym miejscu, przy tej scenie. Czy musimy grać dalej?

- Chciałbyś gdzieś wyjechać, prawda? - spytała mama. - Marnujesz wakacje. A nikomu to i tak nic nie pomoże. Nikomu...

- Tutaj też można spędzić lato.

- Spędzić lato. Przecież to nie to samo, co mieć prawdziwe wakacje.

- Ty z nami nie wyjeżdżasz już od dwóch lat. Albo trzech. Dawniej było inaczej. Jeździliśmy wszyscy razem.

- Byliście mali... Mówisz, że to już tak dawno? Dobrze liczysz, widzę. Tak. Już trzy lata.

Zamyśliła się. A po chwili:

- Dlaczego ty właściwie nie wyjechałeś z chłopcami na ten obóz sportowy?

- Teraz to pytasz? Mówiłem już, że spóźniłem się wtedy na pociąg... „Pociąg już odjechał, peron pustoszeje. Trzeba wyjść z dworca i wrócić do domu”. Więc ja to znam nie tylko z filmu w telewizji, tak jak ty...

Udała, że nie rozumie.

- Jeszcze chyba będą z tego jakieś nieprzyjemności, co? Przecież szkoda miejsca na takim obozie, to kosztuje. Mógł jechać kto inny.

- Tak.

- No, widzisz. Jakbyśmy jeszcze mało mieli zmartwień. Nie mam cię teraz gdzie wysłać. Bo niby dokąd? I za co? Ona mogłaby może pojechać jeszcze w sierpniu na kolonie...

- Irma? Nie pojedzie.

- No właśnie.

- Mamo, ty się martwisz takimi sprawami? - spytałem.

- Dziwi cię to? - zachnęła się nagle. Zupełnie nie rozumiałem dlaczego. - Tak? Dziwi cię? Więc wyobraź sobie, że się martwię. Takimi sprawami. Właśnie takimi!

- Zmęczona jesteś, powinnaś wziąć urlop. I wyjechać. Choćby na krótko...

- Co ty chcesz przez to powiedzieć?

- Nic. Ja tylko...

- Czy ty sobie kpisz ze mnie? - mama podniosła głos. A pies, który kręcił się po skwerze, podbiegł teraz do nas i zaczął szczekać. - Chcesz mi powiedzieć, że i tak wam nie jestem do niczego potrzebna? Nie jestem wam potrzebna i nie jestem was warta? Jestem... Odpędź tego psa, bo mnie doprowadza do szału! Ale już!

Wstałem z ławki, podszedłem do Nory i przykucnąłem przy niej.

- Cichutko, piesku, nie bój się... To nie na nas. Bądź cicho.

Zdenerwowałem się, czułem, jak trzęsą mi się ręce, ale mogłem to ukryć, głaszcząc psa. Zrozumiałem, że tu nie chodzi o moje słowa, że ja tylko potrąciłem strunę, która już wcześniej drgała. Niechcący potrąciłem i trzeba to teraz powiedzieć, bo inaczej ta rozmowa może między nami leżeć jak kamień, o który długo będziemy się potem przewracać.

- Dobrze. Może to jest jakiś sposób? Możemy zbić psa, możemy go skopać i wrzucić do Wisły! - powiedziałem. - A kiedy już będzie tonął, to wtedy powinien się domyślić, że właśnie on był wszystkiemu winien...

- Co ty pleciesz? Przestań się wygłupiać, Marek.

- Dlaczego? Czy ja jeden to robię?

- Marek!

I teraz ja podniosłem głos:

- Kto ci powiedział, że nie jesteś nam potrzebna?

Cisza. Więc jeszcze raz. I jeszcze.

- Kto mówił, że nie jesteś nas warta?

Nie odpowiadała.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Dlaczego właśnie teraz, a nie rok temu albo dwa?

Tylko akurat teraz. Bo ktoś ci to musiał teraz powiedzieć. Tak?

- Daj spokój, synku...

- Więc kto? Irma? Dziadek? Może jeszcze kto inny? Odpowiedz. Słyszysz?

Uniosła twarz. I wtedy cały ten krzyk, który był we mnie, odpłynął gdzieś w jednej chwili. I tak, jakbym zobaczył odbicie jej twarzy w wodzie, która nagle zafalowała. Na tę jedną chwilę ktoś, kto wydawał mi się zawsze tak silny, że chyba najsilniejszy, ukazał mi całą swoją bezbronność. Ona, moja mama.

Dlaczego nie spostrzegłem wcześniej, co tu jest pozorem? Silni nie przyjmują winy na siebie. Tylko słaby zawsze uwierzy, że wszystkiemu jest winien. I ona uwierzyła, rzucono w nią kamieniem bardzo celnie. A ja w tej jednej chwili sam sobie pomogłem zrozumieć: wszystko, co jeszcze niedawno myślałem przeciwko niej, jest przeciw jej obroną. I było mi przykro nie dlatego, że odkryłem, jaka jest bezbronna.

Było mi przykro, a może raczej było mi wstyd, że nie zrobiłem dotąd najmniejszego nawet gestu, z którego mogłaby zrozumieć, że jestem po jej stronie przeciwko każdemu, kimkolwiek byłby. Jak jej to powiedzieć?

Płakała. Z uniesioną do góry głową, bez jednego grymasu twarzy. A ja milczałem. Kiedy wróciliśmy „do domu, było już po północy. Irmina spała. Mamy tapczan był zasłany i moje łóżko w kuchni przygotowane do spania.

- Jesteście już, to dobrze - powiedział dziadek. - Trochę się denerwowałem. Długo spacerowaliście...

Pogłaskał Norę i spojrzął na mnie.

- Może jutro później pójdziemy do parku, co? Musisz się przecież wyspać. A może jedźcie sobie sami na basen albo nad Wisłę. Ja bym został w domu.

- Gorzej się dziadek czuje? Boli?

- Tak sobie, różnie...

- Jeśli bardzo boli, to nie ma co się zastanawiać - zdecydowała mama. - Zrobimy jeszcze jeden zastrzyk, będzie tatuś dobrze spał. Zaraz przygotuję.

- Danusiu... - zaczął dziadek.

- Słucham?

- Był telefon. Międzymiastowy.

Mama drgnęła.

- Tak. I co?

Zawahał się, czy powiedzieć przy mnie. Ale nie odchodziłem.

- On dzwonił? Czego jeszcze chciał?

- Pytał, czy jednak nie zdecydujesz się przyjechać. Prosił o to. I żebyś zadzwoniła tam jutro rano. Tu jest numer - dziadek sięgnął do kieszeni i podał małą kartkę - zapisałem ci tutaj...

- Niepotrzebnie. Niech tatuś zniszczy.

Patrzyła teraz na mnie, a ja nie odwracałem głowy.

- Może jednak trzeba zadzwonić? - powiedział dziadek.

- Nie.

Ten park, przez który idę, co chwilę jest inny, jakby to nie był jeden, ale wiele różnych parków sklejonych ze sobą jesienią. Kończy się jakaś aleja i zza kępy krzewów wyłania się zupełnie nowy widok, potem znów inne drzewa, i kolory różne od tamtych przed chwilą, i nawet trawa całkiem inna. I jeszcze jeden zakręt, i jeszcze jedna alejka niepodobna do poprzedniej. Wiele różnych twarzy ma ten park jesienią.

25.

Na początku wakacji jeździliśmy do Łazienek autobusem, w lipcu autobusy w Warszawie są prawie puste i zawsze znalazło się miejsce siedzące dla dziadka. Ale kiedy czułem się słabo, braliśmy taksówkę. I coraz więcej było potem taksówek, za które zawsze płaciła Irmina. Nie widziałem w tym nic dziwnego, byłem pewien, że bierze pieniądze z domu na wszystko, czego nam w ciągu dnia potrzeba.

W drugiej połowie sierpnia pogoda poprawiła się, wróciło słońce. Przyjechał z wakacji Zawistowski i zaczął spędzać z nami całe dni. Któregoś wieczoru odezwała się również Katarzyna. Zadzwoniła, że już jest, ale na krótko, bo znowu gdzieś jedzie. Pytała, co robimy.

- Siedzimy sobie na ławce i rozmawiamy - odpowiedziałem. - Nie teraz, oczywiście, tylko w dzień. Po prostu siedzimy...

- Nie rób ze mnie idiotki, dobrze? Całe lato siedzicie w mieście? Na jakiej znowu ławce?

- Na różnych ławkach. Zielonych, brązowych... głównie w cieniu, ale nie zawsze.

- Ty jednak jesteś stuknięty, Marek. Nie widziałam cię pięć tygodni i już mnie w pięć minut zdenerwowałeś. Po prostu śmigło, wariat jesteś...

- Nie sądzę. Dobranoc, Kasiu. - I odłożyłem słuchawkę.

Irmina popatrzyła na mnie jakby zdziwiona.

- Nie za bardzo stęskniłeś się za nią. A ja myślałam...

- Więc źle widocznie myślałaś - przerwałem.

- Albo znasz ją dobrze i wiesz, że tym bardziej do ciebie przyleci. Zobaczysz jutro.

Katarzyna przyszła z samego rana. Wesoła i opalona, rozgadana o tej leśniczówce wujka i kuzynie, który bardzo jej, jak mówiła, przez ten rok wyprzystojniał.

- Udawaj przynajmniej, że jesteś zazdrosny! - powiedziała do mnie. A do Irminy: - Zaprosiłam kuzyna do Warszawy, w zimie, na święta. Mogę ci go wtedy na parę dni odstąpić, na przykład na Sylwestra.

Zawistowski pokiwał głową.



- Jeśli nie zużyty, to przyjmujemy. Do odgarniania śniegu. Widziałem, że dziadek uśmiechnął się lekko. Lubił Zawistowskiego, wyraźnie go lubił.

Tego dnia zmieniliśmy trasę, powoli przechodząc w dół Agrykołą, dziadek czuł się lepiej, sam to zaproponował. Na mostku przystanęliśmy.

- Sobieski dymi! - powiedziała Katarzyna. - Spójrzcie...

Rozgrzane powietrze drgało nad powierzchnią stawu, nad asfaltem wspinającej się w górę Agrykoli i wokół kamiennego cokołu. Zawistowski rozejrzał się, czy nikt nie widzi, przesadził ogrodzenie i wszedł na pomnik.

- Najgorzej Turkowi, bo ma ogoloną głowę. Prawie jak ja! - mówiła Irma i widać było, że już nie przejmuje się swoimi zniszczonymi włosami. Dziadek jej to wytłumaczył. Włosy zresztą zaczynały odrastać, zrezygnowała z noszenia chusteczki. - Jak już tam jesteś, dotknij łepetyny Turka. Gorąca?

- Jeszcze jak! - zawołał Zawistowski. - Prawie parzy. Panie profesorze! Dlaczego właściwie mówi się o kimś: gorąca głowa? A raczej, dlaczego to ma być komplementem? Dziadek uśmiechnął się, a Zawistowski, poklepując Turka po ogolonym łbie, czekał na odpowiedź. Nie wiem, czemu pomyślałem, że powinienem poczuć się urażony. I rozśmieszyła mnie ta myśl. Czyżbyśmy nawet, poklepując Turka po głowie, mówili zawsze tylko o sobie, o nas?

- Po namyśle zgadzam się z tobą - odpowiedział Zawistowskiemu dziadek. - A namyślałem się ponad pół wieku. Gorące głowy trzeba studzić. To nie jest komplement.

- A gorące serca? - spytała Czeremcha. Pociągnęła głośno nosem i wszyscy roześmiali się z tego. - Przestańcie chichotać. Wzruszyłam się własnymi słowami, to już jest coś!

- Niech mu dziadek powie, że recepta brzmi: gorące serce, zimna głowa i czyste ręce...

- mruknąłem ironicznie. - Przecież on na to czeka!

- Nie trzeba! - powiedziała Irma i wzięła dziadka pod rękę. - Chodźmy, bo tu za gorąco. Nie trzeba mu tego mówić. Nie bądź złośliwy. Zawistowski, złaź z pomnika!

Wystarczy, bo się przyzwyczaisz.

- Stąd jakby trochę inaczej widać świat, wicie! A gdybym jeszcze wszedł na konia! A gdyby jeszcze ten koń ożył...

- Tobyś wtedy musiał wygrać bitwę pod Wiedniem. I kochać się w Marysieńce - śmiał się dziadek. - Trudna rola i już do końca napisana, nic w niej nie zmienisz.

- Rezygnuję - odpowiedział Zawistowski i zeskoczył z pomnika. - Panie profesorze, jak to jest: czy w ogóle można nie być sobą, być kimś innym, niż się jest naprawdę?

- Nie można.

- Ale przecież tak się mówi - wtrąciła Irmina - tak się pisze, że ktoś stał się kimś innym albo właśnie zaczął być sobą...

- Co was dzisiaj naszło? - zdziwiła się Kaśka. - A może wy tak zawsze?

Dziadek zamyślił się przez chwilę, spojrzał na Irmę.

- Tak się ludzi usprawiedliwia albo sami się tłumaczą. Nie, to niemożliwe. Zawsze jest się tylko takim, jakim się jest naprawdę. Choćby człowiek sam siebie na pozór nie mógł rozpoznać. W gruncie rzeczy zawsze, w każdej roli...

Weszliśmy do parku, w naszym ulubionym miejscu ławki na szczęście były puste. I dopiero tutaj zorientowałem się, co mnie dzisiaj w Katarzynie od pierwszej chwili jakby zastanawiało, bo cały czas czułem, że coś tu nie jest w porządku. Dopiero kiedy Zawistowski zapytał:

- Nie za ciepło ci przypadkiem?

Czeremcha była w zielonym, obcisłym swetrze Irminy, najładniejszym z jej swetrów.

- I tak go zdejmę do opalania. A zresztą zapowiadali ochłodzenie, ja wierzę w prognozy pogody. W ogóle wierzę w przepowiednie...

Teraz i dziadek spostrzegł ten sweter, dopiero teraz, i spojrzał zdziwiony na Irmę.

- Zamieniłyśmy się, dziadku...

Przez dłuższy czas chciałem wymyślić jakiś pretekst, żeby którąś z nich odwołać na bok. Siedzieliśmy na pagórku alpinarium, czy jak to się tam nazywa, zasłonięci krzakami, niedaleko Teatru na Wyspie. Słońce było dość ostre, na jednej ławce opalały się dziewczyny, na drugiej dziadek grał w szachy z Zawistowskim.

- Która pójdzie ze mną na wodę sodową? Baba z saturatorem stoi przy pałacu. Irma?

Irmina podała mi dziesięć złotych.

- Przynieś i nam. Trzy bez soku.

- To znaczy, że już mnie z nim wysłałaś - powiedziała Czeremcha i podniosła się z ławki. - Niech będzie, mogę iść. Ale wezmę koszulę któregoś z was. Przecież nie będę wciągała swetra...

- Weź drugą. Tam leży - Irmina wyjęła jej z ręki koszulę Zawistowskiego i spokojnie odwróciła się do słońca.

Szliśmy ocienioną alejką przy teatrze, Katarzyna wpychała moją koszulę w spódnicę i narzekała:

- Przecież za długa, wyjdzie mi dołem... Tamta była lepsza, bo on jest niższy.

- To nie gniewaj mi koszuli i nie wpychaj gdzieś tam, bez sensu. Zapnij guziki i wypuść ją na wierzch.

- Myślisz? Może i racja. Będę wyglądała jak w szlafroku... jeszcze pasek by się przydał. Może dasz? Marek! Widziałeś?

- Co?

- Jak mi wyrwała koszulę Zawistowskiego? Zazdrosna taka? Ja ci mówię, że Irmina mocno go chwyciła... Dobrze wyglądam? No, powiedz.

- Dobrze wyglądasz. A może raczej on do niej się przyczepił...

- Daj pasek. On do niej czy na odwrót... jaka różnica? Razem ich naszło. No i co, nie upilnowałaś. A tak się wiosną bałaś Markońca, pamiętasz?

- Nie pamiętam. Nikogo się nie bałam.

- Markoniec był do kina i na pokaz. Taka ładna dziewczyna jak Irma musiała mieć jakiegoś chłopaka, bo nie opędziłaby się przed innymi. Trafiło na Markońca, bo spokojny i niczego od niej nie chciał. A wyście się wszyscy na niego rzucili...

- Kaśka, co ty właściwie chcesz mi powiedzieć?

- Nic. Każdy z was sam najlepiej wie swoje. Zanim poszło o te wasze mecze, to Kmita już od dawna nie mógł patrzeć na Markońca. Od tamtej prywatki u mnie. Mówiłam ci? Może i nie mówiłam. A kto tam znów dojdzie, od kiedy Zawistowski się w niej kocha?

Podeszliśmy do wózka z wodą sodową.

- Wypijesz dwie?

Katarzyna kiwnęła głową.

- Cztery z sokiem, proszę. Na miejscu. Z wiśniowym. I trzy bez soku, zaraz odniosę szklanki, wezmę tylko tam, w te krzaki...

- W żadne krzaki. W krzaki nie ma! - powiedziała sprzedawczyni. - Tylko na miejscu. W krzaki to są dziewczuchy, a nie moje szklanki. Nic z tego.

- On zaraz odniesie. Biegiem. A ja zostanę w zastaw. No? - spytała Kaśka. - Zła jestem na zastaw? Zgoda, tak?

- Co ty masz na sobie? - dziwiła się kobieta.

- To jego koszula. Taka moda.

- Dobrze wy wszystkie teraz jesteście, nie ma co... No, bierz te trzy wody i leć.

- Jak ja wezmę trzy szklanki?

- To weź dwie. Trudno... - powiedziała Czeremcha. - Zakochani wypiją na spółkę, po połowie.

Szybko wróciłem. Zapłaciłem za wszystko i podeszliśmy z Katarzyną do stawu.

Dzieci karmiły karpie i łabędzie. Z pałacu wychodziła jakaś wycieczka. Patrzyliśmy na wodę.

- Szkoda, że nie mamy bułki. Pokarmiłoby się zwierzynę. Marek, spójrz, jak te ryby śmiesznie otwierają dzioby...

- Ryby nie mają dziobów, wiesz? - zwrócił jej uwagę mały chłopiec, który stał obok. - Tylko mają pyszczki, a ptaki mają dzioby...

- A ty? Też masz dziób, jeszcze jaki! Spływaj, bracie - powiedziała Katarzyna. A do mnie: - Słyszałeś? Jakiś mały Zawistowski nam rośnie, mądrała. Już wiem. Kup herbatniki, pokarmimy trochę, co?

- Herbatniki za szybko rozmiękają. I nie mam już pieniędzy.

- To tak mów. A nie, że rozmiękają.

Odczekałem chwilę.

- Kaśka! Ile dałaś Irminie za ten zielony sweter? I kiedy?

- Czterysta złotych. Chciała pięćset, ale wytargowałam. Zaraz na początku wakacji.

Mówiła, że będzie teraz potrzebowała pieniędzy. Dobrze mi w nim?

Nie odpowiadałem.

- Coś ci się nie podoba? Między dziewczynami tak się robi. A zresztą, on był za obcisły dla niej. Piersi jej sterczały do przodu, że nie wiem. Wszystkie chłopcy oglądały się za nią na ulicy.

- Za tobą nie będą...

- Myślisz? Nie bądź taki pewny. A Irma wyglądała w tym swetrze, jak... wiesz, jak kto. Chodź stąd, wracamy do nich. Zdenerwowałeś mnie. Po co ja tu w ogóle...

Katarzyna urwała. Spojrzałem na nią.

- Właśnie: po co ty tutaj... No, dokończ.

- Nie chcę.

Szliśmy powoli.

- Kiedy znowu wyjeżdżasz? - spytałem.

- Jutro. Właśnie chciałam ci powiedzieć. Kuzynka mnie bierze do Świnoujścia. A wiesz gdzie? Na obóz studencki.

- Winszuję.

- To znaczy mam mieszkać prywatnie u znajomych ojca, ale będę właściwie cały czas z tymi na obozie. Wiesz, jak to jest. Cieszę się, bo to obóz artystyczny. Moja kuzynka jest z politechniki...

- A ty będziesz mówiła tym studentom, że skąd jesteś?

- Będę mówiła, że jestem przed maturą. A co, to nieprawda?

- Prawda, że przed.

- No, widzisz.

Mijaliśmy już Teatr na Wyspie. Do naszych krzaków jeszcze tylko parę kroków.

Czeremcha przystanęła.

- Marek. Z nami nie było nigdy tak...

- Jak nie było?

- Tak jak jest z nimi.

- Z kim, Kaśka?

- Z Irmą i z Zawistowskim. Dopiero, kiedy na nich patrzę, to rozumiałam, że ze mną nie było tak jeszcze nigdy. A ty?

- Co ja?

- Jak ty myślisz?

- Przecież i tak ci nie powiem.

- No, widzisz.

- Ale powiem ci coś innego. Nie dzwoń już do mnie. Będziemy się widzieli tyle, co w szkole.

- Dlaczego? Co ty znowu pleciesz?

- Nie plotę. To było poważnie.

Podeszliśmy do naszych ławek. Irmina opalała się, a Zawistowski właśnie przesuwiał jakąś figurę na szachownicy.

- Szach.

- Uważaj na królową - mruknął dziadek. - Cofnij ten ruch.

- Nie cofaj - odezwała się Irmina, nie otwierając oczu. - Niczego się nie da cofnąć. A sam dziadek kiedyś mówił, że szachy naśladują życie. Prawda, dziadku? Ale na królową uważaj. Marek, pomóż mu.

Przyjrzałem się sytuacji na szachownicy. Zawistowski patrzył na mnie wyczekująco.

- Cofnąć?

- Graj honorowo. Tym bardziej że już leżysz.

- Straciłeś królową? - oburzyła się Czeremcha. - Bałwan szachowy.

- Nie stracił, tylko od królowej dostał mata.

- No, to co innego - powiedziała Katarzyna. - On to lubi. Spojrzałem na Irminę: uśmiechnęła się lekko. Zawistowski złożył szachy.

- Może dziadek się trochę przejdzie? - zaproponowałem.

- Później...

Stanąłem sobie z boku i ponad krzakami patrzyłem na staw. Przy teatrze zatrzymała się grupa ludzi, pewno ta sama, którą widzieliśmy wychodzącą z pałacu. Wyglądali na zagraniczną wycieczkę. Śmieszne kapelusze i czapki mimo upału, aparaty fotograficzne, filmowe kamery. I przedziwne jakieś krawaty i muszki. W pewnej chwili doszły stamtąd podniesione glosy i ze zdumieniem spostrzegłem wśród turystów starego Orzechowskiego. Machał rękami i wykrzykiwał niezrozumiałe dla mnie pojedyncze słowa.

- Coś podobnego! Słyszycie? Orzechowski rozrabia! - powiedziałem. - Zaraz go naleją. Tylko po jakiemu on krzyczy?

- Antek? - ożywił się dziadek. - Jeśli wściekły, to pewno przeklina po grecku. Zawsze to dawniej robił. Idź no tam i zobacz, o co chodzi. W razie czego wołaj.

Zarzuciłem koszulę Zawistowskiego i wyskoczyłem z krzaków na ścieżkę.

- Panie profesorze! - zawołałem. - Co się dzieje?

Poznał mnie z daleka.

- Sam jesteś?

- Nie! Mamy tu w krzakach cały szwadron. No, co? Wołać?

Zamachał rękami.

- A zna tam ktoś z was jakiś barbarzyński język? Bo nie mogę się dogadać.

- Jaki? - spytałem.

- Jaki bądź. Skąd mogę wiedzieć? Nie rozróżniam...

Zawróciłem.

- Dziadku, jaki język jest dla Orzechowskiego barbarzyński?

- Idź tam, Inka. Pomóż staremu - śmiał się dziadek. - To pewno Niemcy.

- Albo Amerykanie... - mruknął Zawistowski. - Ja pójdę, nie będziesz się przecież ubierała. Czeremcha, ściągaj koszulę Marka. Szybko!

- Ale prędko do rozbierania! - roześmiała się Katarzyna. - Irma, słyszysz? Kto go tego nauczył, bo dawniej taki nie był. Dobrze pamiętam...

Dziadek spojrział na nią z ukosa, bardzo mu się to nie spodobało.

- Nie wyszło ci, Kasiu - powiedziała spokojnie Irmina. - To nie było śmieszne.

Idę przez ten park. I wszędzie pełno na ziemi kasztanów. Drzewa, dużo drzew.

Zapełniają przestrzeń, która traci wymiary, rozciąga się jakby albo kurczy nagle, zależnie od spojrzenia. Wśród drzew nie czuje się odległości, idziesz od drzewa do drzewa i między nimi, może już sto metrów, może tysiąc, i nie wiesz, jak daleko zaszedłeś.

26.

Tak wiele drzew w łaźniakowskim parku jesienią, bo teraz każde z nich ma inną barwę. Więc idziesz wśród tych kolorów, ale kiedy przystaniesz i one staną z tobą, jakby zatrzymał się czas. I znowu idziesz, i wtedy czas zaczyna płynąć, wyraźnie wyczuwalny. Idąc jesienią wśród drzew czujesz, że idziesz w czasie, który ma różne kolory.

Wycieczka zamilkła na nasz widok, kiedy podeszliśmy z Zawistowskim do teatru. Nie wiedzieli, o co chodzi, a my też nie.

- Wytłumaczcie tym Wizygotom czy innym Wikingom, że te strzaskane kolumny na scenie teatru od urodzenia są strzaskane, a nie dlatego, żeśmy je zapomnieli odbudować po wojnie. One mają być strzaskane! - gorączkował się Orzechowski.

Zawistowski wkroczył do akcji ze swoją angielszczyzną i nawet jakoś go zrozumieli.

Kiwali głowami, ktoś tam sięgnął po kamerę, zaczęli coś mówić.

- Pytają, dlaczego muszą być strzaskane?

- To im powiedz.

- Ale nie wiem...

- Rany boskie! - jęknął Orzechowski i spojrzał na mnie z rozpaczą: - Słyszałeś?

Przecież was uczyłem...

- On wie - pocieszałem starego. - Tylko nie wie, jak to powiedzieć po angielsku.

Powiedz, że imitacja, i już!

Odnalazł się przewodnik.

- Panowie mi przeszkadzają pracować! Co tu się w ogóle dzieje? Nawet na chwilę nie można odejść...

- Pan sobie odchodzi, a oni mnie zaczepiają, pokazują na te stylizowane ruiny i pytają: „bum, bum?”. Coś takiego! Nie może pan się w domu wysikać i nie zostawiać tu grupy samej?

Nagle Zawistowski wykrztusił jeszcze po angielsku jakieś zdanie, po którym przewodnika zamurowało, a turyści, jeden po drugim, zaczęli podchodzić do Orzechowskiego i ścisnąć mu dłoń. Kiedy wreszcie odciągnęliśmy starego na ścieżkę, zapytał Zawistowskiego:

- Coś ty im tam wydusił z siebie na końcu?

- Powiedziałem, że pan profesor jest wiceministrem kultury. Bardzo się ucieszyli. To wycieczka towarzystwa śpiewaczego z Odense. Duńczycy. A co, źle?

- Dobrześ zrobił! - pochwalił go stary. - Skoro się ucieszyli... Tylko jeśli już, to dlaczego wice?

- Tam, w krzakach, siedzi mój dziadek - powiedziałem. - Zajrzy pan?

- Dlaczego siedzi w krzakach? - zdziwił się Orzechowski. - I w ogóle co wy tu robicie podczas wakacji w tym Mieście Pokonanym...

- Niepokonanym.

- Przez kogo niepokonanym to niepokonanym, nie pouczaj mnie. Ale za to pokonanym przez spaliny. Dlaczego nie wyjechaliście? Zawistowski?

- Byłem nad morzem w lipcu.

- A ty?

- Przecież dziadek chory...

- A jak on się czuje?

- Zobaczy pan.

Orzechowski przystanął.

- Bardzo źle? Bo jeśli tak, to nie chcę go widzieć... Rozumiesz mnie?

- Nie rozumiem - powiedziałem. - Ale dziadek już wie, że pan tutaj jest.

- To co innego. Jeśli wie... Chodźmy.

Na pagórek prowadziły dwie ścieżki. Z tej, którą teraz szliśmy, najpierw ukazały się

wyciągnięte długie nogi obu dziewczyn, a w ich tle dziadek, pochylony, z łokciami opartymi na kolanach.

Profesor Orzechowski zawołał:

- Co za widok! Hammurabi wśród nimf kreteńskich. Prędzej bym się spodziewał zobaczyć cię na słoniu, stary koniu!

- Pomyliłeś dwie epoki... - uśmiechnął się dziadek. - Nimfy i Hammurabi?

Czeremcha zerwała się z ławki.

- Panie profesorze! Dlaczego pan nas brzydko przezywa?

- Ja was brzydko przezywam? - zdumiał się Orzechowski i spojrzał na

Zawistowskiego. - Możesz mi wyjaśnić, o co się obraża to rozebrane stworzenie?

- Ona się przestyszała - powiedziała wtedy Irmina i roześmiała się głośno. - Pan

profesor mówił o nimfach z Krety, Kasiu. Z wyspy Krety. Przy naszej wadze to chyba komplement...

I nagle spostrzegłem, jak zmienia się twarz starego. Wpatrywał się w Irmę z dziwnym napięciem, przymknął oczy i znowu je szeroko otworzył, wydawało mi się, że trwa to bardzo długo... A Irmina uśmiechała się do niego, nie zdając sobie sprawy, co się dzieje.

- Siadaj, Antek - usłyszeliśmy spokojny głos dziadka, i stary jakby się ocknął. - Siadaj sobie, tu koło mnie. Więc ciągle pamiętasz?

- Pomyliłem epoki... - mruknął Orzechowski. - Tak. Masz rację.

- A ja naprawdę usłyszałam „kretyńskie” a nie „kreteńskie”, słowo daję... - zaczęła swoje Czeremcha, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

Zawistowski odciągnął mnie parę kroków.

- Co mu się stało? Nie wiesz?

- Przecież słyszałeś.

- Co słyszałem?

- Że nagle zderzył się z inną epoką. Pomylił czas i twarze... jakoś mi żal starego, choć nie bardzo wiem czemu.

- Nic nie rozumiem.

- Irma jest podobna do naszej babki. Widocznie bardzo podobna. A coś tych ludzi musiało łączyć. Nie wiem co.

- Irmina wie o tym?

- O czym? Że podobna? Wie, oczywiście. Ale o samym Orzechowskim pewno niczego nie wie. Przecież inaczej by się zachowała. Widziałeś, że ona w ogóle nie zorientowała się, co przez ten moment ze starym się dzieje.

Zawistowski zamyślił się przez chwilę.

- Dziwne to wszystko.

- Co?

- Wszystko.

- Może i dziwne - zgodziłem się.

- A z tymi nimfami na przykład. Skąd ona wiedziała? Prawdę mówiąc, ja też usłyszałem tak jak Czeremcha.

- Książki trzeba czytać, Zawistowski. Wiesz? Książki. Skąd wiedziała? Pewno od dziadka. Albo ma słuch lepszy od nas, bo młodsza...

Kiedy po kilkunastu minutach Orzechowski żegnał się z nami, nie był to już ten sam zaczepny stary dziwak, który chciał Duńczykom po grecku wytłumaczyć antyczne stylizacje króla Stasia w jego Teatrze na Wyspie. Przygarbił się jakoś, jakby skulił w sobie. Miałem wrażenie, że jest teraz starszy od dziadka, dużo starszy.

- Jak masz na imię? - spytał Irminę.

- Tak samo jak ona - odpowiedział dziadek, zanim Irma zdążyła się odezwać.

- No tak, oczywiście... - I Orzechowski pokiwał głową. - Do widzenia, Ina. Bądź

zdrowa.

- Na małą mówimy Inka - poprawił go dziadek.

- A ty się, stary, trzymaj - powiedział Orzechowski, odwracając się od Irminy. -

Będziesz się trzymał?

- Spróbuję. Ty też się trzymaj...

Dziadek uśmiechnął się i podali sobie ręce.

- Odprowadzę pana profesora! - zawołałem nagle, kiedy już prawie dochodził do teatru, i zbiegłem za nim.

Chyba wtedy jeszcze nie wiedziałem, po co to robię, i on też przecież nie wiedział, ale nie dziwił się i nie kazał mi wrócić. Szliśmy obok siebie i nikt się nie odzywał. Ale gdy już padły pierwsze zdania, następne potoczyły się za nimi jakby same, bez naszego udziału, dziwnie łatwo.

- O co chcesz spytać?

- Jaka ona była?

- Bardzo piękna. A może nawet nie? Ale wyjątkowa była, niezwykła. Nie potrafię powiedzieć. Po co ci to?

- Chciałbym wiedzieć. Potrzebne mi teraz. I dziadek jaki był. Nic nie wiadomo...

- Niech wam się lepiej zdaje, że wszystko zaczyna się od was. Jacy byliśmy? Inni niż dzisiaj jesteśmy. Inni niż wy. A tak naprawdę, to pewno tacy sami. Tylko już teraz nie potrafimy tego dostrzec ani zrozumieć. I chyba nawet nie chcemy.

- Dlaczego tak?

- Każdy ma jakąś tam jedną szufladkę tylko dla siebie. Zbiera w niej swoje zakurzone skarby. I chce wierzyć, że to, co on tam ma, było zupełnie wyjątkowe, że właśnie on jest najbogatszy. I niech sobie wierzy, jego prawo. Że nikt przed nim i już nikt po nim...

Przerwałem mu:

- Mój dziadek taki nie jest. Teraz to wiem. I coś się tutaj niezupełnie chyba zgadza, panie profesorze. Kto to nam mówił i po co o Akropolu i o dawnym Rzymie, godzinami kazał przerysowywać każdy szczegół Łuku Tytusa? Żeby przykleił się nam na siatkówce... A po co? Ale tak pan mówił, prawda? Że bez tamtych ludzi my byśmy byli inni, że nie ma nas bez nich. A bez tych najbliższych nam?

- Pamiętasz te lekcje?

- Właśnie. I co? A teraz... własna szufladka i nic przed nią, i nikt już potem?

- Wszystko się powtarza, ale nigdy nie tak samo. Przekonasz się kiedyś, ale musisz sam. I nie zrozumiemy się dzisiaj... trudny dzień. Zostaw mnie... wiesz, te parę słów, o które kiedyś pytałeś, ta dedykacja wydrukowana na mojej książce była dla nich obojga, a właściwie dla niej. Gnothi seauton... to bardzo dawny napis ze świątyni Apollina w Delfach.

- W tych samych, gdzie była wyrocznia? A co to znaczy?

- Poznaj samego siebie.

- No, tak... - powiedziałem po chwili. - Panie profesorze... już się z dziadkiem nie zobaczycie?

- Nie.

Cisza. Słysząc tylko nasze kroki. Nie wiem, dlaczego przyspieszamy obydwoj.

- Nigdy, prawda?

- Nie używaj tych słów: nigdy, zawsze... - zachnął się. - One nic nie znaczą. Jak z nim właściwie jest? Chyba już bardzo źle. Miał być operowany... był?

- Nie. Wrócił nagle ze szpitala. Tuż przed operacją. Zrezygnował z niej i wrócił do domu.

- Dawała jakąś szansę?

- Nie.

- Więc dlatego...

- Nie dlatego wrócił.  
- Skąd wiesz? Pytałeś go?  
- Pan uważa, że powinienem spytać?  
- Nie! - odpowiedział. - Oczywiście, że nie. Ja bym też nie zapytał. Ale dlaczego wrócił? Tak mu zależało na tych paru tygodniach? Nie mogę uwierzyć. Na tych kilku tygodniach cholernego bólu? Przecież on dobrze wie, że oprócz tego bólu, który go jeszcze czeka, wszystko już dawno mamy za sobą. I on, i ja... Wszystko już się dawno skończyło.  
- A może to wcale nie jest tak? I właśnie on wie o tym, a pan się myli, panie profesorze?  
- Co chcesz powiedzieć?  
- Nie schodzi się z boiska, kiedy ma się już dość, i tylko dlatego. Do ostatniego gwizdka, do ostatniego gongu zawsze jeszcze można wygrać. Może to tak jest?  
- Wygrać?  
- Coś można wygrać...  
- Co?  
- Nie wiem. Myślałem, że pan mi powie. A może on wrócił, żeby nas jeszcze czegoś nauczyć? Choćby właśnie tego. Panie profesorze...  
- Co?  
- Chyba nie tylko tego. Chciałem spytać... pan go dobrze zna, prawda?  
- Chyba tak. Pół wieku.  
- Więc chciałem pana spytać, czy on się teraz boi?  
- Czego?  
- Pan dobrze wie czego. Każdy się chyba boi?  
- Nie. Nie każdy.  
- Ciągle o tym myślę.  
- Nie wolno. Trzeba się zachowywać zwyczajnie, jakby nigdy nic. Nie ma lepszego sposobu.  
- Wiem. Tak robimy. Ale już coraz więcej tych zastrzyków przeciwbólowych. Co będzie za miesiąc, dwa? Dlaczego pan się już nie chce z dziadkiem zobaczyć?  
- Wracaj do nich. Zostaw mnie...  
- Pytałem: dlaczego?  
Orzechowski przystanął.  
- Ja nie będę umiał się uśmiechać do niego. Rozumiesz? Już nic mu nie mam do powiedzenia, czego by sam nie wiedział. Nie chcę go takiego widzieć...  
- Bo pan się boi. Rozumiem. To pan się boi, panie profesorze...  
Zawróciłem. Szedłem powoli i myślałem o tym strachu. Czym go można pokonać? Ktoś chyba wie. Nie jestem pierwszym, który o tym myśli, i nie jestem ostatnim. Teraz idę tą samą aleją. Nie ma tamtego upału, jesienne słońce ledwo przypomina nasze wakacje, które tak strasznie długo trwały, a teraz kurczą się do paru spojrzeń w różne twarze tego parku. Nie ma już we mnie strachu, wypalił się do bólu. Pewno kiedyś wróci znajomym, wstrętnym skurczem gardła, wiem o tym. Ale teraz wiem również, że jednak można go pokonać, przecież można.  
Kasztany lecą z drzew, pękają dojrzałe, kolczaste kule. Zwyczajna rzecz, przyszła po prostu ich pora. Jeśli śmierć jest czymś zwykłym, nie ma rzeczy niezwykłych. Idę przez park, szukając Ir-miny, która musi tu gdzieś być. Tylko tu przecież może być dzisiaj. Powiem jej to, co ona sama dobrze już na pewno wie, co przeczuwa. Zabiorę ją do domu, gdzie czeka na nas mama, musimy być razem. I znów trzeba się będzie uśmiechać, przecież zdążył nas i tego nauczyć, zanim nadeszła jesień.  
Za drzew odslania się w górze Belweder. A na skarpie łazienkowskiej widzę z daleka czerwony płaszcz Irminy i ona mnie już także dostrzegła. Schodzę więc ze zwirowej alejki,



idę na przelaj pod górę i gęsta trawa tłumi teraz moje kroki. Przestaję je słyszeć, rozpada się klatka tamtych letnich dni i godzin, pachną żółknące liście. Pod drzewami małe dzieci zbierają kasztany, a Irmina z nimi. Dzieci nawołują się, śmieją w głos i hałasują, ale nie drażni mnie to, czuję spokój tych drzew.

- Nic nie mów...

Irma wyciąga przed siebie ręce pełne lśniących, wilgotnych kasztanów, które nie mieszczą się w dłoniach i spadają na trawę, tyle ich jest.

- Nie mów nic, Marek - powtarza. - Spójrz, jakie piękne.

I każdy zupełnie inny, każdy ładniejszy od drugiego, można tak zbierać bez końca...

Zadzierając głowę do góry, patrzy na nas mały chłopiec, bardzo mały. Zaciśniętą mocno rękę wyciąga do Irminy, otwiera buzię i marszczy czoło, jakby chciał powiedzieć coś bardzo ważnego.

- Pokaż, co tam masz? - prosi Irmina. - No, pokaż mi... Tylko taki malutki znalazłeś? Jeden? Ale za to znalazłeś sam, prawda?

Mały cieszy się, kiedy Inna oddaje mu swoje kasztany, upycha je po kieszeniach i wyciąga rękę po następne. A ja uśmiecham się do niej, bo słyszę:

- Już ci wystarczy, przecież nie masz gdzie chować, sam jesteś jeszcze malutki. Resztę dostanie ten duży chłopiec, dobrze? To jest mój starszy brat, wiesz? On też lubi kasztany, wszyscy je lubimy...

6.

Trudno powiedzieć wszystko nawet samemu sobie, a może właśnie sobie najtrudniej. Wciąż co innego staje się ważniejsze. Za każdym razem, kiedy zatrzyma się na moment obraz i słyhać słowa... których przecież nikt w tej chwili nie mówi, a jednak są tuż obok. Ale czy to obrazy te same, co wtedy, i te same słowa? Na pewno te same, prawdziwe tak, jak je teraz widzę i słyszę - odpowiadam sobie, bo już wiem, że są pytania, na które nikt inny mi nie odpowie.

- Ale najważniejsze jest niewidoczne dla oczu, prawda? - przypomina Ewa, kryjąc się za słowami Małego Księcia, więc może to nie Ewa mówi, tylko ja sam znowu pytam, bo teraz jakby nieco inaczej zaczynam rozumieć nawet tamte słowa z naszej książki mądrego Pilota z planety Ziemia.

To, co naprawdę ważne, widać z daleka. Dopiero z daleka, kiedy już było. I tylko z bardzo bliska, kiedy właśnie jest. A najważniejsze zostaje w tobie samym, dla oczu niewidoczne. Czy to nie jest również i tak?

27.

Chyba dobrze być malarzem. Tak sobie myślę: poproszę kiedyś Ewę, żeby namalowała mi dużo drzew, różnych. Sam bym to zrobił, ale nie potrafię. Szkoda, że nie umiem malować...

- Dlaczego szkoda? - może spytać.

- Bo tylko malarz potrafi zatrzymać czas w tej właśnie chwili, którą wybrał. Żeby dać tej chwili jaką chce barwę, z pełnej skali kolorów, od czerni do czerni, prawda? Albo od białego aż do białego... Czy biały i czarny to na pewno też są kolory?

Cofnęłaby się pół kroku i przymrużyła oczy. Ale może nie będzie nigdy takiej rozmowy. Czy rzeczywiście tylko malarz potrafi?

Już drugi raz przechodziłem obok liceum plastycznego, które mieściło się tu, w łązienkowskim parku. Właśnie jakaś klasa skończyła lekcję i wysypała się gromada dziewcząt z wielkimi blokami rysunkowymi. Dlaczego robią tyle hałasu?

Tak samo widocznie myśli dozorca parkowy, bo woła za nimi ze złością:

- Ciszej tam, artystki! Musicie tak wrzeszczeć?

Wśród dziewcząt jest i Ewa. Spostrzega mnie i nagle odchodzi od grupy. Wcale się nie dziwi, że tu stoję. A ja patrzę na nią bez słowa.

- Czekasz na mnie?

- Nie... przechodziłem.

- Nie byłeś chyba dziś w szkole - mówi. - Widzę, że nie byłeś.

- Nie.

- Stało się coś?

- Tak.

- Z waszym dziadkiem?

Nie odpowiadam, więc ona już wie, że się stało, i milczymy obojwoje.

- Odprowadzę cię do bramy, dobrze? Chodź.

- A ty? - pyta Ewa.

- Pójdę przez park, poszukam Irminy. Trzeba jej to po-, wiedzieć, trzeba ją zabrać do domu. Ona tu gdzieś musi być. Poszukam...

- Iść z tobą?

- Nie. Muszę sam. Odprowadzę cię tylko i wrócę.

- Więc jednak czekałeś na mnie? - pyta. Zatrzymuje się, cofa o pół kroku i mruży oczy. - Przecież czekałeś.

- Chyba tak.

Już brama, mijamy dozorcę. Do przystanku zbliża się autobus 107, zaczyna zwalniać.

- Leć! Jeszcze zdążysz - mówię.

- A może pójdę z tobą? Powiedz. Może będę potrzebna Irminie? Zadzwoń do was?

- Nie. Lepiej nie. Ja tutaj jeszcze kiedyś przyjdę, dobrze? Poczekam na ciebie.

Chcesz?

- Więc o to chciałeś zapytać... lubisz czekać? Potrafisz? A jeśli trzeba będzie czekać długo? A jeśli okaże się, że nie było warto?

- Poczekam. Leć już, Ewa...

I znowu nadjeżdża autobus, zwalnia w tym samym miejscu... W tym samym miejscu będąc, można znajdować się w zupełnie innych światach, choć przecież nic wokół się nie zmieniło, może parę liści spadło, może paru ludzi przeszło. Wystarczy być w tym samym miejscu z kim innym. Znowu autobus 107, zatłoczony wracającymi z pracy, ten sam przystanek. Dopiero co tu byłem, a przecież tak dawno.

Mam teraz w kieszeni parę kasztanów, które dostałem od mojej siostry, wychodzę z parku z Irminą.

- Nie wsiadajmy. Chodźmy pieszo do domu - powiedziała. - Dobrze? \*

- Mama czeka na nas.

- Więc chodźmy szybkim krokiem...

A po chwili:

- Wiesz, Marek, takie małe dzieci to jakby zupełnie inna planeta. Nie uważasz? Teraz mi to przyszło do głowy. Dziwne...

Nie wiem, co ma na myśli, nie rozumiem jej, więc czekam, co dalej powie. Idziemy szybko obok siebie. Inne światy, różne planety... używamy takich słów, żeby wyrazić czy może nazwać swoje zdziwienie, zaskoczenie - myślę sobie, patrząc na Irmę. Ciągłe coś nas zadziwia, chcemy się dziwić, odkrywcy. A może poszukiwacze skarbów? Które kiedyś, zakurzone, włożymy do jakiejś jednej szufladki. I te kasztany, które teraz mam w kieszeni, także znajdują się w niej, gdzieś na dnie...

- O czym myślisz? - pytam Irmę. Dobrze, że moja siostra nie jest już dla mnie za szybą, choć teraz w inny sposób nie jest, mogę pytać i czekać na odpowiedź. - Wciąż myślisz

o tym dziecku z innej planety, o tym chłopcu, któremu dałaś kasztany? A może to był Mały Książę?

Uśmiecha się chyba, choć nie podnosi głowy, idzie patrząc tuż przed siebie... i nagle przystaje. Odwraca się do mnie.

- Szkoda, że wcześniej nie pomyślałam... więc nasz dziadek tak nas widział, jak ja tego małego z kasztanami? Takich nas widział? I tak na nas patrzył?

- Nie wiem. Może niezupełnie tak - mówię. - Ale różnica wieku była dużo większa, ponad pięć razy większa, jeśli o to ci chodzi.

- Nie tylko o to. Aż pięć razy, mówisz... to strasznie dużo, jakoś tak aż nie do wiary dużo. Ale przecież nie wszystko da się zmierzyć latami? Słuchaj... czy on się nas nie bał?

- Ten mały? Przecież widziałaś, że nie.

- Myślę o dziadku - powiedziała Irma. - Bo wiesz, ja chyba boję się małych dzieci. Jakoś tam się trochę boję...

- Masz jeszcze czas bać się ich, masz kilka lat czasu.

- Nie śmieję się ze mnie, Marek. Mówię poważnie... no, chodź. Dlaczego stoimy?

Przecież mama jest sama i czeka na nas.

Doszliśmy pod dom już bez słowa. I dopiero tam Irma odezwała się, wróciła do swojej myśli, jakby dopiero teraz potrafiła ją wyrazić albo wreszcie zdecydowała się na to.

- Może nie będą nas kochały? Bo nie powiemy im, nie będą wiedziały, jacy naprawdę jesteśmy. Jacy byliśmy? Jacy naprawdę, rozumiesz? Chyba właśnie tak: nie będą nas kochały. Szkoda. A my będziemy mieli do nich żal, że inaczej nam wyszło, niż chcieliśmy. I wszystko muszą po nas poprawiać...

- Nie, Inna. Wcale nie musi być inaczej, niż będziesz chciała, chyba nie musi. Co krok coś będzie zależało od ciebie samej...

- Ale nie wszystko.

- Nie wszystko. Ale krok po kroku będziesz szła...

Urwałem.

- Mów dalej.

- Ty wcale nie boisz się małych dzieci. I jeśli cię dobrze znam... nie będziesz ich się nigdy bała. Wiesz, dlaczego?

Spojrzała na mnie.

- Chyba wiem.

Jeszcze coś jej chciałem powiedzieć. Jej i sobie. I chyba czekała na to. Ale ja przecież dłużej czekałem, żeby to wreszcie zrozumieć. Coś bardzo ważnego. Bo teraz już wiem, że krok po kroku do czegoś się idzie, inni również idą. A w drodze wszystko się może zdarzyć. Dobre i złe. I na tych drogach, które wszystkie prowadzą do ludzi, można dać się przewrócić, można samemu przewracać się sto razy, ale nie wolno leżeć. Trzeba umieć się podnieść, trzeba wstać i iść dalej.

Do czegoś się idzie, szukając właściwie samego siebie. Bo wszystko jest w tobie samym, ale nie odnajdziesz tego inaczej, jak tylko wśród innych...

- Irma! - powiedziałem. - A może wszystko?

- Co wszystko?

- Może tak naprawdę wszystko zależy od nas samych?

- Może.

28.

Mijały dni, jesień już zupełnie zszarzała, zadeszczyła się, uderzała coraz bardziej przenikliwym chłodem, rozmokła zupełnie i wreszcie jakby uspokoiła się, pogodziła sama ze sobą w pierwszych przymrozkach. Wiele spraw i myśli wracało do zwykłych barw codzienności, więc nie wszystkie były szare. Kasztany przyniesione z Łazienek leżały na

oknie i nikt ich nie ruszał. Przeprowadziłem się do pokoju dziadka i właśnie tam leżały na oknie koło mojej lampki, która jak zawsze, odkąd pamiętam, dawała wieczorami ciepłe, żółte światło.

Moje stare, składane łóżko, które dziadek nazywał zdobyczym, bo zostało mu z pierwszych powojennych dni, powędrowało do piwnicy. A do kuchni przenieśliśmy całe gospodarstwo Nory. Sporo z nią teraz było kłopotu, miała małe, które rosły szybko, bałaganiąc po całym mieszkaniu.

- Oj, szczeniaki, szczeniaki. Co ja z wami mam - narzekała co dzień Irmina, wracając ze szkoły. - Znowu pół godziny sprzątania. Nora, jak ty je wychowujesz, co?

Nora wyskakiwała do góry, jak dawniej cieszyła się, kiedy przychodziliśmy do domu, i biegła po swoją smycz, żeby wyjść na spacer.

- Ona już się nie interesuje tymi pieskami - uznał któregoś dnia Zawistowski. - Najwyższy czas oddać je komuś, już są duże. Słyszycie?

- Marek, powiedz temu panu, żeby się przestał rządzić! - zawołała z kuchni Irmina.

- Przestańcie się rządzić, Zawistowski - powiedziałem. - Komu je mamy oddać, nie wiesz czasem?

- Może jednego damy Kmicie? Albo Markońcowi?

- A co, on by chciał psa?

- Pojęcia nie mam, ale można mu przecież wmówić. Zanim się kapnie, o co chodzi, już będzie miał pięknego czarnego pudła.

- Znowu zaczynasz swoje numery...

- Kmicie nie oddam, bo Nora go nie lubi - zdecydowała Irmina. - Nie można jej robić na złość. Sprawa upada. Ale coś wymyślę, zostawcie to mnie.

Nie wiem, komu oddała dwa szczeniaki. Nie zapytałem.

Trzeci pies został z Norą. Ale był u nas jeszcze tylko kilka dni. Pętał się po wszystkich kątach, szarpał i gryzł, co się dało. Raz wesoły, kiedy indziej znów osowiały i zły, wciskał się między tapczan i ścianę i siedział tam, nie wiadomo czemu, jakby miał żal do całego świata.

Po prostu szczeniak - myślałem sobie, patrząc na niego. Gryzie, kogo popadnie, łasi się, piszczy, szczeka, wszystko nie w porę. Sam nie wie, o co właściwie mu chodzi, kto swój, a kto obcy, sam nie wie, czego chce. Czasem zupełnie bezradny, zagubiony na tym wielkim świecie, bezbronny. A czasem wściekle gryzie na oślep. Szczeniak. Ale urośnie.

Zadzwoiłem do Ewy. O jej numer poprosiłem Irminę. Zdziwiła się bardzo.

- Ty ją znasz, Marek? Znasz Ewę Sokołowską?

- Tak.

- Myślisz, że ona chce, żebyś do niej zadzwonił?

- Tak myślę.

- To jeszcze mało. Pewny jesteś, że ty tego chcesz? Bo jeśli nie, to chyba lepiej, żebyśmy zostawili ją w spokoju... Dość przeszła. Więc jak, dać ten numer?

Zadzwoiłem. - Ewa?

- No, nareszcie... - powiedziała.

- Mam coś dla ciebie. Jeśli chcesz. Coś żywego, czym się trzeba opiekować i co rośnie. Jeszcze jest małe i głupie, śmieszne. Jeszcze się nawet nie nazywa. Możesz sobie sama nazwać, jak będziesz chciała. Chcesz?

- Marek... - podpowiadała mi szeptem Irmina - przecież ona w ogóle nie wie, o co chodzi...

- Ewa! Moja siostra uważa, że mówię od rzeczy i w ogóle jestem wariat.

- Wcale nie mówisz od rzeczy. Słucham dalej...

- Więc chcesz?

- Chcę.

- To przyjeżdżaj do nas. Tylko szybko, żebyś się nie rozmyśliła. Bo to jeszcze zupełny

szczeniak.

Ewa roześmiała się i odłożyła słuchawkę. Ja też. A Irma popatrzyła na mnie przez moment bez jednego słowa, potem pokręciła głową i powiedziała:

- Kto by pomyślał? Zawistowski zemdleje, jak mu powiem. Zaskoczyłeś nas, Marek.

Tak właśnie powiedziała: zaskoczyłeś nas. Ale nie usłyszałem w tych słowach niczego, co by mnie drażniło. Zaskoczyłem ich? Siebie nie. I Ewa również nie była niczym zaskoczona. Przyszła, posiedziała chwilę, zabrała szczeniaka. Ale zanim wyszliśmy razem, Irmina zrobiła coś dziwnego.

Siedzieliśmy w pokoju dziadka, więc teraz w moim pokoju, i nagle Irma zapytała:

- Ewa, ty się na tym powinnaś znać... Co by tu zmienić? Oczywiście, bieliźniarkę trzeba usunąć, bo jest okropna, trzeba coś innego kupić, ale na to nie mamy pieniędzy. A co jeszcze?

- Zależy, kto w tym pokoju mieszka. Żeby się tu dobrze czuł... lubicie te obrazki na szkle? Nie bardzo tu pasują. Można sprawdzić w „Desie”, jaką mają wartość, i ewentualnie sprzedać.

- Są oryginalne, góralskie, liczą sobie dobre pół wieku. Zdejmujemy i schowamy, jeszcze nabiorą ceny. Fotografie też schowamy. A co w to miejsce?

Patrzyłem na Irmę zdumiony.

- Dlaczego chcesz to zrobić? Czy tak można?

- Tak trzeba, Marek. I ja mam pomysł. Ewa, namaluj nam coś. Przecież wiem, jak malujesz. To będzie twoje pierwsze malarskie zamówienie. Dostaniesz z góry honorarium. No?

Ewa jakby spieszyła się, potrząsnęła głową i jej długie, jasne włosy przesypały się z ramienia na ramię. Była w tym samym czarnym swetrze, w którym widziałem ją pierwszy raz na Starówce. To przypadek?

- Honorarium już dostałam - uśmiechnęła się po chwili. - Przecież daliście mi psa. Ale nie wiem, czy...

Załatwione! - przerwała jej Irma. - Popracuj, nie musisz się spieszyć, mamy dużo czasu. A pies to tylko prezent, zresztą wątpliwej wartości. Zobaczysz, ile będziesz miała z nim kłopotu. Zawistowski na przykład wykręcił się od takiego upominku. Jako honorarium dostaniesz zupełnie co innego. Poczekajcie przez moment, muszę to znaleźć. Wysła do drugiego pokoju.

- Co chcesz, żebym ci namalowała? - spytała Ewa. - Jeśli potrafię.

Wiedziałem, co odpowiedzieć, ale nie zdążyłem. Wróciła Irmina z naszą książką w rękę. I pomyślałem, w tej właśnie chwili pomyślałem sobie, że przecież z góry wiedziałem, po co wysła i co przyniesie Ewie.

- Proszę, to dla ciebie od Marka - powiedziała Irma. - A teraz sobie możecie iść.

Odprowadź ją, bo już ciemno. Zaniesiesz szczeniaka. I weź na spacer Norę. Ewa... ten „Mały Książę” ma jedno zdanie podkreślone zielonym długopisem, wiesz?

29.

A więc to tak: do czegoś się idzie. I nigdy nie wiadomo, kiedy wypadnie stwierdzić: już jestem. I równocześnie znów idzie się dalej, z kimś albo przeciwko komuś, a dalej to wcale nie musi znaczyć: w tę samą stronę. Idąc do siebie... jak daleko zaszedłem? I jak daleko jeszcze?

Mój przyjaciel Zawistowski zapytał nie tak znów dawno:

- Co będzie z nami, Marek?

- Z nami? Nie rozumiem.

- Po prostu z tobą i ze mną, między nami. Jak będzie?

Milczymy obydwaj, każdy czeka. Teraz nie ma mądrzejszego?

- Czego ty właściwie wciąż nie możesz mi darować? Czego najbardziej? Już wiesz?  
- Przeciwnie. Już teraz nie wiem, czego najbardziej.  
Zawistowski uśmiecha się do mnie, zrozumiał to pewno nieco inaczej, niż pomyślał.  
Ale niech będzie. Dobrze, zostawmy wszystko tam, gdzie jest teraz. Każdy z nas wygrał swoje.  
- Tamta sobota... - zaczyna mówić - choć o nic przecież nie pytam - wiesz, ta wycieczka Irminy, nieudana, na którą nie pojechała... chcesz wiedzieć, jak wtedy naprawdę było?  
- Jeśli to potrzebne komukolwiek z nas? A muszę wiedzieć?  
Waha się przez moment.  
- Chyba jednak tak. Choćby trochę...  
- Choćby trochę. Dobrze. Więc gdzie ona była przez te dwa dni i dwie noce?  
- Na działce.  
- Gdzie?  
- Na Okęciu, na działkach. Przecież wiesz, że mamy tam ogródek z altanką, a właściwie z takim letnim domkiem...  
- Wiem. Byliśmy raz z Kmitą.  
- No, właśnie.  
- Więc tam.  
Zawistowski potakuje. I mówi:  
- Przyszedłem rano pod ich szkołę. Dziewczyny ładowały się już do autokaru. Wtedy przybiegła Sokołowska. Szukała córki...  
- Ewy? Jak to: szukała?  
- Ewa uciekła w nocy z domu. Po jakiejś awanturze tam u nich, między rodzicami. Po prostu wyszła nie wiadomo dokąd. I matka szukała jej, dlatego przybiegła rano pod szkołę. To nie było wesołe, Marek...  
- Ewy nie było przy autokarze?  
- Nie. Oczywiście, że nie.  
- Co Irmina?  
- Zgłosiła wychowawczyni, że nie może jechać na wycieczkę z powodu choroby dziadka, i została. Autokar odjechał. Kazała mi odprowadzić matkę Ewy do domu i wrócić pod szkołę. Zaczęliśmy razem szukać tej dziewczyny. To też nie było wcale wesołe...  
- Gdzie można szukać? Na ślepo w takim dużym mieście?  
- Właśnie. Jeździliśmy cały dzień po Warszawie, byliśmy chyba we wszystkich parkach, nad Wisłą, wszędzie, gdzie się dało.  
Wieczorem wzięliśmy się za dworce. Ja już padałem na twarz, miałem wszystkiego dosyć, ale Irmina nie chciała zrezygnować. Tego dnia dobrze poznałem twoją siostrę...  
- Potem poznałeś jeszcze lepiej.  
- Tak - powiedział spokojnie Zawistowski. - Ale podczas tej soboty poznałem ją już bardzo dobrze.  
- Znaleźliście Ewę?  
- Późno wieczorem, na Dworcu Wschodnim. Nie chciała wracać do domu. Zawiozłem je obie na Okęcie, na naszą działkę. Tam spały jedną i drugą noc... Więcej możesz usłyszeć już tylko od Irmy.  
- Wiem. I nie będę jej pytał.  
- Dlaczego?  
- Bo nie.  
- Skąd ty wiedziałeś, że Irma nie wyjechała na wycieczkę?  
- Od Czeremchy. Ale dowiedziałem się dopiero w poniedziałek, jak siostra Kaśki wróciła z tej wycieczki. Kiedy przyszedłem do domu, Irmina myła włosy...

- No tak - powiedział Zawistowski. - A potem był ten wypadek.  
Więc on nie wie - pomyślałem. Nie powiedziała o tym nawet jemu. Dlaczego? Może i ja nie powinienem mu tego mówić?
- Co będzie z nami? - pyta Zawistowski. - Jak będzie? Z tobą i ze mną, Marek. To ważne dla mnie.
- Powiedz mi, co mówiłeś dziadkowi w szpitalu? Podczas tej burzy... Z czym Irmina cię do niego posłała?
- Nie potrafię ci już tego powtórzyć. To było bardzo trudne. Uwierz mi.
- Nie chcesz.
- Nie mogę. Zapytaj Irminę.
- Wiesz, że nie będę pytał.
- To lepiej. Masz rację, nie pytaj.
- Mówiłeś dziadkowi także o was?
- Nie rozumiem...
- Rozumiesz. O Irminie i o tobie. Kazała ci o tym powiedzieć?
- Tak.
- Powiedziałaś?
- Tak...
- Co dziadek?
- Nic. Ani jednego słowa. Ani jednego...
- A następnego dnia rano wrócił do domu. Zwyczajnie. Wrócił spokojny i uśmiechnięty. Wypisał się ze szpitala w ostatniej chwili, tuż przed operacją. O czym myślał tamtej nocy?
- Tego się nie dowiemy. Nigdy.
- I chyba dobrze.
- Tak.
- Nie wszystko trzeba wiedzieć, nie wszystko można. Zrozumiałem wreszcie i to, choć z trudem. Każda myśl tak niełatwo torowała sobie drogę, zanim stała się moją własną myślą. Nie powiem mu, że uderzyłem wtedy Irminę. A w chwilę później, bardzo zdenerwowanej, zdarzył jej się ten wypadek. Uderzyłem ją w twarz z całej siły, na zimno. Właśnie za niego. Za to, co myślałem o niej. Za wszystko, czego o mojej siostrze nie wiedziałem i czego nie mogłem zrozumieć. Jeśli ona nikomu nie powiedziała o tym, dała mi tę właśnie szansę: że nie muszę mówić.
- Wiesz już, jak będzie z nami?
- Wiem - mówi Zawistowski. - Tak, jak jest teraz.
- No właśnie. I tak, jak będzie.

Gdzie był czego początek? Co nie jest wcale końcem i jak daleko zaszedłem? Może nawet mógłbym to wszystko opowiedzieć.

- Wszystko? - I Ewa uśmiecha się, przechyla głowę, więc kładą jej się włosy na ramieniu, tylko na moment, bo odgarnia je szybko, nerwowo. - A ja wiem coś innego. Trochę mniej, trochę więcej. Mogłabym również opowiedzieć, ale inaczej. Słuchałbyś wtedy może zdumiony...
- O sobie, Ewa?
- O tobie też.
- Długo nie miała imienia, a teraz już ma. Takie zwyczajne, a tak długo na nie czekała. Musiała czekać, a ja razem z nią, choć przecież jej wtedy jeszcze nie było. Wypożyczałem więc dla niej różne twarze i różne imiona, ale nie były prawdziwe.
- Jak będzie, Ewa?
- Nie wiem. I ty nie wiesz. Nie wszystko można wiedzieć. Może zimą będzie biało, a

wiosną zielono? I przyjdzie pora akacji, żeby z ich liści można było wywrócić sobie to, o czym już będziemy wiedzieli. Dzisiaj przecież wiem więcej niż wczoraj. Czy to nie jest tak? Ja również wiem więcej, dzisiaj wiem chyba dużo więcej, przyznaję.

Res sacra miser (tac.) - Nieszczęśliwy jest rzeczą świętą.